

OSTATNI DYŻUR
Kiedy zabraknie
pielęgniarek

CENA MILCZENIA
Maciej Biskup OP:
czas zapłacić za brata

TALENT NA LODZIE
Studenci z Polski
ofiarami brexitu

PANY I CHAMY
Folwark do dziś
ma się dobrze

PUCIO I INNI
Co czytać
przedszkolakom

Kraków 17 października 2021 nr 42 (3771)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Siła bezsilnych

BOGDAN DE BARBARO
o naszych granicach

**W NUMERZE
DODATEK
CONRAD**



kongres



SOLIDARNI W ROZWOJU

Gdańsk – Polska – Europa – Świat



18/10/2021

Europejskie Centrum Solidarności
pl. Solidarności 1, Gdańsk

PROGRAM I REJESTRACJA

www.kongres.solidarniowrozwoju.pl

organizatorzy



patronat medialny



gdansk.pl / ecs.gda.pl / kongres.oees.pl

KS. ADAM

Boniecki: Kiedy nic nie można

S PYTAŁEM PRZYJACIELA, MISTRZA SKUTECZNEGO działania: „Co robić, kiedy nic nie można zrobić?”. Po namyśle odpowiedział: „Wtedy trzeba coś zrobić”. No tak – pomyślałem – przecież, kiedy o chorym, który jest nam bliski, usłyszymy z ust lekarza, „że już nic się nie da zrobić”, to nie siadamy z założonymi rękami. Robimy wszystko, by mu oszczędzić bólu, by zapewnić serdeczną bliskość tych, których kocha i którzy go kochają itd.

Diaboliczna operacja Alaksandra Łukaszenki wpędziła mnóstwo ludzi w stan „nic się nie da zrobić”. Miotamy zarzuty pod adresem rządu, jednocześnie uznając, że bez troskie otwarcie granic byłoby absurdem, inni starają się o tym nie myśleć. Są wreszcie tacy jak Marysia Złonkiewicz, aktywistka Grupy Granica, od wielu tygodni działająca na pograniczu białoruskim. Jej rozmowa z Marcinem Żyłą w poprzednim numerze „Tygodnika” to odpowiedź na pytanie, co robić, kiedy wbija się nam do głowy, że nic zrobić się nie da. Bo jednak coś zrobić się da. Można zabrać głos jak ksiądz prymas Wojciech Polak. „Nie pozwólmy, by nasi bliźni cierpieli i umierali u naszych granic” – napisał w liście do medyków 30 września, a wcześniej, 26 września, w wywiadzie dla KAI powiedział: „Jeśli odpowiedź sprowadzimy tylko do alternatywy przyjąć czy nie przyjąć uchodźców, popełnimy wielki błąd. (...) Wydaje się, że nie ma już co dyskutować, czy postąpić tak czy inaczej, ale trzeba zastanowić się nad systemem pomocy, jak to najlepiej i najodpowiedzialniej zrobić również wobec państwa i społeczeństwa polskiego”.

Można też na znak solidarności „z naszymi bliźnimi, którzy cierpią i umierają u naszych granic” pojechać do nich,



nawet jeśli spotkanie nie będzie możliwe. Tak np. zrobił ks. Wojciech Lemański, za co, jemu i innym, którzy tam jadą, jestem wdzięczny. Oni przynajmniej zmanifestowali swój sprzeciw i współczucie.

Mimo stanu wyjątkowego i odcięcia wolnych mediów presja opinii publicznej przynosi efekty. Władze przynajmniej się tłumaczą, starają się ukracać nadużycia i dowieść, że stać je na gesty humanitarne. Ciekawe, jak teraz odpowiedzą na zgłoszoną 4 października propozycję episkopatu Polski utworzenia „korytarzy humanitarnych”. Jest to dobrze wypróbowana np. we Włoszech procedura sprowadzania najbardziej potrzebujących uchodźców: starych, chorych, często wymagających hospitalizacji, dzieci, osób szczególnej troski, w tym małoletnich, małoletnich bez opieki, osób niepełnosprawnych, osób starszych, kobiet ciężarnych, rodziców samotnie wychowujących małoletnie dzieci, ofiar handlu ludźmi, osób cierpiących na poważne choroby, osób z zaburzeniami umysłowymi oraz tych, które zostały poddane torturom, ofiar zgwałcenia lub innych poważnych form przemocy psychicznej, fizycznej lub seksualnej, jak np. ofiar okaleczania żeńskich narządów płciowych (por. art. 21 Dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady nr 2013/33 z dnia 26 czerwca 2013 r.). Udzielanie pomocy osobom najbardziej potrzebującym – podkreślali kard. Nycz i abp Gądecki – jest do pogodzenia z obowiązkiem obrony granicy przed manipulacjami Łukaszenki. Korytarze tworzą i obsługują, przy współpracy z państwem, organizacje pozarządowe. Gotowość koordynacji ich funkcjonowania deklaruje Caritas Polska od 2016 r.

Kiedy nic nie można zrobić, trzeba coś zrobić.

©©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Laury dla „Tygodnika”!

W ubiegłym tygodniu **ks. prof. Michał Heller, Wojciech Bonowicz i o. Ludwik Wiśniewski** oraz wydawca „Tygodnika Powszechnego” **Jacek Ślusarczyk** odebrali specjalne wyróżnienia przyznane z okazji 25-lecia rzeszowskiej Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania.

Fundacja Tygodnika Powszechnego została natomiast uhonorowana tytułem Przyjaciela WSiIZ-u. **Calej uczelni gratulujemy jubileuszu!**



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. TADEUSZ POZNIAK

TEMAT TYGODNIKA



12 Siła bezsilnych
ROZMOWA
Z PROF. BOGDANEM
DE BARBARO,
PSYCHOTERAPEUTĄ:
*Uznają sens granic,
ale nie uznają prawa
do tego, by ginęli ludzie,
którzy są w naszym
zasięgu.*

16 Ścieżka oszukanych
WOJCIECH
KONOŃCZUK
*Łukaszenka widzi,
jak łatwo jest
podzielić Polaków,
i wykorzystuje
migrantów,
kierując ich w drogę
bez powrotu.*



22 Wyprowadzenie żył
EWELINA BURDA, MACIEJ MÜLLER
*Nie oczekujmy w szpitalach standardów europejskich
– pielęgniarzek jest u nas prawie dwa razy za mało.*



32 Nasza wina
ROZMOWA
Z O. MACIEJEM
BISKUPEM OP:
*Ważne, by osoby
skrzywdzone
otrzymały od nas
– dominikanów –
jasny komunikat,
że mogą liczyć
na każdą pomoc:
finansową, prawną,
duchową.*



47 Równość, jak Bóg da
PAWEŁ PIENIAŻEK Z SZEBERGHANU (AFGANISTAN)
*Szeregowi talibowie zamieszkali w drogiej posiadłości
wplywowego watażki. Po raz pierwszy mogą uświadczyc,
czym jest przepych.*



55 Nasz człowiek w Luwrze
ROZMOWA Z MIROSŁAWĄ SIKORSKĄ
*Historię o Polaku, który miał uratować to słynne muzeum
podczas Komuny Paryskiej, należy włożyć między bajki.
Prawda jest ciekawsza.*



92 Myśmy wszystko
zapomnieli
ROZMOWA
Z KACPREM
POBŁOCKIM
*Dekoracje się zmieniły,
prezes Kaczyński
nie nosi kontusza,
ale mechanizm
się zgadza.
Żyjemy
w folwarku.*

6 Suwerenność jednej kliki

PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Wypruwanie żył

EWELINA BURDA, MACIEJ MÜLLER

28 Podatkowy Frankenstein

PIOTR WÓJCIK
Polski Ład miał uczynić system danin bardziej sprawiedliwym. Powstał chaos, na którym nie skorzysta nikt

■ ■ WIARA

32 Nasza wina

ROZMOWA Z O. MACIEJEM BISKUPEM OP

37 Kościół w budowie

JAN RYBICKI
Mówią, że nad kościołem w gdańskim Brętowie od początku ciążyło fatum

40 Habit – znak oporu

ZUZANNA RADZIK
Obywatelskie nieposłuszeństwo może być wyrazem wierności Ewangelii

■ ■ ŚWIAT

42 Schody na drodze do marzeń

MAŁGORZATA PROCHAL
Z CAMBRIDGE I LONDYNU
Młodzi ludzie z UE studiujący na brytyjskich uczelniach – jak sobie radzą po brexicie?

47 Równość, jak Bóg da

PAWEŁ PIENIAŻEK
Z SZEBERGHANU (AFGANISTAN)

50 W imię walki z rasizmem

MAREK MATUSIAK
W ciągu ostatnich 6 lat ONZ przyjęła 112 rezolucji krytykujących Izrael, a tylko osiem w sprawie Syrii. Skąd ta dysproporcja?

DODATEK



65 MAGAZYN CONRAD

Goście Festiwalu Conrada 2021 pod hasłem

„Natura przyszłości”
(18-24 października):

PETRA HŮLOVÁ,
ALEX KOTLOWITZ,
AOKO MATSUDA,
MARIEKE LUCAS RIJNEVELD,
REBECCA SOLNIT
I HERVÉ LE TELLIER
– oraz pasmo poświęcone
GERDZIE TARO

■ FELIETONY ■

30 JACEK PODSIADŁO

41 WOJCIECH BONOWICZ

62 HANNA KRALL

104 JAN KLATA

105 PAWEŁ BRAVO

110 STANISŁAW MANCEWICZ

110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: BOGDAN DE BARBARO

FOTOGRAFIA: ALBERT ZAWADA /
/ NEWSWEEK POLSKA

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

52 Zjadanie delty

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY
*Inwestycje kontra klimat
– konflikt w Katalonii*

■ ■ HISTORIA

55 Nasz człowiek w Luwrze

ROZMOWA Z MIROŚŁAWĄ
SIKORSKĄ, HISTORYCZKĄ SZTUKI
I DOKUMENTALISTKĄ

■ ■ NAUKA

58 Noble 2021

BARTOSZ KABAŁA, TOMASZ MILLER,
MARIUSZ GOGÓŁ
*Nagrodzone odkrycia kojarzą się ciepło.
Na dobre i na złe*

■ ■ KULTURA

92 Myśmy wszystko zapomnieli

ROZMOWA Z KACPREM POBŁOCKIM,
ANTROPOLOGIEM, AUTOREM KSIĄŻKI
„CHAMSTWO”

97 Gdzie znaleźć sztukę i po ile

PIOTR KOSIEWSKI
*O czym świadczy silna obecność
młodego malarstwa na polskim
rynku sztuki*

99 Totalne zdziczenie

ADAM ROBIŃSKI
*Warszawiak z Kalkuty i puszcza,
która gości na Starym Mieście*

102 Osmalone goły

ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Wesele”
Wojciecha Smarzowskiego*

104 Życie jako lektura

LEKTOR
o „Ćwiartce Szymborskiej...”

■ ■ ZMYŚŁY

106 Pierwsi czytelnicy

MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK
Co czytać przedszkolakom

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Gdy pytam kogoś, dlaczego śpiewa piosenki po angielsku, a on odpowiada, że ma zamiar robić karierę na Zachodzie, ręce mi opadają – mówi kompozytor **ZYGMUNT KONIECZNY** w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską. tygodnikpowszechny.pl/podkast

➔ Pokojowy Nobel [Rosyjska ruletka]

„Uważam, że to nagroda dla Anny Politkowskiej, Jurija Szczekoczichina, Igora Domnikowa Domnikowa – moich przyjaciół, którzy zginęli na posterunku” – powiedział Dmitrij Muratow po otrzymaniu wieści z Oslo. Píše o tym **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](https://www.tygodnikpowszechny.pl/STRONA_SWIATA)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



SUWERENNOŚĆ JEDNEJ KLIKI

Unia Europejska przechodzi kryzys tożsamości i jest silnie podzielona. Widzi to Jarosław Kaczyński, który w kolejnych sprawach „przeciąga linę” i gra na przeczekanie.

PAWEŁ BRAVO

WUZASADNIENIU DO WYDANEGO KILKA dni temu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego (który sama władza mylnie przedstawiała jako rozstrzygnięcie o wyższości konstytucji RP nad prawem unijnym) spod prawniczego wywodu co i rusz wystawała wiecowa retoryka; roilo się też w nim od słowa „suwerenność”. Oddaje ono sens gestu uczynionego na polecenie kierownictwa PiS przez marionetkowy trybunał – chodzi o propagandowo czytelny sygnał dla twardego elektoratu partii o nieustępliwości polskiej władzy. I to dokładnie wtedy, kiedy szykuje się ona do ustępstw, czyli do kolejnego uniku w wojnie podjazdowej o pozycję ustrojową wymiaru sprawiedliwości, prowadzonej z instytucjami Unii.

Trudno o bardziej jaskrawy dowód, w jak przewrotny sposób PiS pojmuje suwerenność: chodzi o powierzenie instytucji i procedur w ręce jednej kliky, w której każde kłamstwo i manipulacja potencjalnie niosąca nieobliczalne w przyszłości skutki może być wykorzystana jako przykrywka do działań we własnym, frakcyjnym interesie. W postępowaniu przed Trybunałem, jak zwrócił uwagę w *votum separatum* jeden z sędziów, nie chodziło wcale o kontrolę konstytucyjności przepisów traktatów unijnych, tylko o podważenie skutków konkretnych wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE, który raz po raz miesza szyski Ziobrze i Kaczyńskiemu w ich dziele demontażu ustroju sądownictwa i likwidacji niezawisłości sędziów.

*Demonstracja
prounijna po decyzji
Trybunału
Konstytucyjnego.
Łódź,
ulica Piotrkowska,
10 października
2021 r.*

Wbrew propagandowej narracji, ani sędziowie z Luksemburga, ani urzędnicy z Brukseli nie kreślą szczegółów polskiego ustroju. Oceniają jedynie, czy przyjmowane w Warszawie rozwiązania zapewniają Polakom ochronę sądową w tym zakresie, w jakim nasze prawo i życie publiczne są częścią unijnego. Granicą realnej, korzystnej dla wszystkich suwerenności jest udział w unijnym systemie, tworzącym szkielet naszych instytucji społecznych i gospodarczych.

I choćby z powodów gospodarczych PiS ostatecznie wykona (choć, jak zapewniała prezes Julia Przyłębska, nie musi) wyrok TSUE dotyczący faktycznej likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Bo taki warunek jest jednym z „kamieni milowych” programu pożyczek i dotacji finansujących Krajowy Plan Odbudowy. Że obóz władzy doskonale rozumie argument finansowy, widać choćby po niedawnej serii uchwał samorządów cofających się rakiem z ogłoszenia tzw. stref wolnych od LGBT. PiS zatem, metodą dwóch kroków w przód i jednego w tył wykona wyrok, a pieniądze prędzej czy później popłyną, bo wbrew przecenianej nad Wisłą retoryce części polityków i mediów zachodnich, finansowe „ukaranie” Polski, czyli osłabianie jej potencjału ekonomicznego, nie leży w naszym interesie. Demonizowana albo idealizowana „Bruksela” nie jest aż tak srogą i zdeterminowaną strażniczką reguł, Unia zaś to nie klasa szkolna, w której jedna pani karze krnąbrnych, a nagradza prymusów. Wspólnota przechodzi kryzys tożsamości i jest silnie podzielona przez siatkę wielu sprzecznych interesów. Widzi to i uwzględnia w kalkulacjach Kaczyński, który w kolejnych sprawach przeciąga linę i gra na przeczekanie. Licząc być może na rychłe przejęcie władzy w kolejnych ważnych państwach przez podobnych mu „suwerenistów”.

Politykom opozycji na razie wystarczy, że obrona przed „polexitem” mocno skonsolidowała wielonurtowy elektorat całego niepisowskiego spektrum. Trudno oczekiwać, by dwa lata przed wyborami umieli przedstawić spójną wizję, jakiego rodzaju Unię zamierzają dalej współtworzyć. Przyjdzie jednak moment, gdy przed tym pytaniem nie ucieknijemy. ©P

Powrót do przeszłości sponsoruje NBP

MAREK RABIJ



DOCZEKALIŚMY SIĘ PODWYŻKI STÓP PROCENTOWYCH – można by rzec, zważywszy na liczbę publikacji i wystąpień, które w ostatnich tygodniach wręcz domagały się takiej decyzji od Rady Polityki Pieniężnej. Bank centralny w końcu podniósł tzw. stopę referencyjną z 0,1 do 0,5 proc. rocznie, co w przypadku statystycznego kredytu hipotecznego na 330 tys. zł, zaciągniętego na 25 lat, oznacza wzrost miesięcznej raty o około 70 zł. Jeśli wyższe stopy zbiją gorączkę cen, zabieg może się nam opłacać. W ub. roku statystyczne wydatki na osobę w gospodarstwie domowym wyniosły 1210 zł miesięcznie. Po przemnożeniu tej liczby przez wskaźnik inflacji, która we wrześniu dobiła do 5,68 proc., wyjdzie dokładnie 70,2 zł.

W niezależnych (czytaj: nienależących do spółek Skarbu Państwa lub niewypasanych na ich budżetach reklamowych) mediach ze świecą szukać dziś jednak aprobaty dla decyzji NBP. Część komentatorów oczywiście trzyma się plemiennej zasady, że o politycznym rywalu źle albo wcale, ale tym razem problem nie sprowadza się do bipolarności polskiego życia publicznego. Przypomina nie prezesowi NBP jego niedawnych zapewnienie, że jeszcze nie czas na podwyżki stóp, ma bowiem sens o tyle, że dziś może być już

na tę decyzję za późno. Oczekiwania inflacyjne przedsiębiorców są na rekordowo wysokim poziomie. Wzrost płac nadal wyprzedza tempo inflacji, ale to naczynia połączone, a nie – jak mówi rząd – lekarstwo na drożyznę. Ceny rosną także dlatego, że rosną koszty pracy, a w dodatku jesteśmy już blisko poziomu, na którym – jak wynika z badań ekonomistów – inflacja dusi dalszy wzrost wynagrodzeń.

Konferencja, na której prezes Głapiński poinformował o podwyżce stóp, była tymczasem jednym wielkim aktem wasalizmu NBP wobec rządu PiS. Coraz więcej wskazuje na to, że inflacja wyrwała się bankowi centralnemu spod kontroli. Za tę dezynwolturę zapłacą oczywiście obywatele. Pierwszy przykład z brzegu? Frankowicze, którym banki podsuwają właśnie ugody. Przewalutowaniu z CHF na PLN zwykle towarzyszy zamiana stopy LIBOR na WIBOR 3M, który dziś jest na rekordowo niskim poziomie 0,65 proc. Średniej wieloletniej bliżej tymczasem do 5 proc. Przy wysokiej inflacji i wysokich stopach procentowych – a wiele przemawia za tym, że PiS pospołu z NBP właśnie odsyłają nas do takiej przeszłości – duża część korzyści, jakimi kuszą teraz banki, zmieni się zatem w ich prowizję. ©P

Czy polskiej szkole grozi strajk?

TAK OSTREGO sprzeciwu związków nie było dawno: po tym, jak Ministerstwo Edukacji i Nauki przedstawiło propozycje zmian w statusie zawodowym nauczyciela, Związek Nauczycielstwa Polskiego i oświatowa Solidarność – centrale rzadko działające ręką w rękę – mówią o manipulacji i „udawaniu podwyżek”, które powiązane będą ze zwiększeniem nakładu pracy.

Minister Przemysław Czarnek tymi dwiema liczbami żongluje przy każdej okazji: 8 mld zł na podwyżki, ponad 1400 zł więcej dla nauczyciela wchodzącego do zawodu.

– Tyle że podwyżki dotyczą w zasadzie tylko nauczycieli stażystów, a i to ze względu na wzrost płacy minimalnej. Nauczyciel dyplomowany może nawet stracić – wieszczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Ryszard Proksa, szef oświatowej „S”.

– To propozycje, które nauczyciele nazywają szokującymi: pensum wzrośnie nie o dwie godziny, jak zakładano wcześniej, a o cztery. Dochodzi do tego osiem ewidencjonowanych godzin aktywności poza pracą przy tablicy. Wprowadzenie takich zmian oznaczałoby zwolnienia rzędu ponad 40 tys. nauczycieli – dodaje Magdalena Kaszulanis, rzeczniczka ZNP.

Oświatowa „S” powołała sztab protestacyjny. Kolejne manifestacje (ostatnia, zorganizowana przez ZNP przed resortem edukacji, była w miniony weekend) mogą się odbyć po 22 października, jeśli zaplanowane na tę datę rozmowy skończą się kolejnym fiaskiem. O planach strajkowych związkowe centrale mówić na razie nie chcą. – Ale na korytarzach, w pokojach nauczycielskich to słowo pada coraz częściej – zastrzega rzeczniczka ZNP. – Coraz więcej nauczycieli mówi, że właśnie strajk powszechny może się okazać jedyną skuteczną strategią.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ślub z rozsądku

SOBOTNI ZJAZD zjednoczeniowy Wiosny i SLD postawił na czele Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia. Liderzy zapowiedzieli walkę o prawa środowisk LGBT, wyższe płace w budżetówce, przedszkola w każdej gminie, tanie mieszkania, większe pieniądze na ochronę zdrowia oraz odejście od węgla do 2035 roku. Chcą też prawa do aborcji do 12. tygodnia ciąży oraz odebrania przywilejów klerowi. Na przyszłych listach wyborczych mają być na przemian umieszczane kobiety i mężczyźni, zaś jedna trzecia miejsc przypadnie młodzieży.

Proces jednoczenia ugrupowań był bolesny. Starzy działacze SLD byli przeciwni, by dużo mniejsza i niezbyt majątna Wiosna wchodziła w związek na tych samych prawach, co dysponujące pieniędzmi i mocnymi strukturami SLD. Z kolei działacze Wiosny zarzucali członkom SLD, że są „dziadersami” i tak naprawdę wielu z nich ma dość konserwatywne poglądy. Ostatecznie jednak zwyciężyło małżeństwo z rozsądku, choć poprzedzone brutalną czystką ludzi przeciwnych Czarzastemu.

Nowa Lewica liczy na nową energię oraz przebicie szklanego sufitu, który zawisł w sondażach na poziomie 7 proc., co biorąc pod uwagę dynamikę ubiegłorocznego Strajku Kobiet, jest wynikiem zenującym. Co ciekawe, z najnowszego sondażu IPSOS wynika, że elektorat lewicowy najchętniej widziałby na swym czele lidera partii Razem Adriana Zandberga, jako osobę ideową, pracownią i skupioną na celu, a nie na promocji samego siebie.

© MAREK KĘSKRAWIEC

Ministerstwo patrzy na pandemię

CZWARTA FALA się wspina: minister zdrowia Adam Niedzielski przewiduje, że do końca października sięgnie 5 tys. dziennych infekcji, a później wzrośnie do 20 tys. Niektórzy eksperci są bardziej pesymistyczni. Przypominają też, że ze względu na niedoszacowanie liczbę zakażonych należy pomnożyć przynajmniej przez 5. Rośnie liczba hospitalizowanych: 15 września było ich 823, 10 października – 2327. Najwięcej zakażonych proporcjonalnie do liczby ludności jest na ścianie wschodniej: tam, gdzie najmniej osób się zaszczepiło.

Plakaty wzywające do zaszczepienia się, komunikaty o konieczności noszenia masek, doniesienia o zakaźności wariantu Delta – nie robią już większego wrażenia. A ministerstwo przyjęło rolę obserwatora, ograniczając swoje działania do podawania statystyk. Tymczasem jest co robić: np. wyznaczyć szpitale jednoimienne, bo dzisiaj chorzy z covidem są rozwożeni po „zwykłych”, co grozi tym, że placówki staną się – jak w poprzednich falach – ogniskami infekcyjnymi.

Protestujące od miesiąca środowiska medyczne zarzucają ministrowi, że pozoruje negocjacje. W przededniu kolejnej bitwy z wirusem rząd znajduje się w ostrym sporze z tymi, którzy będą walczyć na pierwszej linii. © MAM

KRAJ W SKRÓCIE

SYTUACJE

„Jestem przygotowany na każdą ewentualność” – powiedział Marian Banaś w wywiadzie w TVN24. W ramach tego przygotowania, na wypadek utraty przezeń immunitetu, szef NIK nagrał wystąpienie wideo, w którym „opisuje pewne sytuacje z działaczami PiS”.



PIOTR POLAK / PAP

DIABEŁ

Działacze PiS natomiast przedstawili na konwencji w Przysusze program dla polskiej wsi. „Chcemy, by nasze hasło – jedna Polska, jeden naród, jedno szanse, jedna godność – zostało zrealizowane” – powiedział Jarosław Kaczyński. „Żaden przeciwnik, sam diabeł nas nie zatrzyma w walce o to, byśmy to postanowienie zrealizowali”.

RZECZNIK

Niektórzy jednak zatrzymują się sami. Z informacji „Gazety Wyborczej” wynika, że dotychczasowy rzecznik prezydenta Dudy Błażej Spychalski podjął pracę w Orlenie. Kiedy kilka tygodni temu taką informację podał Onet, Błażej Spychalski ją zdementował, ale parę dni później złożył posadę w Kancelarii Prezydenta.

RADIO

Posady składają również kolejni szefowie Programu III PR – i trudno się dziwić. Z badania Radio Track Kantar Polska wynika, że słuchalność tej stacji od lipca do września 2021 r. wyniosła zaledwie 1,7 proc. – czyli była najniższa w historii.

Malaria: pierwsza szczepionka z rekomendacją WHO

ŚWIATOWA ORGANIZACJA Zdrowia (WHO) ogłosiła swoją rekomendację dla szczepionki RTS,S (nazwa handlowa Mosquirix) przeciwko malarii. Decyzja jest przełomowa i historyczna – jest to pierwsza i jedyna do tej pory szczepionka na tę chorobę dopuszczona do powszechnego stosowania. Preparat ma być podawany w trzech dawkach dzieciom w krajach z umiarkowaną i wysoką transmisją zarodźca malarii *P. falciparum*.

W 2019 r. odnotowano 229 milionów przypadków malarii. Większość z nich dotyczy mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej. Choroba zabija około 400 tys. osób każdego roku, z czego ponad połowę stanowią dzieci. To one są na malarię najbardziej narażone. Nawet jeśli choroba nie okaże się śmiertelna, to pozostawia pacjentów bardzo osłabionych i podatnych na inne infekcje.

Decyzja oparta jest na badaniach pilotażowych prowadzonych w Ghanie, Kenii i Malawi od 2019 r. Programem objęto 800 tys. dzieci i podano ponad 2,3 mln dawek szczepionki. Dane mogą wydawać się mało efektowne – spadek ciężkich przebiegów malarii o 30 proc., ale to i tak najlepszy wynik, jaki kiedykolwiek osiągnięto. Co ważne, szczepionka jest bezpieczna i pozwoli dotrzeć do dużej liczby rodzin, które nie stosują siatek z insektycydami lub profilaktycznego leczenia. Inna szczepionka przeciw malarii, R21 skutecznością sięga 77 proc., ale znajduje się wciąż we wczesnej fazie testów.

Rekomendacja WHO to jednak początek długiej drogi do powszechnych szczepień. Kolejny krok to finansowanie. Cena jednej dawki to 5 dolarów, zaś roczny koszt programu szczepień w dziesięciu najbardziej dotkniętych malarią państwach – 325 mln. Publiczno-prywatna organizacja na rzecz szczepień Gavi, choć wydała entuzjastyczne oświadczenie, nie zdecydowała jeszcze o tym, czy ani jak finansować zakup szczepień. A same państwa afrykańskie mogą mieć z tym duży problem, co pokazują szczepienia przeciwko SARS-CoV-2. Jedynie 15 krajów zaszczepiło przynajmniej 10 proc. swojej populacji. W dodatku, w związku z pandemią koronawirusa opóźniają się też rutynowe szczepienia dzieci na odrę, polio czy żółtą febrę.

© BARTOSZ KABAŁA



AARON FAVILA / AP / EAST NEWS



SERGEI BOBYLEV / TASS / GETTY IMAGES

Nobel dziennikarski

MARIA RESSA Z FILIPIN I DMITRIJ MURATOW Z ROSJI zostali laureatami tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla.

„Bez wolności słowa nie będzie pokoju ani demokracji – powiedziała Berit Reiss-Andersen, przewodnicząca Norweskiego Komitetu Noblowskiego, ogłaszając nazwiska laureatów. – Wolne, niezależne dziennikarstwo jest ratunkiem przed nadużyciami władzy, kłamstwem i podleganiem do wojny. Żyjemy w czasach, gdy wolność słowa i demokracja są coraz bardziej zagrożone. Nagroda dla Marii Ressay i Dmitrija Muratowa jest też nagrodą dla wszystkich dziennikarzy, którzy w świecie, wykonując swój zawód, wystawiają się na niebezpieczeństwo”.

Ressa, rocznik 1963, dawna korespondentka CNN z Manili i Dżakarty, w 2012 r. założyła na Filipinach niezależne internetowe pismo „Rappler”,

które pod jej kierownictwem, nie zważając na wrogość władz, stało się najpopularniejszą na Filipinach gazetą, piszącą o politycznych i finansowych aferach i nadużyciach, korupcji, kumoterstwie, łamaniu praw człowieka, szemranych interesach polityków oraz ich powiązaniach z hersztami pospolitych szajek przestępczych.

Muratow, rocznik 1961, był jednym z założycieli powstałej w 1993 r. „Nowoj Gaziety”, cieszącej się opinią najbardziej liczącego się, tradycyjnego, niezależnego pisma w Rosji. Bezkompromisowość „Nowoj Gaziety” narażała ją na represje Kremla, zwłaszcza gdy w 1999 r. wprowadził się doń Władimir Putin. W zamachach i zabójstwach na zlecenie zginęło sześćdziesięciu dziennikarzy „Nowoj Gaziety”, w tym Anna Politkowska. Im właśnie dedykował Muratow swoje wyróżnienie. „Noblowskich Nagród nie przyznaje się pośmiertnie, więc wymyślono sposób, żeby Ania mogła ją jednak otrzymać” – powiedział.

© TP WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej szczytów, mniej konkretów

MARTA SZPALA



BYŁO TO JUŻ TRZECIE W CIĄGU OSTATNICH trzech lat spotkanie w takim formacie: w minionym tygodniu w Słowenii – sprawującej prezydencję w Radzie Unii Europejskiej – odbył się szczyt UE-Balkany Zachodnie. Poprzedziły go wizyty w regionie przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen i kanclerz Angeli Merkel. Podczas wszystkich tych spotkań padło wiele deklaracji o strategicznym znaczeniu Balkanów Zachodnich dla Unii i przywiązaniu państw unijnych do polityki rozszerzenia. Można by sądzić, że integracja regionu jest dla Unii priorytetem. Nic bardziej mylnego.

Albania i Macedonia Północna czekają na rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych od 2018 r. Oba kraje realizują ambitne reformy wymagane przez Komisję. Mimo sprzeciwu części społeczeństwa władze w Skopje zmieniły nawet nazwę państwa, gdyż żądała tego Grecja. Na darmo. Podczas obecnego szczytu irytację tym stanem

rzeczy wyraził nawet premier Holandii, sceptycznej wobec rozszerzenia.

Mimo starań Słowenii liderzy Unii nie zdecydowali się nawet zadeklarować, że kolejne kraje uzyskają członkostwo w 2030 r. Dobitnym symbolem *désintéressement* sytuacją w regionie jest brak reakcji Unii na praktyki władz Serbii, skupionych na budowie systemu autorytarnego, kłopotujących wyborców coraz bardziej nacjonalistyczną retoryką i pogłębiających współpracę z Chinami. Działania Unii, a raczej ich brak, budzą coraz większe rozczarowanie nawet najbardziej prozachodnich społeczeństw regionu, które coraz mniej wierzą w perspektywę integracji.

Na otarcie łez obiecano, że szczyty Unia-Balkany Zachodnie będą odbywać się regularnie co roku oraz 30 mld euro dla regionu w formie dotacji i kredytów przez najbliższe siedem lat. Zamiast przyczynić się do demokratyzacji i rozwoju, środki te zostaną zapewne przejęte przez lokalne elity.

©

Upadek czy gambit Sebastiana Kurza

„WUNDERKIND”, „WUNDERWUZZI” (z austriacka: multitalent), „młody Metternich” (aluzja do makiawelicznego XIX-wiecznego kanclerza): wiele jest przydomków, którymi w minioniej dekadzie obdarzały go światowe media. Nie bezpodstawnie: gdy Sebastian Kurz po raz pierwszy stawał na czele rządu w Wiedniu, miał 31 lat. Wcześniej w wieku 27 lat objął MSZ i kierował nim cztery lata. W międzyczasie został liderem Partii Ludowej (ÖVP) i zreformował naddunajską chadecję, zmieniając jej barwę (z czarnego na turkusowy) i profil (na bardziej nowoczesny, konserwatywno-liberalny). A w 2020 r. utworzył rząd z Partią Zielonych w takiej koalicji, pozornie egzotycznej, wielu widziało model przyszłości: połączenie dbałości o gospodarkę z ochroną środowiska.

Potknął się o coś, co także przed nim było w Wiedniu praktyką. Wątpliwą, ale nie traktowaną jak przestępstwo: zlecenie ogłoszeń w mediach za publiczne pieniądze. Teraz prokuratura uważa, że ma to znamiona defraudacji i korupcji. Do tego doszły ujawnione czaty, ukazujące brzydką kuchnię polityki. W minionym tygodniu Kurz zrezygnował z funkcji szefa rządu, pozostając jednak szefem ÖVP i jej frakcji; urząd kanclerza obejmie jego zaufany (polityk ÖVP), a turkusowo-zielona koalicja ma trwać.

W dymisji Kurza jego wrogowie widzą jego upadek. Sądząc po tym, jak ją ogłaszał – zaprzeczając zarzutom i zapewniając, że zamierza wciąż odgrywać kluczową rolę w polityce – on widzi w niej gambit: cofa się, by przedrzeć lub później wrócić. Czy mu się to uda? Ostatni głos być może będzie należeć do suwerena, za dwa lata. Dość czasu, by się podnieść. Albo ostatecznie upaść.

© TP WOJCIECH PIĘCIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DOKTOR KOŚCIOŁA

Franciszek ogłosi św. Ireneusza z Lyonu Doktorem Kościoła nadając mu tytuł Doktora Jedności. Papież zapowiedział to podczas spotkania z grupą teologów katolickich i prawosławnych, którzy prowadzili badania nad synodalnością i prymatem. Św. Ireneusz był biskupem i apologetą z II wieku – jest czczony zarówno przez katolików, jak i prawosławnych.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

KRYZYS POWOŁAŃ

Tylko czterech kandydatów do kapłaństwa rozpoczęło w tym roku naukę w seminariach w Irlandii – podał „The Irish Catholic”.

Rok propedeutyczny rozpoczęło dziesięciu mężczyzn. Do seminarium Drogi Neokatechumenalnej zgłosiło się dwóch.

W 26 seminariach diecezjalnych uczy się 37 kleryków. Aż w ośmiu diecezjach nie ma w ogóle kandydatów do kapłaństwa.

KOMUNIA DLA BIDENA

Nie można odmawiać prezydentowi USA komunii – oświadczył prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka kard. Peter Turkson.

W rozmowie z telewizją HBO wyjaśnił, że odmowa udzielenia sakramentu może nastąpić tylko

w „skrajnych przypadkach”. Episkopat USA pracuje nad dokumentem, w którym ma się odnieść do ewentualnej odmowy komunii Bidenowi ze względu na jego wsparcie dla legalizacji aborcji.

Polscy biskupi w Rzymie: niepokój i euforia

ARTUR SPORNIAK



GDY DO RZYMU WYBIERAŁA SIĘ PIERWSZA GRUPA polskich biskupów, można było wyczuć pewne napięcie – niektórzy nawet liczyli w tej podróży „na wstawiennictwo św. Jana Pawła II”. Wielu świeckich z kolei spodziewało się, że papież rozliczy polskich hierarchów z braku myślenia o reformie Kościoła oraz z niemrawego rozliczania się z tuszowaniem pedofilii (a problem jest poważny: watykańskie śledztwa doprowadziły do ukarania już dziesięciu biskupów).

Tymczasem zamiast „wezwania na dywanik” i „dostania po uszach” audyencja z papieżem okazała się „wspaniałym spotkaniem” – cieszył się w rozmowie z KAI abp Stanisław Budzik, który z audyencji wyszedł „wręcz w euforycznym nastroju”. „Papież wykazał zrozumienie dla trudności, jakie mamy, ale też pochwała nasze wysiłki w walce z plagą pedofilii. (...) Przypomniał, że apostołowie mieli też swoje grzechy i zaniedbania, a nawet zdradę” – mówił metropolita lubelski.

Można więc odetchnąć z ulgą – wrócić do Polski i funkcjonować po staremu, niczego specjalnie nie zmieniając. Rzeczywiście, naiwnym okazało się myślenie, że biskupi – mobilizowani i dyscyplinowani przez papieża – staną się motorem reform.

Główne punkty podejścia polskich biskupów do obecnej sytuacji streścił przewodniczący episkopatu w homilii wygłoszonej podczas mszy przy grobie św. Piotra sprawowanej w poniedziałek przez drugą grupę polskich biskupów. Jedynie dzieło prawdziwej reformy, które trzeba przeprowadzić, to „reforma samego siebie”, hierarchiczna struktura Kościoła chroni „każdego przed fałszywą autonomią, która z łatwością przeradza się w podziały wewnętrzne”, a głównym zadaniem Kościoła jest nawracanie pogan. Abp Stanisław Gądecki pozwolił sobie nawet na odwołanie do Apokalipsy, która biskupów „nazywa aniołami”.

Oczywiście chodzi tutaj o funkcję Bożego posłańca. ©

We Francji powstał najbardziej szczegółowy raport o pedofilii

W CIĄGU 70 LAT ofiarami pedofilów w sutannach stało się 216 tysięcy dzieci – wynika z raportu francuskiej Niezależnej Komisji ds. Nadużyć Seksualnych w Kościele (CIASE). „Tsunami” – to często powtarzane słowo, jakim nad Sekwaną komentuje się ogłoszone 4 października sprawozdanie „Przemoc seksualna w Kościele katolickim. Francja 1950-2020”. Jak mówił „Tygodnikowi” członek komisji prof. Thierry Baubet, jest to dotąd najbardziej dogłębny w Europie dokument badający tę kwestię.

Raport zlecił francuski episkopat. CIASE szacuje, że w badanym okresie przy uwzględnieniu osób świeckich związanych z Kościołem – ofiar było aż 330 tys. Według komisji Kościół jest na drugim miejscu – po rodzinie i kręgu znajomych – pod względem liczby notowanych przypadków pedofilii. Pod tym względem wyprzedza inne instytucje, jak szkoły czy kluby sportowe. Duchowni katolicy dopuścili się blisko 4 proc. wszystkich agresji seksualnych we Francji. Ogólną liczbę przestępców seksualnych w sutannach w okresie 1950-2020 szacuje się na 2900-3200 osób.

Raport wzywa Kościół, aby wraz ze sprawcami agresji seksualnych wypłacił odszkodowania ofiarom. W reakcji na dokument episkopat francuski wyraził „wstyd” i „przerażenie”. W listopadzie biskupi mają dyskutować m.in. o rekompensatach finansowych dla ofiar pedofilii. © SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Metasynod

MA TRWAĆ DWA LATA i zmienić Kościół. W Watykanie symbolicznie otwarto XVI Synod Biskupów, który – po uroczystej mszy i posiedzeniu inauguracyjnym – przenosi obrady na najniższy poziom: od przyszłego tygodnia konsultacje zaczną się w każdej diecezji, potem opracowane zostaną raporty krajowe, na ich podstawie – kontynentalne, aż wreszcie – w październiku 2023 r. – zajmie się nimi zgromadzenie ogólne synodu w Watykanie.

Tematem synodu jest sama synodalność, która ma być nowym – choć nawiązującym do czasów apostołskich – sposobem funkcjonowania Kościoła. Chodzi o wzajemne słuchanie się i „wspólne wędrowanie” – tłumaczył papież podczas inauguracyjnego otwarcia, dodając, że pasterze powinni iść za swymi owcami, które mają „lepszy węch” i same potrafią wskazać urodzajne pastwiska.

Franciszek stawia przed Kościołem trudne zadanie. Musi nie tylko odpowiedzieć na pytanie, jak wprowadzić synodalność w życie, ale też co zrobić, by metoda nie stała się jego jedynym celem.

© EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Więcej na: powszech.net/synod2023

KULTURA W SKRÓCIE

WYŚCIGI

Rosyjska agencja kosmiczna Roskosmos wystrzeliła z kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie statek Sojuz MS-19. Na pokładzie znaleźli się: kosmonauta Anton Szkaplerow, scenarzysta i reżyser Klim Szipienko oraz aktorka Julia Peresild. Spędzą oni na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej 12 dni i nagrywają zdjęcia do filmu fabularnego – pierwszego, którego akcja w całości rozgrywać się będzie w kosmosie. Roskosmos pilnie pracował nad wyprzedzeniem podobnego, hollywoodzkiego projektu.

WYGRANE

„Kamień” w reżyserii Bartosza Kozery – przewrotny moralitet o cudownym ozdrowieniu zakonnicy – zdobył nagrodę Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Jeonju w Korei Południowej. Motywem przewodnim tegorocznej imprezy była troska o ludzką duchowość w pandemicznych czasach. Nagrodzoną produkcję będzie można obejrzeć 15 października na antenie TVN Fabuła.

WIADOMOŚCI

W setną rocznicę urodzin autora „Niepokoju” ogłoszono pierwszą edycję Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza. Wyróżniony utwór zostanie wystawiony na deskach Teatru Miejskiego w Gliwicach oraz opublikowany w serii „Czytelnia Sztuki”. Szczegóły na nagrodarozewicza.pl



MAŁGORZATA PROCHAL

opowie Grzegorzowi Chłacie o brexicie oczami polskich studentów (tekst na s. 42). Słuchaj w środę 13 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



MATERIAŁY PRASOWE SUMMERS PLACE AUCTIONS

BRYTYJCZYCY MOGĄ ODETCNAĆ: mostek, z którego Krzyś – syn A.A. Milne’a, autora „Kubusia Puchatka” – wrzucał do wody patyczki, by przekonać się, który wypłynie pierwszy z drugiej strony, nie opuści kraju. Choć obawiano się, że wystawiony na aukcję trafi np. do Azji, za 131 tys. funtów kupił go Brytyjczyk z Sussex, którego ojciec w dzieciństwie bawił się z Krzyśkiem. Mostek powstał w 1907 r., a w 1999 r. zdemontowano go i zakonserwowano (zastąpiła go kopia). W tym roku mija sto lat od narodzin Puchatka, tj. od chwili, gdy Milne podarował rocznemu synowi pluszowego misia. ©P WP

Uboczne efekty lajków

TO BYŁ DLA FACEBOOKA tydzień z piekła rodem. Nawet nie z powodu największej w jego historii, sześciogodzinnej awarii, ale za sprawą zeznań w senacie USA Frances Haugen – inżynier danych, która współtworzyła w serwisie zespół „uczciwości obywatelskiej”. Miał on walczyć z dezinformacją i polaryzacją oraz innymi efektami ubocznymi postów i lajków. Kiedy tuż po wyborach w USA zespół bezceremonialnie rozwiązano, Haugen zrozumiała, że chodziło o tworzenie pozorów. Zebrała więc badania dostępne w wewnętrznej sieci serwisu i przekazała je „The Wall Street Journal”.

Z dokumentów i z zeznań Haugen wynika, że gigant technologiczny wie, iż przyczynia się do polaryzacji oraz że nie robi zbyt wiele, by zapobiegać dezinformacji o szczepionkach. Ma też świadomość, że szkodzi nastolatkom, które nie akceptują siebie i mają myśli samobójcze. Pojawiły się porównania z branżami tytoniową i naftową – one także za sprawą własnych badań wiedziały, że szkodzą, ale wolały upadać, że nie dzieje się nic złego.

Do zeznań Haugen odniósł się Mark Zuckerberg. „Jeśli chcielibyśmy ignorować badania, to po co stworzyliśmy jeden z czołowych programów badawczych mających na celu zrozumienie tych kwestii?” – pytał retorycznie. Wątpliwe jednak, by kogokolwiek uspokoił.

Przed serwisem może stać jednak jeszcze większy problem. Będzie się musiał wytłumaczyć inwestorom, dlaczego nawet przed nimi ukrył badania, nie tylko o swoim złym wpływie na użytkowników, ale również te wskazujące, że kurczą się perspektywy rozwoju, bo młodzież szybko z Facebooka ucieka.

© AGATA KAŻMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Więcej na powszech.net/haugen

Kim jest Abdulrazak Gurnah

TEGOROCZNEGO LAUREATA literackiego Nobla – nietłumaczonego dotąd na polski – pozostaje nam sobie przedstawiać za pomocą liczb.



TOLGA AKMEN / AFP / EAST NEWS

To pierwszy od 28 lat czarnoskóry (po Toni Morrison) i piąty pochodzący z Afryki (Zanzibar) autor (dziesięciu powieści) wyróżniony przez Akademię. Buchalteria daje poczucie bezpieczeństwa – wartość nadrzędną także dla Szwedów, którzy zwracając tym werdyktem uwagę świata na los uchodźców, nagradzają piszącego po angielsku, od 40 lat mieszkającego w Wielkiej Brytanii wykładowcę Uniwersytetu w Kent. Ale nie wyciągamy pochopnych wniosków. Gdy do polskich księgarń trafi inspirowana losami laureata powieść „Admiring Silence”, poznamy bohatera zgorzkniałego i wyobcowanego, który będzie nas próbował przekonać, że każda próba asymilacji jest utopią. ©P MOC



Milczący protest „Stan wyjątkowo nieludzki” przed biurem poselskim Prawa i Sprawiedliwości. Lublin, 5 października 2021 r.

SIŁA BEZSIŁNYCH

BOGDAN DE BARBARO, PSYCHIATRA I PSYCHOTERAPEUTA:

Uznaję sens granic Europy i granicy naszego państwa, nie akceptuję jej swobodnego przekraczania, ale nie uznaję prawa do tego, żeby małe dzieci marzły w lesie, by ginęli ludzie, którzy są w naszym zasięgu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA,

MAREK KĘSKRAWIEC: Jak często sprawdza Pan wiadomości z granicy polsko-białoruskiej?

BOGDAN DE BARBARO: Codziennie. To są trudne do zniesienia obrazy, ale chcę wiedzieć, co się tam dzieje, bo wierzę, że czymś niezwykle ważnym jest to, jak zareaguję na ten kryzys w sferze emocjonalnej i intelektualnej – co pocuję i co pomyślę. I potem nie schowam się do swoich kryjówek, wolnych od dramatów tego świata.

Nastąpił rozdźwięk między tym, co chce serce, a tym, co podpowiada rozum. Z jednej strony ludzie pragną przytulić wszystkie dzieci tkwiące na granicy, a z drugiej przemawia do nich argument, że nie możemy wpuścić uchodźców, bo zaraz napłynie potężna fala sterowana przez Łukaszenkę. Czy miłość do własnych dzieci powoduje, że zgadzamy się na cierpienie innych dzieci?

W gruncie rzeczy to dylemat egzystencjalny: reagujemy na płacz konkretnego dziecka, którego los przemawia do naszej wyobraźni i naszych uczuć, a zarazem nie dociera do nas ból kilkunastu tysięcy innych dzieci, które tego samego dnia umierają z głodu na całym świecie. Gdybym szukał wersji najbardziej optymistycznej, myślałbym o powrocie do stwierdzenia św. Pawła: „Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety”. Jest wiele nieszcześć na świecie, ale płacz tego jednego dziecka na naszej granicy pomaga nam to sobie uzmysłowić.

Uzmysłowić, ale co dalej?

Wpłacimy pieniądze na konto jakiejś organizacji pomocowej, wyrazimy poparcie w mediach społecznościowych i uspokoimy nasze sumienie. Uznamy, że zbawiliśmy świat...

Dla mnie będzie to raczej sygnał, że stajemy po dobrej stronie. Być może jest to jedno z najważniejszych zadań, przed którymi postawiło nas życie: byśmy umieli rozróżniać pomiędzy dobrym czynem a złym czynem. Utopią jest myślenie, że dobro zwycięży i od tego momentu zła już nie będzie. Ale zawsze można stanąć po stronie dobra. Nie licząc na szybki i pełny sukces, lecz dbając o to, czy się jest na właściwej drodze.

Wystarczy deklaracja takiej postawy?

Postawy, której towarzyszą czyny. Wyobraźmy sobie, że w Polsce zwycięża partia, która nie jest ksenofobiczna, nie dokonuje szwindli, nie promuje zła. Przecież i tak gdzieś w tle zaraz się pojawi inne, silne ugrupowanie ksenofobiczne. W dziejach świata nie było epoki, w której można by było powiedzieć: „No, nareszcie możemy być spokojni...”. Bo raj na ziemi jest nieosiągalny.

Marek Aureliusz mówił: „Gdy widzisz zło, to znajdź dla siebie częśćkę dobra”. Jeden wysłaniec śpiwory, drugi pojedzie na granicę, trzeci zmanifestuje swoje oburzenie na Facebooku. Nie mnie mówić, co kto ma zrobić w tej sprawie, natomiast jako terapeuta powiedziałbym, że także dla własnej higieny psychicznej jest ważne, by nie być biernym, nie dać się złu.

Inaczej rozumieją zło ludzie przeciwni pomaganiu uchodźcom na granicy. Uważają, że aktywiści i politycy opozycji są „pożytecznymi idiotami” i robią to, co dyktują Mińsk z Moskwą. Jak z takimi postawami dyskutować?

Istnieją ludzie, których nie przekonam, i muszę to brać pod uwagę. Szukałbym raczej tych, którzy noszą w sobie znak zapytania, którzy traktują kryzys na granicy jako dylemat egzystencjalny. Rozmawiając z kimś takim, dostrzegam złożoność problemu. I on, i ja zdajemy sobie sprawę, że istnieje wymiar polityczny, istnieje granica państwa, istnieje granica Unii. A jednocześnie jest tam człowiek, który umiera. Dobrze byłoby uwzględnić wszystkie te perspektywy, nawet jeśli wolimy rzeczywistość jednoznaczną – klarowną i zrozumiałą. Dla jednych będzie to wyłącznie płacz dziecka, a dla drugich wyłącznie obawa, że „muzułmanie nadchodzą”, bo ich tu Łukaszenka podesłał. W zależności od tego, gdzie będziemy stawiać swój gorący znak zapytania – w tę stronę kierowałbym spokojną dyskusję.

O ile byłaby ona możliwa. Mniej teraz rozmawiamy, bardziej się złościmy, pokrzykujemy, obrażamy.

Złoszcząc się, czy nawet wściekając, schodzimy do poziomu walki, która i mnie, i rozmówcy nic nie da, za wyjątkiem tego, że pocujemy się zmęczeni

oraz okopimy się w swych przekonaniach. Jeśli ktoś ma pogląd ukształtowany na sto procent, a lęk nie pozwala mu postawić przy nim znaku zapytania, to z pokorą muszę przyjąć, że nie wszyscy są gotowi rozmawiać i powinienem odpuścić.

Ale jaki proces zachodzi w umyśle człowieka, w innych sytuacjach wrażliwego na krzywdę i współczującego, a dziś przestającego reagować na ludzi śpiących w ziemie na granicy – wycieńczonych, przerażonych, umierających?

Bertolt Brecht napisał: „Człowiek ma większą skłonność ku dobru niżli złu, ale warunki nie sprzyjają mu”. Ludziom, którzy przestają być dobrzy, warunki do czynienia dobra nie sprzyjały. Zaczyna rządzić nimi strach, a strachem zarządzają politycy. Wskazują: „To jest twój wróg, on ci zagraża, masz się go bać”.

Władza mówi więcej: jesteście bezpieczni dzięki nam, to my was uratujemy przed gwałtami i terrorystami.

I ten przekaz działa na wielu Polaków. Kłopot w tym, że dialog z inaczej myślącymi ludźmi jest utrudniany nie tylko przez ich niechęć do opuszczania swojej bańki, ale też przez naszych „współbankowców”, którzy mogą odczytać nasze intencje zrozumienia tych z drugiej bańki jako zdradę. Trudno jest patrzeć na problem uchodźców mając świadomość, że zostaliśmy weń wepchnięci przez władze Białorusi, a jednocześnie nie kwestionować tego, że kluczowa jest busola etyczna. Można też wpaść w pułapkę pokusy, by zrezygnować z poczucia własnej sprawczości. Mogę przecież powiedzieć: „Granica daleko, niech się tym zajmą politycy, od tego są”. Mogę na różne sposoby racjonalizować sytuację, odciąć się od tego, co dramatyczne. Przecież wolimy, by nam było przyjemnie, a nie przykro. I w związku z tym mniej więcej jedna trzecia Polaków przyjmuje postawę: „Moja chata z kraja”. A pozostałe dwie trzecie zaciekle między sobą walczą.

A perspektywa religijna? Jesteśmy przecież krajem chrześcijańskim, a tu nie ma kompromisów. „Głodnych ➔

→ **nakarmić, spragnionych napoić, podróżnych w dom przyjąć”.**

Ten kryzys to niezwykła okazja dla chrześcijaństwa, by zaistniało u nas na nowo. Na razie niewykorzystana, mimo że arcybiskup Wojciech Polak publicznie stwierdził, że istnieje człowiek cierpiący i należy mu się pomoc. Niestety, nie mam poczucia, by ten głos zdominował ambony.

Czy Pan odebrał ten głos jako radykalny, niepozostawiający wątpliwości?

Radykalny to on byłby wtedy, gdyby odbił się echem i księża stanęli po stronie miłości i miłosierdzia. Nic takiego nie nastąpiło.

Czy jesteśmy nadal krajem chrześcijańskim, skoro prymas Polski coś mówi, a reszta milczy?

Najwyższa pora zastanowić się, gdzie zawędrował nasz katolicyzm. Mnie dziś polski katolicyzm zawstydzają. Został wprzęgnięty w idee narodowe, by nie rzec – nacjonalistyczne, co jest przecież w swojej istocie antychrześcijańskie. Katolicyzm stał się w Polsce ideą polityczną, a chrześcijaństwo jest wiernością pięknym, utopijnym, ale, daj Boże, mocnym wartościom. Już nawet nie chcę wracać do banału o sojuszu tronu z ołtarzem, bo wszyscy wiemy, że ile razy Kościół dogadywał się z władzą państwową, tyle razy ponosił porażkę. Nawet jeśli uzyskiwał doraźne korzyści.

Jak pogodzić wiarę w „święty Kościół powszechny” z jego biernością wobec tego, co się dzieje na granicy? Trudno to zrobić, chyba że chcemy być w roli bezrefleksyjnego dziecka, które słucha i obiecuje być grzecznym, by dostać nagrodę.

Język, jakim mówi władza, jest dehumanizujący. Słuchamy o liczbach nielegalnych prób przekroczenia granicy, a nie o konkretnych ludziach i ich często dramatycznych historiach. A przecież każda przemoc zaczyna się od języka, pomniejszania człowieczeństwa, mówienia o tłumach niosących nam choroby.

W książce Gregora Ziemera „Jak wychować nazistę” autor pisze m.in. o tym, jak kształcono dzieci w miłości do Hitlera i do tego, że największym szczęściem bę-

Jak pogodzić wiarę w „święty Kościół powszechny” z jego biernością wobec tego, co się dzieje na granicy? Trudno to zrobić, chyba że chcemy być w roli bezrefleksyjnego dziecka, które słucha i obiecuje być grzecznym, by dostać nagrodę.

Cóż, my jesteśmy naród „wybrany i zwycięski”, a w dodatku wstajemy z kolan. Z tej perspektywy Niemcy powinni nam zapłacić za wojnę, ale kiedy to my mamy zwrócić kamienicę potomkowi żydowskiego właściciela, uznajemy to za bezprawne roszczenia.

dzie za niego umrzeć. Tego etapu oczywiście nie osiągnęliśmy, choć Jacek Kurski, jeszcze zanim zaczął kierować rządową telewizją, wygłosił swoje credo na temat polityki informacyjnej: „Ciemny lud to kupi”. Jako psychoterapeuta dobrze wiem, że język tworzy rzeczywistość. Jak coś nazwiemy, takie będą konsekwencje. Przekonuje mnie teza, że nie mamy do dyspozycji faktów, jedynie ich interpretacje.

A jaśniej?

Wyobraźmy sobie dziennikarza, który poprzysiągł sobie, że będzie przedstawiał tylko prawdziwe informacje, i jest temu wierny. On też będzie skazany na to, że z tysięcy faktów wybierze kilkanaście. Na jakiej zasadzie dokona wyboru? Na takiej, że jego uwagę przyciągną te fakty, które będą w zgodzie z jego poglądami, lub też uzna, iż poruszą czytelnika

lub widza. A jakie go poruszają? Te, dla opisu których słowa będą krzyczały albo będą uruchamiały nasze instynkty, także strach i agresję. Albo przeciwnie – uczucia wysokie i szlachetne. W tym sensie jesteśmy skazani na to, że nawet mówiący prawdę dziennikarz będzie wybierał to, co po pierwsze jego poruszy, a po drugie – co uzna za poruszające dla nas. Tak więc wybór faktów będzie zarazem ich interpretacją.

Ta gra może decydować o ludzkim życiu.

Dziś jesteśmy przejęci tym, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej. Mniej przejęci byliśmy, gdy podobne sceny działy się na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Byłem tym zasmucony, przerażony, ale nie posyłałem tam jednak paczek żywnościowych. O tym, że bardziej się przejmuję granicą polsko-białoruską niż amerykańsko-amerykańską, decyduje fundamentalna okoliczność: bliżej mi do granicy polsko-białoruskiej niż do Meksyku. Bliżej nie tylko w kilometrach. To odległości uczuciowe będą decydować o sile moich reakcji. Warto o tym pamiętać, bo nasza tożsamość zależy od tego, do kogo nam bliżej. Im ktoś jest mi bliższy, tym więcej we mnie współczucia. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale przecież ta okoliczność jest uniwersalna: dla każdego z nas różni ludzie są w różnych „kręgach współczucia”. Dla wielu z nas wyznacznikiem bliskości będzie to, czy ktoś jest, czy nie jest Polakiem. Inni, obcy, będą w kręgu dalszym.

Te kręgi mogą się różnie układać. To, co dziś robi z Polską Łukaszenka, zaczął już trzy miesiące temu na granicy z Litwą. Choć to bardzo blisko nas, w Polsce mało kogo obchodziło.

Tu decyduje odległość od centrum, a centrum dla każdego jest jego własne ja. Osoba na granicy litewsko-białoruskiej może być blisko geograficznie, ale mentalnie i emocjonalnie jest o wiele dalej niż osoba na granicy polsko-białoruskiej. Ważne jest też to, że nasze wyobrażenia zależą od parametru czasu. Pamiętamy, że Hitler i Stalin doprowadzili do śmierci kilkudziesięciu milionów ludzi, ale tak na co dzień o wiele bardziej poruszają nas bieżące wydarzenia i poczuwamy się, żeby

na nie zareagować. Natomiast nadchodząca katastrofa klimatyczna, która dotknie dopiero następne pokolenia, nie do każdego przemawia, zwłaszcza gdybyśmy mieli ponieść jakieś bieżące koszty. I znów się odzywa nasz egotyzm: inna będzie perspektywa tych, którzy na zamykaniu trujących kopalń ponieśliby wymierne straty materialne, a inna tych, których krewni umrą z powodu smogu. Czy można oczekiwać od polityków, że dla ochrony zdrowia swych wnuków zamkną kopalnię i narażą się na to, że przegrają wybory?

Czy nie jest znaczące, że w sprawie uchodźców na naszej granicy Unia Europejska milczy, w zasadzie ciesząc się, że Polska wykonuje czarną robotę? Nikogo w Brukseli nie obchodzi, że pogranicznicy dokonują push-backów, czyli wywożą na granicę białoruską tych, którzy już się przedostali do Polski, odbierając im możliwość ubiegania się o status uchodźcy i o azyl.

Wygląda to tak, jakby cała Europa wołała od praw człowieka poczucie bezpieczeństwa.

Ale my kupujemy sobie jedynie bezpieczeństwo doraźne. Młody człowiek lub dziecko, które zostanie wypchnięte z Polski, zapamięta do końca życia, jak zostało potraktowane, gdy zziębnięte i głodne prosiło o pomoc. Gdyby zostało wpuszczone, miałoby szansę się zasymilować w Polsce lub w innym kraju europejskim, natomiast wypchnięte stanie się ofiarą traumy. I kto wie, może za 20 lat będzie chciał się zemścić na tych, którzy je odrzucili. Gdybym był cyniczny, powiedziałbym: nie opłaca ci się, polityku, wyrzucać tego chłopca czy dziewczynki, bo w nich ta trauma zostanie i przerobi się na wrogość.

Nie ma w Panu rozczarowania wobec społeczności europejskiej?

Wyobraźmy sobie dwa sąsiadujące ze sobą gospodarstwa. Jedno ma się dobrze, jest wyposażone w nowoczesny sprzęt elektroniczny, jego mieszkańcom żyje się bezpiecznie i zdrowo. W gospodarstwie drugim, u sąsiadów, panuje bieda – łatwiej o różne zarazki, higiena jest niska, może nawet niewiele wiedz o wirusach i bakteriach. I w pewnym momencie krzyczą: „pomocy, pomocy!”. Co wtedy zrobimy, jeśli to my miesz-



GRAZYNA MAKARA

PROF. BOGDAN DE BARBARO (ur. 1949) jest psychiatrą i psychoterapeutą, wieloletnim pracownikiem naukowym Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ. Zajmuje się terapią rodzin. Autor wielu prac naukowych, jeden z bohaterów filmu Pawła Łozińskiego „Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham”. Jego teksty i wywiady opublikowane na łamach „Tygodnika Powszechnego” są dostępne pod adresem: powszech.net/debarbaro

kamy w tym lepszym domu? Zaprosimy ich do siebie?

Próbuję pokazać, jakie mogą się toczyć gry emocjonalne między jednymi i drugimi. Ci biedni powiedzą: „Powinniście nas wpuścić, bo wasi przodkowie obrabowali nas, zabrali część ziemi i dlatego jesteśmy biedni i niewykształceni. Dodatkowo tak gospodarujecie tym światem, że podnieśliście temperaturę, zniszczyliście środowisko i brakuje nam wody”. Czy mieszkaniiec Afryki nie ma prawa tak powiedzieć?

No ale my wtedy powiemy, że ci ludzie są z innej kultury, nie pasują do nas i zapewne przywiozą do Europy wszystkie swe problemy oraz normy społeczne, których my nie chcemy przyjąć.

Jeszcze w dodatku ten obcy przejawia szereg zachowań, których my już nie jesteśmy w stanie zaakceptować, np. w kwestii traktowania kobiet.

Czy istnieje rozwiązanie takiego napięcia?

Jedna wersja jest taka: bratamy się i powstaje „arytmetyczna średnia obyczajowa”. To byłby nonsens. Druga wersja: budujemy mury. Również pozbawiona sensu: nie da się murami otoczyć całej Europy, nawet jeśli ta dystopia jest testowana dziś na granicy polsko-białoruskiej, gdzie widzimy druty, dramatycznie się w Polsce kojarzące. Ale jest trzecia wersja, może naiwna: stopniowej asymilacji. Tylko że do tego potrzebny jest dialog i świadomość, że inny, obcy człowiek nie musi być niebezpieczny.

Gdy widzę na krakowskich ulicach grupy ludzi innych ras i nacji, to czuję się dumny z gościnności mojego miasta. Lecz myślę sobie jeszcze, że mnie może być przyjemnie, bo po pierwsze mam swoje lata, po drugie czuję bezpieczeństwo ekonomiczne, więc imigranci nie zabiorą mi pracy, a po trzecie mam poczucie wewnętrznej psychicznej stabilności. Ale wyobraźmy sobie kogoś kruchego, załęknionego, z trudem wiążącego koniec z końcem, żyjącego w chronicznej niepewności. I przed tym człowiekiem pojawia się ktoś inny: innej rasy, innego wyznania, innej kultury. W zależności od tego, jak mocny się czuję wewnętrznie, będę się bardziej lub mniej bał tego innego.

Czy strach przed innym wzmocniła pandemia?

Na pewno. Na pewien czas przestaliśmy się spotykać, rozluźniły się więzi społeczne. Jedni z nas panicznie boją się zarazić, bo np. doświadczyli śmierci w bliskim otoczeniu, a inni – uważający, że pandemia to wymysł Billa Gatesa i koncernów farmaceutycznych – popadają we wściekłość i wierzą w teorie spiskowe. Oczywiście, czasami koronawirus wzbudza odwagę, solidarność, troskę o innych. Ale obawiam się również, że częstym efektem pandemii jest trwoga. A wtedy pojawia się okazja do zarządzania nią, co umiejętnie wykorzystują politycy.

Wspominaliśmy już o pamięci, ale warto do niej wrócić.

Dlaczego nie chcemy pamiętać, że w latach 80. sami przeszliśmy przez trudne doświadczenie emigracji? Że Polacy uciekali z PRL nie tylko z powodów politycznych, ale też ekonomicznych? Maanam w 1982 r. śpiewał „Granice”, słowa tej piosenki okazują się nadal aktualne: ➔

→ „granice – mury, zasieki, zapory / granice – stalowe rzeki, stalowe góry / ludzie bez twarzy, ludzie bez serc”.

Ta sytuacja mnie bardzo zawstydza. Z jednej strony śpiewamy „za wolność naszą i waszą”, pamiętamy, ile znaczyło słowo „Solidarność” i jak mocno wspierała nas Europa, także przyjmując pod swój dach. No ale cóż, my jesteśmy naród „wybrany i zwycięski”, a w dodatku wstawiamy z kolan. Z tej perspektywy Niemcy powinni nam zapłacić za wojnę, ale kiedy to my mamy zwrócić kamieniem potomkowi żydowskiego właściciela, uznajemy to za bezprawne roszczenia. W tym sensie podział my–wy, ja–obcy jest kluczowy.

Czy takie reakcje możemy usprawiedliwić tym, że w naszej historii często obcy stawał się najeźdźcą?

Można takie postawy rozumieć, ale warto pamiętać, że zgodnie z innym mitem narodowym jesteśmy niezwykle otwartym krajem, bo przecież Kazimierz Wielki przyjmował Żydów wygnanych z zachodniej Europy. Więc jesteśmy nadzwyczajni, Polska jest Chrystusem narodów, a Jedwabne to nie my, tylko Niemcy. Tyle że spod tego kompleksu wyższości wyziera kompleks niższości. Proszę wybaczyć oczywistość: im bardziej będziemy dojrzały, tym bardziej będziemy dostrzegać złożoność sytuacji, także tej na granicy.

Nie będziemy się już panicznie bać?

Nawet jeśli na początku ulegniemy obawie, że na granicy mogą być terroryści, to po dłuższym namyśle dostrzeżemy, że tak przecież terroryści nie działają. Że to nie ich szlak. Oni nie będą błądzić po lasach i bagnach, ale przylecą samolotami, być może w eleganckich garniturach. I nie będą mieli w telefonach żadnych filmów pokazujących zamachy.

No dobrze, ale co Pan Profesor sam by zrobił, gdyby mógł dziś decydować o losie uchodźców?

Po pierwsze, nie wiem. Po drugie, przede wszystkim bym rozmawiał, starałbym się porządnie zdiagnozować złożoność tej sytuacji, bo ja mam wiadomości z jednej bańki, ale są też inne

bańki, sprzeczne z moją i karmiące się zupełnie innymi informacjami. Musiałbym najpierw wniknąć w sytuację i dopiero gdybym ją zrozumiał, próbowałbym znaleźć nić porozumienia pomiędzy perspektywą „krzyku dziecka” a perspektywą obrony przed atakiem Łukaszenki.

I co wybrać?

Na pewno nie chciałbym kierować się mapą zero-jedynkową. Uznaję sens granic Europy, uznaję sens granicy naszego państwa, nie akceptuję jej swobodnego przekraczania, ale nie uznaję zarazem prawa do tego, żeby małe dzieci marzły w lesie, by ginęły ludzie będący w zasięgu moim i mojego państwa, które mogłoby im to życie uratować. Tym ludziom powinniśmy pomóc jak człowiek człowiekowi, jak chrześcijanin komukolwiek, bo chrześcijanie mają kochać bliźnich bez względu na to, czy są chrześcijanami, czy muzułmanami. Dlatego odsyłanie matek z dziećmi z powrotem do lasu uważam za podłe. I nie chciałbym, żeby motywem takiego działania był strach przed innym, cynicznie podsycany przez polityków.

Dla tych „innych” Europa jest ziemią obiecaną, do której uciekali i będą uciekać nadal. Nie dlatego, że mieli taki kaprys, ale dlatego, że cierpieli biedę i prześladowania, a niedługo z powodu kryzysu klimatycznego będą umierać z braku wody. Czy to nie jest sytuacja dla chrześcijanina, chciałoby się powiedzieć, wymarzona? Czy ksiądz na lekcji religii nie powinien takiej sytuacji opisać i zapytać: „Co zrobicie, drogie dzieci, gdy pojawi się taka osoba u waszych drzwi?”.

Chrześcijaństwo to przecież wiara wymagająca, by postawę wobec bliźniego zaświadczyć czynem. W efekcie zakłada również odpowiedź na takie dylematy, jak ów „płacz dziecka”.

W tym sensie podstawą chrześcijaństwa są idee heroiczne. Ale nie każdy Polak jest do heroizmu powołany, nawet jeśli jako Polacy chętnie uważamy, że nasz naród ma heroizm zapisany w genach. A jeśli fakty tego nie potwierdzają, to tym gorzej dla faktów.

© Rozmawiali KATARZYNA KUBISIOŃSKA

i MAREK KĘSKRAWIEC

Ścieżka oszukanych

WOJCIECH KONOŃCZUK

Łukaszenka widzi, jak łatwo jest podzielić Polaków, i wykorzystuje instrumentalnie migrantów. Białoruscy pogranicznicy kierują ich w drogę bez powrotu.

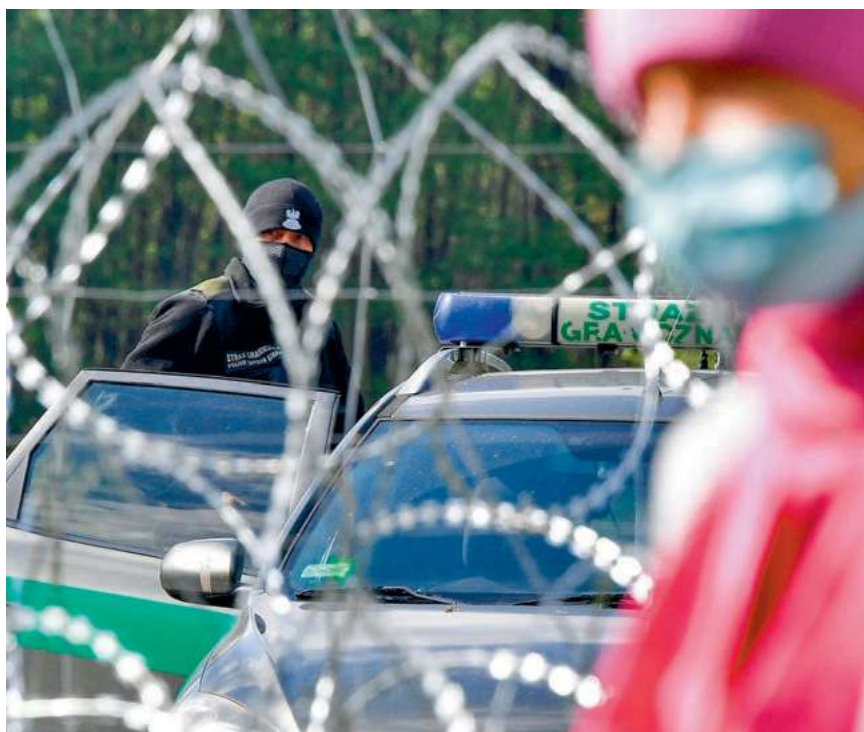
BIAŁORUŚ OCHRONIA GRANICĘ UNII Europejskiej przed nielegalną migracją – taka teza pojawiała się w retoryce Alaksandra Łukaszenki regularnie i od lat. Był to sposób na podniesienie swojego znaczenia w agendzie unijnej i na zdobycie znaczących środków finansowych. Zresztą świetnie się to udawało: w ciągu ostatnich dwóch dekad Mińsk otrzymał unijne wsparcie w wysokości ok. 85 mln euro na umocnienie granicy, jej infrastrukturę oraz na szkolenie i wyposażenie swojej straży granicznej.

Po wybuchu w sierpniu 2020 r. protestów społecznych i nieuznaniu przez Zachód wyniku wyborów prezydenckich, stosunki Białorusi z Unią znalazły się w najgłębszym kryzysie w historii. Wtedy reżim przypominał sobie o granicy.

„Niech się Zachód opamięta”

Jednym z pierwszych tego przejawów było oświadczenie szefa białoruskiej dyplomacji Władzimira Makieja z końca maja: ostrzegł on, że Białoruś nie wyklucza rezygnacji ze współpracy z Unią w sprawie nielegalnej migracji, o ile „Zachód się nie opamięta”. Słowa te padły kilka dni po tym, jak samolot Ryanaira z opozycyjnym dziennikarzem Ramanem Pratasiewiczem został zmuszony do lądowania w Mińsku. Wywołało to – nieoczekiwaną dla reżimu – reakcję państw unijnych, które zaczęły przygotowania do nałożenia na władzę w Mińsku sankcji gospodarczych.

Wcześniejsza reakcja Unii na działania Łukaszenki po sfalszowanych wyborach była zadziwiająco wstrzemięźliwa. Ograniczała się do objęcia zakazem wjazdu



VIKTOR TOLOCHKO / EAST NEWS

Zasieki na granicy białorusko-polskiej, 29 września 2021 r.

88 osób i nałożenia restrykcji na siedem firm (dalece nie najważniejszych). Oficjalnie reżim wyraził wtedy „rozczarowanie”, ale w rzeczywistości odetchnął z ulgą. Gdy po porwaniu samolotu Bruksela zaczęła wreszcie prace nad realnymi sankcjami, zaniepokojenie reżimu zaczęło rosnąć.

Niedługo po słowach Makieja poszły czyny. Do połowy czerwca Litwa zanotowała napływ niemal 500 migrantów, którzy przeszli nielegalnie granicę, choć w całym 2020 r. było ich zaledwie 81. Niebawem okazało się, że to jedynie prelude. Pełnowymiarowy kryzys wybuchł po przyjęciu przez Unię 21 i 25 czerwca dwóch kolejnych pakietów sankcyjnych, w tym – po raz pierwszy w historii – gospodarczego. Uderzyły one w najważniejsze sektory gospodarki białoruskiej.

W odpowiedzi Łukaszenka grzmiał: „Czy wyście tam powariowali? Wypowiedzieliście nam wojnę hybrydową i żądacie, byśmy was ochraniali, tak jak wcześniej?”. W Mińsku odbyła się narada dotycząca przeciwdziałania sankcjom, na której dyktator nie pozostawiał wątpliwości: „Jeśli ktoś myśli, że zamknijemy granicę z Polską, Litwą, Łotwą i Ukrainą, i że zaczniemy zatrzymywać zbiegów z Afganistanu, Iranu, Iraku, Libii i Syrii, to jest w głębokim błędzie. Nikogo nie będziemy wstrzymywać, przecież nie do nas idą”.

Wtórował mu minister Makiej, tym razem nie bawiąc się w dyplomatyczne konwenanse: „Białoruś nie ma zamiaru powstrzymywać zbiegłych migrantów, którzy zmierzają na Zachód”. Ogłosił też, że Mińsk wypowiada umowę o readmisji z Unią.

Sieci Mińska na Bliskim Wschodzie

Tym razem Łukaszenka zagrał w otwarte karty, a na efekty nie trzeba było długo czekać. Tylko na przełomie czerwca i lipca na Litwę napłynęło ponad tysiąc migrantów, co spowodowało, że 2 lipca rząd w Wilnie ogłosił w całym kraju stan nadzwyczajny. W ciągu kolejnego miesiąca ich liczba wzrosła do ponad 4100 osób, w tym niemal 3 tys. stanowili obywatele Iraku. Napływ migrantów zaczął się też na Łotwie, gdzie do początku sierpnia zatrzymano niemal 400 osób, co zmusiło Rygę do wprowadzenia od 11 sierpnia na terenach przygranicznych stanu wyjątkowego. Oba kraje poprosiły też o wsparcie Frontex – obecnie granicy litewskiej strzeże dodatkowo 150 funkcjonariuszy delegowanych przez kraje unijne (w tym 40 Polaków); kolejnych 40 delegowano na granicę łotewską.

Dzięki pracy dziennikarzy śledczych szybko udało się ustalić, jak reżim organizuje procedurę przerzutu migrantów na granicę z Unią. W krajach Bliskiego

Wschodu zaczęła działać białoruska agencja turystyczna Centrurort, należąca do Administracji Prezydenta. We współpracy z lokalnymi biurami podróży (irackimi i innymi) zaczęło rekrutować potencjalnych migrantów, obiecując im przerzut do Unii.

W uproszczonym trybie otrzymywali oni białoruskie wizy i bilety lotnicze do Mińska. Oczywiście nie za darmo: cały pakiet, wraz z rzekomą gwarancją przerzutu przez granicę unijną, kosztuje od kilku tysięcy do nawet piętnastu tysięcy dolarów. Reżim i pośrednicy z Bliskiego Wschodu zarabiają więc niebagatelne sumy. Przy okazji państwowe białoruskie linie Belavia, którym od maja zakazano lotów do i nad Unią, mogą podreperować swój budżet.

Polska głównym celem

W sierpniu stało się jasne, że reżim postanowił przekierować główną presję migracyjną z Litwy na granicę z Polską. Do tego momentu do naszego kraju przedostało się ok. tysiąc migrantów. W kolejnych tygodniach Straż Graniczna zaczęła notować po kilkaset prób nielegalnego przekroczenia granicy dziennie, znaczący spadek odnotowały natomiast służby litewska i łotewska.

Problem zaczął narastać, bo z kolejnych miast Bliskiego Wschodu startowały samoloty do Mińska. Wprawdzie jeszcze w sierpniu, dzięki wysiłkom dyplomacji litewskiej i unijnej, udało się zatrzymać bezpośrednie loty z czterech miast irackich. Fiasko poniosła natomiast próba skłonienia do tego samego Turcji (tylko ze Stambułu do stolicy Białorusi są cztery połączenia dziennie). Oprócz tego samoloty latają m.in. z Ammanu, Dubaju i Damaszku.

Szczególnie to ostatnie połączenie zaczęło w ostatnich tygodniach zyskiwać na znaczeniu – dziś są nawet dwa loty dziennie. Ponadto niedawno okazało się, że dla części lotów Damaszek to tylko port tranzytowy, gdyż w istocie są to loty Bagdad–Mińsk, tyle że z międzylądowaniem w Syrii. Ich operatorem są syryjskie linie Cham Wings Airlines, od kilku lat obłożone sankcjami USA. Jak widać, reżimy z Białorusi i Syrii świetnie się dogadują.

Trudno jest dokładnie oszacować liczbę migrantów, którzy codziennie lądują w Mińsku. Wydaje się, że obecnie jest to ok. 500 osób, z których tylko części

→ udaje się przeniknąć do Unii. Oznacza to, że po stronie białoruskiej może znajdować się co najmniej ok. 10 tys. migrantów, którzy czekają na możliwość przejścia na stronę unijną. Na wzrost ich liczby w ostatnich dniach wskazują też liczne zdjęcia, udostępniane w białoruskich mediach społecznościowych.

Strzały w powietrze

Z relacji migrantów, którym udało się dostać do Polski, wiadomo, że po przerzuceniu z Mińska do strefy przygranicznej przez jakiś czas byli koszarowani w tymczasowych schroniskach, a następnie białoruscy pogranicznicy wskazywali im najdogodniejsze miejsca do przekroczenia granicy. Normą jest ich okradanie, grożenie bronią i bicie. Gdy już trafiają w okolice granicy, nie mają możliwości wydostania się z niej. Tacy wyczerpani, wygłodniali, czasami chorzy ludzie trafiają potem na polską stronę.

Niepokojące jest również to, że polska Straż Graniczna i wspierający ją żołnierze odnotowują w ostatnich tygodniach coraz więcej incydentów o charakterze prowokacji ze strony białoruskich pograniczników. Są to strzały w powietrze, celowanie z broni do polskich strażników i żołnierzy, podrzucanie atrap bomb, symulowanie rzucania granatów. Najwidoczniej reżim liczy, że komuś po stronie polskiej puszcza nerwy i dojdzie do wymiany ognia. Gdyby do tego doszło, przeniosłoby to kryzys graniczny na znacznie poważniejszy poziom.

Problem nie tylko polski

Dotychczas przez granicę z Białorusią przedostało się do Unii prawdopodobnie nawet kilkanaście tysięcy migrantów. Staje się to coraz większym problemem także dla Niemiec. Białoruski odcinek granicy Polski i Litwy jest przecież również unijną granicą wschodnią.

Od początku obecnego kryzysu jest jasne, że celem migrantów nie jest ani Litwa, ani Polska, lecz Niemcy. Niemiecka

Nic nie wskazuje, aby Białoruś zrezygnowała z wykorzystywania migrantów jako instrumentu destabilizowania sytuacji u sąsiadów.

policja federalna raportuje o coraz większym napływie osób, które nielegalnie wjechały przez granicę z Polską. W sierpniu było ich ok. 400, we wrześniu 1,5 tys., w pierwszym tygodniu października zaś już ok. 600. Mówimy tu wyłącznie o osobach (głównie migrantach z Iraku i Syrii), które trafiły do ośrodków dla cudzoziemców w Brandenburgii. Do tego trzeba doliczyć ok. 750 osób zidentyfikowanych w Saksonii.

Przy tym nie wiadomo, ile osób, które przekroczyły granicę unijno-białoruską i dostały się do Niemiec, nie trafiło w pole widzenia niemieckich służb. Jest jasne, że część migrantów z sukcesem przenika przez niemal 700-kilometrową granicę litewsko-białoruską i ponad 400-kilometrową polsko-białoruską. Często czekają na nich umówieni wcześniej przemytnicy, zapewniający transport do Niemiec.

Ponadto Wilno poinformowało niedawno, że z litewskich ośrodków dla migrantów uciekło ok. 750 osób, z których jedynie nieznaczną liczbę udało się zatrzymać. Reszta musiała już dotrzeć do Niemiec. Nic dziwnego, że narastająca nielegalna migracja od strony wschodniej jest coraz ważniejszym tematem w niemieckich mediach i polityce.

Mińsk chce negocjować

Wywołując sztucznie kryzys na granicy z Unią, reżim w Mińsku chce osiągnąć co najmniej dwa cele. Po pierwsze, odwraca uwagę od trwających na Białorusi masowych represji, których charakter sprawia, że tamtejszy system nabiera cech totalitarnych. Po drugie, Łukaszenka liczy, że w końcu skłoni Polskę i Unię do negocjacji, i że za „rozwiązanie” problemu podyktuje odpowiednią cenę polityczną.

Warto przypomnieć, że mechanizm, który obecnie stosuje Mińsk, został przetestowany na przełomie 2015/16 r. na granicy rosyjsko-fińskiej. Przez kilka miesięcy Finowie obserwowali największy

w swojej powojennej historii napływ migrantów, którzy przekraczali nielegalnie granicę. Dopiero gdy Helsinki porzuciły politykę zamrażania kontaktów z Moskwą (zamroziły je po rosyjskiej agresji na Ukrainę) i bardziej wstrzymieźliwie odniosły się do rozwijania współpracy z NATO (Finlandia nie jest członkiem Sojuszu, ale po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej szuka z nim zbliżenia), kryzys graniczny natychmiast ustał.

Wydaje się, że przy pomocy rosyjskiego *know-how* Łukaszenka próbuje powtórzyć tę operację, choć na znacznie większą skalę. Nie ma wątpliwości, że ma na to przyzwolenie, a prawdopodobnie też wsparcie Rosji. Jak na razie, jego największym sukcesem jest doprowadzenie do ostrej polaryzacji w Polsce na tle oceny sytuacji na granicy. Jak ujął to jeden z moich białoruskich znajomych, który musiał uciekać z ojczyzny: „Reżim widzi, jak łatwo jest podzielić Polaków, bo i tak jesteście już wewnętrznie głęboko skłócenii. Dlatego presja na Litwę zelżała i skupili się na was”. Potwierdzeniem tych słów może być bezkrytyczne powtarzanie przez niektóre polskie media komunikatów suflowanych przez propagandę białoruską.

Będzie gorzej

Nie ma co liczyć, że w najbliższym czasie kryzys graniczny ustanie. Przeciwnie: wszystko wskazuje na to, że ulegnie pogorszeniu. Samoloty z Bliskiego Wschodu wciąż lądują w Mińsku, a wysiłki dyplomatyczne (warto odnotować niedawną wizytę polskiego wiceministra spraw zagranicznych w Jordanii) mogą przynieść jedynie częściowy skutek. Na takie reżimy jak syryjski ani Polska, ani Unia nie mają wpływu. Co więcej, od 15 października Białoruś znosi wizy m.in. dla Egiptu, Pakistanu i Iranu.

Zbliżająca się zima sprawi, że tysiące oszukanych ludzi, przebywających po stronie białoruskiej, znajdzie się w ekstremalnie trudnych warunkach. Wygląda na to, że Łukaszenka szykuje na granicy poważny kryzys humanitarny, którym zamierza wzmocnić szantaż wobec Unii. Za coraz liczniejsze ludzkie tragedie odpowiedzialność będzie przerzucał na Polskę i Litwę. Warto o tym pamiętać, gdy wkrótce będziemy słyszeć o kolejnych ofiarach na granicy.

© WOJCIECH KONOŃCZUK



WOJCIECH KONOŃCZUK

będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 13 października o godz. 15.20

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Tekst ukończono 8 października.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

*Zapraszam!
Katarzyna Kubisiowska*

Zostań

PATRONEM PODKASTU POWSZECHNEGO

Wybierz próg wsparcia
za 12 zł miesięcznie i otrzymaj
w prezencie „Wiślną 12”
– opowieść o niezwykłych ludziach
i adresie magicznym.

Wspieraj nas na:
Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

Ciesz się nagrodami i słuchaj podkastów
tworzonych z myślą o Tobie!

Zeskanuj i posłuchaj
podkastu o ul. Wiślną 12



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pieglik (kierownik),
Historia: Wojciech Pieglik
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszaźca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Druga Ewa*



NIE STWORZĘ JEJ Z OKA, ŻEBY NIE BYŁA ZBYT ciekawska i nie chciała wszystkiego zobaczyć na własne oczy. Nie stworzę jej z ust, żeby nie była zbyt gadatliwa. Nie stworzę jej z nogi, żeby nie była powsinogą... Tak midrasz odmalowuje dylemat Najwyż-

szego dotyczący fragmentu Adamowego ciała, z którego miała powstać Ewa. Ostatecznie Pan Bóg zdecydował się na część niewidoczną nawet wówczas, gdy człowiek jest nagi. Mizoginiczną puentę oryginału inteligentny czytelnik dośpiewa sobie sam, gdy podpowiem, że Boży plan okazał się doskonały tylko w zamyśle.

Amnezja dotycząca drugiego – a „chronologicznie” pierwszego – opisu stworzenia kobiety jest dość powszechna. „I stworzył Bóg człowieka na obraz Swój, na obraz Boga stworzył go; mężczyznę i niewiastę stworzył ich” (Rdz 1, 27; Cyłkow) – powstałi jednocześnie i w związku z tym wygląda na to, że byli sobie równi! Jak pogodzić to z Rdz 2, 18-24? Można np. uznać, jak czyni to midrasz, że pierwszy opis nie dotyczył Ewy, lecz... innej kobiety.

Lilit, bo tak brzmiało jej imię, została ulepiona wraz z Adamem z prochu ziemi. Kiedy miało dojść do skonsumowania ich związku, kobieta stanowczo oprotestowała pozycję misjonarską. Mężczyzna nalegał, by być „na górze”, Lilit wy-mówiła więc Boże Imię i odfrunęła. Bezradny Adam zwrócił się o pomoc do Najwyższego. Wysłani za Lilit aniołowie wskórali niewiele – kobieta obiecała, że gdy ujrzy na amulecie ich imiona, powstrzyma się od uczynienia komukolwiek krzywdy. Skąd takie dziwne zakończenie? Postawa Lilit go-dziła w – nazwijmy to oględnie – tradycyjną wizję rodziny, dlatego nadano jej cechy demoniczne.

Babilońskie demony *lilu* (męskie) i *lilitu* (żeńskie) to protoplaści naszej Lilit. Jedne porywały i pożerały noworodki, inne były duchami młodo zmarłych, którzy szukali wśród żywych partnerów, nocą wślizgując się do domów. Stąd wiara, że nasza „demonica” zagraża niemowlętom i samotnie śpiącym mężczyznom. Talmud zakazuje spać samemu w pustym domu, a kto śpi sam, dobierze się do niego skrzydłata długowłosa Lilit. Na terenie dzisiejszego Iraku i Iranu znaleziono misy zawierające zaklęcia, które miały chronić przed podobnymi demonami.

Lilit pojawia się tylko raz w Biblii, w Iz 34, 14, wśród zwierząt zamieszkujących ruiny. W większości tłumaczeń pozostaje niezauważalna, bo „lilit” to po hebrajsku „puszczyk”. Proszę jednak zajrzeć do Biblii Tysiąclecia. Nasza bohaterka żyła przez setki lat w niesławie, póki żydowskie feministki nie dostrzegły w niej wzoru kobiety niezależnej. I tak Lilit została wyniesiona tam, gdzie należy jej miejsce: na sztandary walki o wolność, równość, siostrzeństwo. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Nie wiecie, czego chcecie*



JEZUS IDZIE DO JEROZOLIMY W PRZEKONANIU, że tam nastąpi kulminacja Jego życia, śmierć i to na krzyżu-szubienicy. Na to wydarzenie przygotowuje apostołów, co łatwo Mu nie przychodzi. Wciąż jeszcze myślą po swojemu, a nie po jeso-

wemu. Przekonani, że Jezus, jako prorok, mesjasz, Syn Boży, w końcu okaże swoją moc, zabiegają o przywileje należne zwolennikom. Jakub i Jan marzą, powiedzielibyśmy dzisiaj, o karierze politycznej, powiedzmy premiera czy prezydenta. „»Nauczycielu, chcemy, żebyś uczynił dla nas to, o co Cię poprosimy. (...) Spraw, abyśmy zasiedli w Twojej chwale: jeden po Twojej prawej stronie, a drugi po lewej«. Jezus im powiedział: »Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić, albo przyjąć chrzest, którym Ja mam być chrzczony?«. Odpowiedzieli Mu: »Możemy«”.

Rzeczywiście, gdyby Jezus spełnił ich prośbę, przy Jego tronie na Golgocie nie wisieliby zwykli przestępcy, ale Jakub z Janem. Chcąc apostołów wyprowadzić z błędu niewłaściwego widzenia Jego osoby, Jezus powiedział: „Kielich, który Ja mam pić, będziecie pić; i chrzest, którym Ja jestem chrzczony, wy też przyjmiecie. Jednak nie do Mnie należy rozdawać miejsca po mojej prawej lub po lewej stronie, lecz dostaną je ci, dla których je przygotowano”. Tym sposobem daje im do zrozumienia, że zarówno On, jak i oni powinni bezgranicznie zaufać Bogu. Uwierzyć, że nie ma takiego miejsca i takich wydarzeń, w których Boga by nie było. Nawet w piekle. Wszystko jest przecież w rękę Boga i w Jego sercu. Takie przekonanie zmienia patrzenie na rzeczywistość, w której Bóg daje nam łaskę życia.

Proboszcz z Majdanka – tak nazwano bł. ks. Emiliana Kowczę – w grypsie przemyconym z tegoż obozu koncentracyjnego tak pisał do żony i dzieci: „Dziękuję Bogu za jego łaskawość dla mnie. Poza Niebem to jedyne miejsce, w którym chciałbym przebywać. Wszyscy jesteśmy tu równi: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie, Litwini czy Estończycy. Modlimy się w różnych językach, ale czyż Bóg nie zna wszystkich języków? Po tysiąckroć dziękuję Mu za to, że posłał mnie właśnie tutaj”.

A setki lat przed nim Ignacy z Loyoli pisał: „Tak więc chodzi o to, byśmy ze swojej strony nie pragnęli bardziej zdrowia niż choroby, bogactwa niż ubóstwa, szacunku niż pogardy, życia długiego niż krótkiego; i – co za tym idzie – byśmy spośród wszystkich pozostałych rzeczy pragnęli tylko tego i to tylko wybierali, co nas bardziej prowadzi do celu, dla którego zostaliśmy stworzeni”. A tym celem jest „dobro dusz” i większa chwała Boga.

A co się dzieje w Kościele, gdy starsi Kościołów zaczynają rządzić jak królowie czy prezydenci, słowem: politycy? Właśnie teraz, aż nadto boleśnie, tego się dowiadujemy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Prośba Modlitwy Pańskiej

*Prawda jest jedna,
lecz i wieloraka
– z naszego powodu,
aby w miłości uczyć nas
o jednym przez wielość.*

EWANGELIA FILIPA



*Wolność jest lepsza
od narzuconej doskonałości.*

HENRYK ELZENBERG



LITURGIA PRZYPOMNIAŁA nam niedawno moment, w którym Jezus – na prośbę uczniów – uczy ich modlitwy: „Kiedy się modlicie, mówcie: Ojciec!”. I następnie w zapisie Łukasza (Łk 11, 2-4) pada pięć prośb: „niech się święci Twoje imię”, „niech przyjdzie Twoje królestwo”, „naszego chleba powszedniego dawaj nam na każdy dzień”, „przebacz nam nasze grzechy” oraz „nie dopuść, byśmy ulegli pokusie”.

Warto jednak zauważyć, że chociaż w tym miejscu kończy się sam tekst „Modlitwy Pańskiej”, to jednak pouczenie Jezusa na jej temat jeszcze nie. Następujące potem wersety (Łk 11, 5-13) są jego integralną częścią: nauczywszy nas „słów” swojej modlitwy, Jezus uczy nas dalej jej „ducha” – by się modlić jak On, nie wystarczy jedynie nauczyć się najpierw na pamięć, a potem po prostu wyrecytować „podyktowane” przez Niego zdania. Pan podpowiada nam więc gorliwość i upór – wręcz natręctwo – na modlitwie; natręctwo i zuchwałość, które nie są wszakże podyktowane czym innym, jak tylko istniejącą między Bogiem a nami relacją przyjaźni: „Przyjacielu, użyż mi trzy chleby, bo mój przyjaciel przyszedł do mnie z drogi, a nie mam co mu podać...” (wers 6).

Całe pouczenie zamyka Jezusowa obietnica: „Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim

dzieciom, o ileż bardziej Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą” (wers 13).

Obietnica ta najwyraźniej zbiera poprzednie pięć prośb „Modlitwy Pańskiej” w jedną, zapewniając nas, że Ojciec nie odmówi nam daru Ducha Świętego!

Tak. Otrzymawszy Ducha Świętego, otrzymujemy wszystko, o co uprzednio prosiliśmy: to Duch Święty napędza nas czcią i uwielbieniem Boga. To On również ogłasza w nas Jego Królestwo. Bez Jego pomocy nie potrafimy przecież nawet powiedzieć, że „Jezus jest Panem” (zob. 1 Kor 12, 3), a co dopiero podporządkować swe życie tejże deklaracji.

Prosząc Boga o chleb na dziś, poddajemy się niewątpliwie Duchowi Świętemu – Duchowi rad ewangelicznych: Duchowi ubóstwa i umiejętności poprzestawania na tym, co konieczne.

Bez Ducha niemożliwa jest również prośba o przebaczenie grzechów. Jest niemożliwa, ponieważ to Duch „przekonuje nas o grzechu” (zob. J 16, 8), a więc uświadamia nam i przypomina naszą grzeszność – przy czym czyni to w taki sposób, że nie tracimy nadziei: ani co do Boga, ani co do samych siebie. To w Nim też – w Duchu Świętym – odpuszczane są nam nasze grzechy (zob. J 20, 22-23). I w końcu, nie co innego, jak życie w Duchu (i Jego łaska) broni nas przed przychodzącą pokusą. „Ojciec, daj nam Ducha, a to nam wystarczy!” ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 X)

29. niedziela zwykła: Iz 53, 10-11;
Ps 33; Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45;
Poniedziałek: 2 Tm 4, 9-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Wtorek: Rz 5, 12. 15b. 17-19. 20b-21;
Ps 40; Łk 12, 35-38;
Środa: Rz 6, 12-18; Ps 124; Łk 12, 39-48;

Czwartek: Rz 6, 19-23; Ps 1; Łk 12, 49-53;
Piątek: Rz 7, 18-25a; Ps 119;
Łk 12, 54-59;
Sobota: Rz 8, 1-11; Ps 24; Łk 13, 1-9;
30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9;
Ps 126; Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52.

Wybrał PIOTR SIKORA

WYPRUWANIE ŻYŁ

Nie oczekujmy w szpitalach standardów europejskich
– pielęgniarek jest u nas prawie dwa razy za mało.

EWELINA BURDA, MACIEJ MÜLLER



WERONIKA PRACUJE OD CZTERECH lat: – Pamiętam mój pierwszy dyżur: ja i dziewczyna, która miała trzy-miesięczny staż pracy. Byłyśmy same na oddziale z 36 pacjentami, bo nie było nikogo, kto mógłby wziąć z nami ten dyżur. Tak przerażona jak wtedy nie byłam chyba nigdy.

Dziś nie pracuje w publicznej ochronie zdrowia, jest zadowolona z zarobków. – Większość postulatów strajkujących medyków nie dotyczy mnie teraz bezpośrednio, ale nie wiadomo, kiedy znów będę pracować w publicznej placówce albo sama będę musiała korzystać z usług medycznych – mówi. – W pań-

stwowej ochronie zdrowia nie byłam w stanie dłużej wytrzymać. To, co tam się działo, było dla mnie wykańczające psychicznie. Wielokrotnie byłam świadkiem sytuacji, które były ze szkodą dla zdrowia i życia pacjentów, bo na oddziale brakowało rąk do pracy. Dziękuję losowi za miejsce, w którym teraz jestem, to placówka prywatnej sieci, ale realizuje też świadczenia na NFZ.

Weronika pracuje z pacjentami onkologicznymi na małym, czterołożkowym oddziale. – Mam tu czas: moi pacjenci nie mają odleżyn, są wypielęgnowani, dostają leki na czas, nie boli ich, bo mogę dokładnie zadbać o kontrolę bólu. Mam czas

z nimi porozmawiać – mówi. – I bardzo bym chciała, żeby wszystkie moje koleżanki miały takie warunki pracy.

Po 16 prosimy nie umierać

To pierwszy taki protest: nie dość, że trwa już miesiąc – zaczął się 11 września, 30-tysięcznym przemarszem przez Warszawę i założeniem Białego Miasteczka 2.0 – to zgromadził niemal wszystkie zawody związane z ochroną zdrowia. W manifestacji szli lekarze (miasteczko jest pomysłem rezydentów), pielęgniarki, położne, fizjoterapeuci, diagnosty laboratoryjni, ratownicy, a także pracownicy niemédyczni (rejestratorzy, salowe, księgowe itd.).

Powołano wspólny Ogólnopolski Komitet Protestacyjno-Strajkowy Pracowników Ochrony Zdrowia i przedstawiono osiem postulatów. To m.in. zmiany w ustawie o najniższych wynagrodzeniach w ochronie zdrowia, wzrost wyceny świadczeń medycznych (mają one decydujący wpływ na wysokość kontraktów podpisywanych przez NFZ ze szpitalami), wprowadzenie urlopu zdrowotnego czy uchwalenie ustaw o medycynie laboratoryjnej i zawodzie ratownika medycznego. Krótko mówiąc: chodzi o radykalną przebudowę systemu ochrony zdrowia.

Obecność pielęgniarek wśród protestujących jest oczywista. – Wraz z położnymi stanowią 60 proc. personelu większości szpitali – wskazuje Zofia Małas, prezes Naczelnej Rady Pielęgniarek i Położnych, samorządu zawodowego. – Mamy również najszerszy zakres zadań. Ustawa o naszych zawodach precyzyjnie wskazuje, jakich świadczeń zdrowotnych możemy udzielać: to m.in. planowanie i sprawowanie opieki pielęgnacyjnej nad pacjentem, orzekanie o rodzaju i zakresie świadczeń opiekuńczo-pielęgnacyjnych, ale także takie zadania, jak profilaktyka, promocja zdrowia czy edukacja zdrowotna.

Natalia jest w zawodzie od 15 lat, pracuje na oddziale chirurgii, uczy podstaw pielęgniarstwa na uniwersytecie: – Czujemy się oszukane. I nie chodzi tylko o finanse, ale też o przepracowanie i o to, że nie jesteśmy doceniane w pracy. Na naszych barkach jest ogrom pracy papierkowej: w regulaminie mojego szpitala stoi, że pielęgniarka podczas 12-godzinnego

*Protest pielęgniarek i położnych.
Warszawa, 12 maja 2021 r.*



JACEK SZYDEŁSKI / FORUM

→ dyżuru ma przeznaczyć na uzupełnienie dokumentacji trzy godziny. A tych godzin nie ma. Powinnam powiedzieć pacjentom: moi drodzy, od godziny 16 do 19 proszę nie dzwonić dzwonekami, nie chorować, nie umierać. Nie podam basenu, nie podłączę kroplówek, bo muszę wypełnić dokumentację. Jesteśmy zarzucone pracą i myślę, że to jest powód do zniechęcenia: chcemy coś robić, ale jesteśmy przemęczone, dochodzą nowe obowiązki.

– Wspólnie z całym środowiskiem medycznym walczymy o gruntowne zmiany, ponieważ system jest niewydolny – tłumaczy Zofia Małas. – Skutkiem niedofinansowania jest m.in. długi czas oczekiwania na konsultację specjalistyczną, zabieg czy rehabilitację. Nawet jeśli w końcu osiągniemy deklarowane przez rząd 7 proc. PKB na ochronę zdrowia, nadal będziemy odstawiali od standardów europejskich.

Według OECD w 2019 r. Polska przeznaczyła na zdrowie 4,3 proc. PKB (biorąc pod uwagę tylko środki publiczne). Dla porównania ten wskaźnik dla Niemiec wynosił 9,9 proc., dla Belgii 7,9 proc., dla Czech 6,5 proc. – Oczekujemy realnego wzrostu wyceny świadczeń medycznych oraz ryczałtów o 30 proc. – tłumaczy Małas. – Niestety, rozsądna propozycja zmian w ustawie o wynagrodzeniach minimalnych w ochronie zdrowia, opracowana przez medyków, niedawno przepadła dwoma głosami w Sejmie. To stało się zarzewiem protestu, ale chciałabym podkreślić, że nie chodzi w nim głównie o podwyżki. To ważna sprawa, ale my walczymy o naprawę całego systemu.

Są trzy stare, poradzą sobie

Bo czynnikiem sprawiającym, że systemowi grozi zapaść, są przede wszystkim braki kadrowe: dotyczy to zarówno lekarzy specjalistów, jak i pielęgniarek. Tych ostatnich pracuje w państwowym systemie 232 387 (do tego dochodzi 28 444 położnych). Może się wydawać, że to dużo, ale to pozory. Według danych samorządu w Polsce przypada 5,2 pielęgniarki na tysiąc mieszkańców. Średni wskaźnik dla krajów OECD to 9,4. Krótko mówiąc, nie oczekujemy w szpitalach standardów europejskich – pielęgniarek jest u nas prawie dwa razy za mało.

Grażyna jest w pielęgniarstwie od 25 lat, pracuje w szpitalu w dużym mieście wojewódzkim: – Możemy to powtarzać do znużenia: jest nas za mało. Częsty scenariusz:

gdy jedna z nas się rozchoruje, oddziałowa patrzy na obsadę i mówi: „Są trzy stare, poradzą sobie”. „Stare”, czyli z dużym stażem pracy. Jak ja. Często po takim dyżurze nie mogę zasnąć, przewracam się z boku na bok, myślę, czy na pewno wszystko zdążyłam zrobić. Bo było nas mało. Powinnam umieć to rozdzielić: praca – życie prywatne, ale w praktyce to bardzo ciężkie. Muszę się wywiązać ze swoich obowiązków, a jak czegoś nie zdążę zrobić, to pacjent będzie pokrzywdzony – a to nie on jest winny. A że nas było za mało na dyżurze? To ostatecznie nikogo nie obchodzi, jeśli coś źle pójdzie.

– To jest bardzo trudny zawód, obciążający fizycznie i psychicznie – mówi prezes samorządu Zofia Małas. – Wtedy, gdy na dyżurze powinno być nas pięć albo sześć, są dwie, a zdarza się, że i jedna. Najgorzej jest na oddziałach psychiatrycznych. Według standardów europejskich na jedną pielęgniarkę powinno przypadać kilkoro pacjentów. W warunkach polskich jest ich kilkanaścioro albo i kilkudziesięcioro. O jakim standardzie pracy możemy zatem mówić w takich warunkach? Nie dość, że pacjenci są niezadowoleni, i trudno im się dziwić, to wśród personelu narasta frustracja, bo po prostu nie jest w stanie dobrze wywiązać się ze wszystkich obowiązków. Rośnie też ryzyko popełnienia błędu. A przecież podlegamy odpowiedzialności zawodowej, karnej i cywilnej. Medyk powinien wykonywać obowiązki zgodnie z aktualną wiedzą medyczną, kompetencjami oraz obowiązującymi przepisami prawa. Pytanie o to, czy jest to możliwe w polskich warunkach, pozostawię bez odpowiedzi.

Z badań Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych wynika, że średnia wieku umieralności pielęgniarek jest niepokojąco niska: to ok. 62 lat. Tymczasem statystyczna Polka żyje 20 lat dłużej. – Nadmiar obowiązków, trudne warunki pracy sprzyjają chorobom przewlekłym – podkreśla prezes Małas. – Wiele pielęgniarek choruje onkologicznie, zapada na choroby układu krążenia, narządu ruchu, cukrzycę.

Kamila, pielęgniarka z czteroletnim stażem pracy, w trakcie specjalizacji operacyjnej: – Słyszymy, że jak się nie podoba, to możemy odejść, bo zawsze się znajdzie ktoś na nasze miejsce. Gdzie oni są w takim razie? Gdybyśmy wszyscy pracowali tylko w jednym miejscu, na jednym etacie, to połowa szpitali czy przy-

chodni musiałyby się zamknąć. Nie zliczę, ile razy zostawałam po godzinach, żeby być przy operacji, bo wiedziałam, że inaczej ona się nie odbędzie. Było mi żal pacjenta, który np. cały dzień był na czczo, czekał. Zostawałam, i nikt mi za to nie płacił. Mówimy wtedy między sobą: trzeba pomóc, jak nie my, to kto? Choć wiemy, że nie na tym powinna polegać nasza praca, bo właśnie: to jest praca. Ale z drugiej strony, gdy już zostaje, to myślę, że ta duża doza empatii jest w jakiś sposób wpisana w pielęgniarstwo.

Być grzecznymi dziewczętami

„Ostatni gasi światło”. Takim hasłem opatrzyli rezydenci *tweet* opisujący wykresy rozkładu wieku w zawodach medycznych. „Sytuacja wśród lekarzy jest zła, ale wśród pielęgniarek jest tragiczna. Jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek system ochrony zdrowia za 10 lat, to reform potrzeba teraz” – napisali.

Wystarczy rzut oka na infografikę (s. 26), by się przekonać, skąd ten alarmistyczny ton: brakuje młodych roczników, nie ma zastępowalności pokoleń. „Największy liczbowo przedział wiekowy wśród pielęgniarek to 51-60 lat, który obejmuje 83 129 – czytamy w raporcie Izby. – Mimo nabycia uprawnień emerytalnych ciągle pracuje w zawodzie aż 63 120 pielęgniarek (przedziały 61-70 i przedział pow. 70 lat). Stanowi to 27,2 proc. ogółu zatrudnionych”.

– W roku 2015 średnia wieku pielęgniarki wynosiła 48 lat. Dzisiaj to 53 lata, a jeśli nic się nie zmieni, w 2030 r. będzie to 60 lat – mówi prezes Małas. – Rokrocznie uprawnienia emerytalne nabywa ok. 9-10 tys. pielęgniarek. W 2020 r. prawo wykonywania zawodu uzyskało tylko 5,6 tys. absolwentów na kierunkach pielęgniarstwo i położnictwo, ale pracę w publicznym systemie ochrony zdrowia podjęło 2,5 tys. Do 30 września tego roku prawo wykonywania zawodu odebrało 4,6 tys. absolwentów, ale tylko 1,6 tys. podjęło pracę. Tymczasem, jeżeli chcielibyśmy utrzymać aktualny wskaźnik 5,2 pielęgniarki na 1 tys. mieszkańców, pracę w systemie powinno co roku podejmować ok. 10 tys. osób. Z kolei osiągnięcie standardów OECD wymagałoby kształcenia 20 tys. pielęgniarek i położnych rocznie.

Samorząd wyliczył, że gdyby wszystkie uprawnione do tego osoby przeszły dziś na emeryturę, trzeba by z miejsca

LICZBA SZPITALI BEZ PIELĘGNIAREK I POŁOŻNYCH*

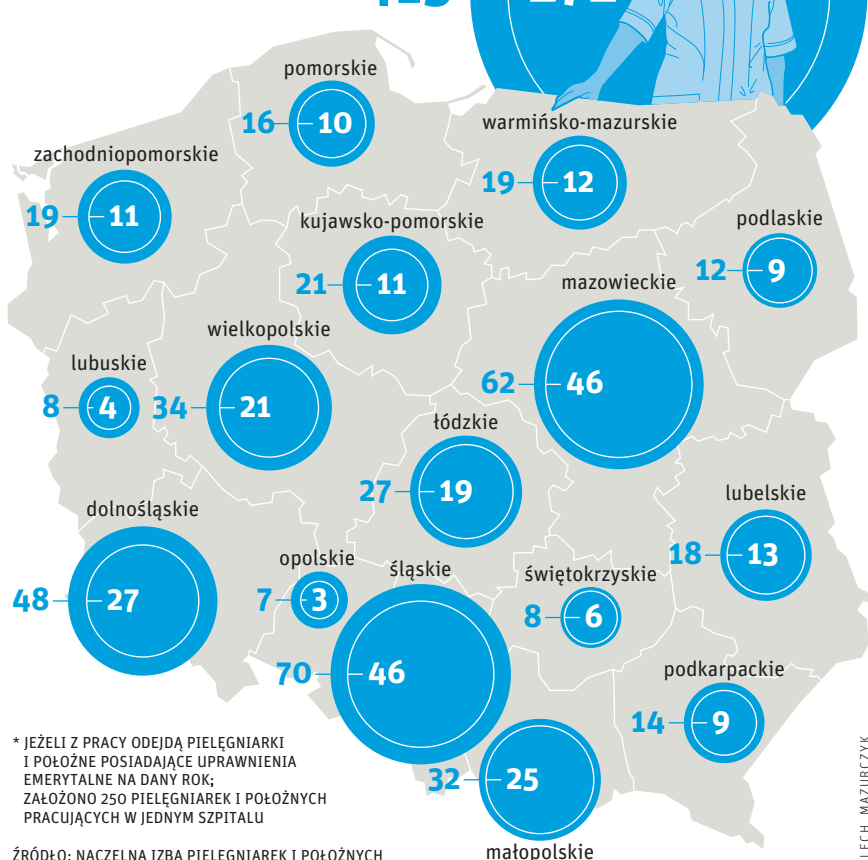
OGÓŁEM

2030 r.

415

2021 r.

272



* JEŻELI Z PRACY ODEJĄ PIELĘGNIARKI I POŁOŻNE POSIADAJĄCE UPRAWNIENIA EMERYTALNE NA DANY ROK; ZAŁOŻONO 250 PIELĘGNIAREK I POŁOŻNYCH PRACUJĄCYCH W JEDNYM SZPITALU

ŹRÓDŁO: NACZELNA IZBA PIELĘGNIAREK I POŁOŻNYCH

LECH MAZURCZYK

zamknąć 272 szpitale (na ok. 950 funkcjonujących w Polsce) – bo nie zostałyby w nich ani jedna pielęgniarka (zob. infografika powyżej). A ponieważ kryzys postępuje, do końca dekady liczba ta wzrośnie do 415. Zofia Małas: – Mamy nadzieję, że takie argumenty przemówią do decydentów. Tym bardziej że społeczeństwo się starzeje, a tym samym rośnie zapotrzebowanie na opiekę pielęgniarską.

– Dyrektorzy szpitali na ogół utrzymują, że chętnie zatrudnią wymaganą liczbę pielęgniarek – mówi Zofia Małas. – Ale potrzebują środków na nowe etaty. Braki kadrowe dotyczą zatem całej Polski, tak w szpitalach powiatowych, jak i w wojewódzkich. Dlatego priorytetem państwa powinno stać się uatrakcyjnienie warunków wykonywania zawodów medycznych. Młodzi chcą pracować na jednym etacie i na tyle godnie zarabiać, by z pielęgniarskiej pensji móc utrzymać rodzinę.

Krystyna, pielęgniarka od prawie 40 lat, obecnie pracuje jako położna i wykłada na studiach pielęgniarskich: – Dlaczego nasz zawód nie jest atrakcyjny dla młodych osób? Jestem jedną z najstarszych w naszej części uczelni i ciągle widzę, że nasze kształcenie nie jest do końca nowoczesne. Czasem nieświadomie przekazujemy kolejnym pokoleniom stereotypy i stare wzorce. Z pozoru błaha rzecz: wiele osób razi, kiedy studenci na zajęciach praktycznych mają kolorowe stroje. Z czego to wynika? Pewnie z tego, że my, moje pokolenie, byliśmy kształcone, by być uśmiechniętymi, schludnymi i grzecznymi dziewczętami, które stoją równo w rzędzie w jednakowych mundurkach i białych rajstopach.

Drogie panie, szanowne koleżanki

Jak podaje Naczelna Izba Pielęgniarek i Położnych, na koniec 2020 r. z wszystkich osób zarejestrowanych w zawodzie

mężczyźni stanowili 2,5 proc. To mało, ale liczba ta powoli rośnie – na koniec 2008 r. mężczyźni w pielęgniarstwie stanowili niespełna 1,8 proc.

Mateusz Sieradzan, specjalista w dziedzinie pielęgniarstwa ratunkowego i ratownik medyczny, prowadzi w mediach społecznościowych profil „Pan Pielęgniarka”, w zawodzie od 10 lat: – Dlaczego mężczyźni nie wybierają tego zawodu? Bo pielęgniarstwo to według stereotypów kobieta, która biega po oddziale z basenem i w czepku na głowie roznosi leki. Nie jest to wizerunek zachęcający. A to przekonania bardzo krzywdzące, bo pielęgniarstwo się rozwija, jeszcze kilka lat temu nie było tak samodzielnym zawodem z wieloma perspektywami. Dziś jako pielęgniarki i pielęgniarze możemy wypisywać recepty, udzielać porad medycznych, po określonych specjalizacjach możemy wykonywać czynności, które jeszcze kilka lat temu były zarezerwowane dla lekarzy. A społeczeństwo i również wiele pielęgniarek ma bardzo przestarzałe postrzeżenie na ten zawód.

– Jest dużo do zrobienia, także w kwestii płciowej – podkreśla Sieradzan. – Po prostu, że to zawód przeznaczony tylko dla kobiet, jest bardzo szkodliwe i przede wszystkim nieprawdziwe. Jako pielęgniarz, będący w mniejszości, muszę mieć sporo dystansu, choćby do tego, że ciągle słyszymy, jak ktoś zwraca się do nas wyłącznie „drogie panie” czy „szanowne koleżanki”.

Nie jesteśmy darmozjadami

O wynagrodzeniach pielęgniarek mówi się od lat. Dzisiaj w świetle ustawy pielęgniarzka podejmująca zaraz po studiach pracę w systemie państwowym ma 3,7 tys. zł podstawy brutto (czyli na rękę ok. 2,5 tys.). – Na Węgrzech lekarze zarabiają trzy średnie krajowe, pielęgniarki dwie. My zgłaszamy taki postulat od roku 1997 – mówi Zofia Małas. – U nas nie jest to nawet jedna średnia krajowa. Z czasem, w zależności od stażu pracy, zdobywania kwalifikacji, ukończenia studiów drugiego stopnia i specjalizacji, których jest 23, wynagrodzenia powinny rosnąć.

Magda, studentka II roku pielęgniarstwa, ratowniczką po kursie kwalifikowanej pierwszej pomocy: – Uważam, że pieniądze dla młodych pielęgniarek wchodzących do systemu nie są dziś tragiczne, zwłaszcza w porównaniu do tego, co było kilkanaście lat temu. Przeraża

→ mnie bardziej to, że zaraz po studiach będę dostawała wypłatę porównywalną do pielęgniarki, która ma 30 lat doświadczenia w zawodzie, a jej jedyną „winą” jest to, że skończyła liceum lub studium medyczne, a nie studia wyższe. Taki system wynagradzania tylko pogłębia różnice pokoleniowe i potęguje podziały w naszym środowisku.

Obecnie trwające negocjacje z rządem dotyczą m.in. właśnie siatki płac pielęgniarek. – To efekt odrzucenia przez parlament naszych propozycji – tłumaczy Zofia Małas.

Problem dotyczy grupy 130 tys. starszych pielęgniarek, które rozpoczynały pracę przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Pielęgniarki uczyły się wtedy zawodu w liceach medycznych, dopiero dyrektywa unijna nałożyła na Polskę obowiązek kształcenia w systemie studiów wyższych (licencjackich lub magisterskich). – Według obecnych rozwiązań są one dyskryminowane: absolwentka uczelni, rozpoczynająca pracę w szpitalu zarabia więcej niż taka, która przepracowała 30-40 lat i zyskała ogromne doświadczenie – mówi Zofia Małas. – Wywalczenie sprawiedliwej siatki płac jest obecnie jednym z naszych najważniejszych celów.

– Pielęgniarstwo nie jest dochodowym zawodem. Absurd polega na tym, że my nie podpadamy pod realia rynku – mówi Mateusz Sieradzan. – Bo zazwyczaj jest tak, że jeśli brakuje kadry specjalistycznej, którą trudno wykształcić, jest to kosztowne i czasochłonne, to taka kadra zarabia bardzo dobrze. A nasze płace są ustalane centralnie, braki kadrowe nie mają na nie żadnego przełożenia, jeśli mówimy o publicznym systemie.

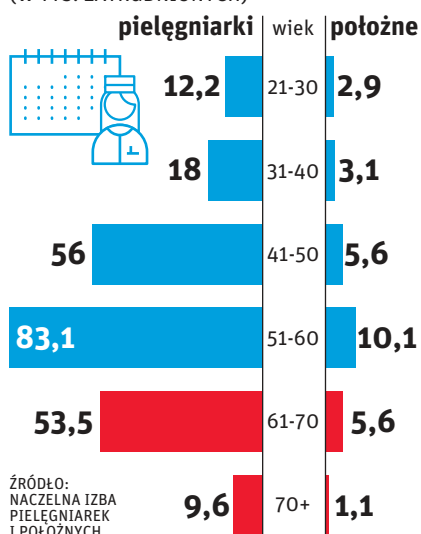
– Często się słyszy, że jesteśmy darmozjadami, bo zarabiamy osiem tysięcy z czyichś podatków. Ale nikt nie zastanawia się, za ile to godzin pracy. Nie znam pielęgniarek czy ratowników, którzy pracują na jednym etacie. Standardem jest trzysta, czterysta godzin pracy miesięcznie – podkreśla.

Jak to dobrze, że wyjechałaś

Maria jako pielęgniarka pracuje od 38 lat: – Podczas pierwszego Białego Miasteczka, które powstało pod Sejmem w 2007 roku, działałam w związku zawodowym. Zapytano mnie wtedy, co będzie, jeśli nie uzyskamy poprawy warunków naszej pracy. Powiedziałam, że trudno, w takim razie wyjadę. I dziesięć lat temu

STRUKTURA WIEKOWA

(W TYS. ZATRUDNIONYCH)



wyjechałam z Polski. Pracuję w swoim zawodzie, w szpitalu w Belgii. Być pielęgniarką w Polsce a tutaj to dwa różne światy. W Polsce – i wiem, że to się od mojego wyjazdu nie zmieniło – są sytuacje, że na dyżurze są dwie pielęgniarki i mają oddział, na którym jest nawet osiemdziesiąt łóżek. Tutaj jest nas dwoje, ale mam dwudziestu pacjentów na oddziale. Jest różnica, prawda?

Pewnie że wolałabym pracować u siebie. Ale degradacja naszego zawodu trwała latami i nikt się tym nie przejmował. Rządzący nadal nie przejmują się tym, że jest nas coraz mniej, a dziewczyny, jeżeli mają możliwość, to wyjeżdżają – opowiada. – Gdy jestem w Polsce, to zawsze odwiedzam oddział, na którym pracowałam. Od jednej z koleżanek kiedyś usłyszałam: „Jak to dobrze, że wyjechałaś. Szkoda, że my nie miałyśmy tyle odwagi”. Niektórzy mówią, że jesteśmy roszczeniowe, a zarabiamy kokosy. W którym szpitalu? Proszę mi powiedzieć, a ja natychmiast wyjeżdżam z Belgii i wracam. Bo może i jestem tutaj, ale nikt nie wytrzebi ze mnie polskiej pielęgniarki – mówi Maria.

Krystyna: – Pod koniec lat 80. wyjechałam do Niemiec, zmusiły mnie to tego względy ekonomiczne. Powrót do kraju był twardym zderzeniem ze szpitalną rzeczywistością. Dziś mamy ogromny rozwój pielęgniarstwa pod kątem medycznym, można powiedzieć, że między tym, co było podczas moich początków w zawodzie, a tym, jak to wygląda teraz, są

całe epoki. Ale jeśli chodzi o te warunki płacowo-socjalne, które lata temu skłoniły mnie do wyjazdu, to jak było źle, tak jest nadal.

W gablotach informacyjnych na korytarzach wydziałów pielęgniarskich wiszą dziś liczne oferty kursów językowych: szwedzki medyczny, norweski medyczny. Do izb pielęgniarskich przychodzą oferty firm pośredniczących w rekrutacji personelu za granicę.

Co się dzieje z absolwentami kierunków pielęgniarskich i położniczych, którzy nie podjęli pracy w systemie? Zofia Małas: – Część znalazła zatrudnienie w prywatnej ochronie zdrowia. Większość mówi wprost, że jeśli warunki zatrudnienia nie spełnią ich oczekiwań, wyjadą za granicę. Czekają jedynie na koniec pandemii. Popularne dzisiaj kierunki zawodowej emigracji to Szwajcaria, Niemcy, ale też Czechy.

Kamila: – Od liceum wiedziałam, że chciałam robić coś w kierunku medycznym. Gdy wybierałam studia, zdawałam sobie sprawę, jakie są zarobki, ale przekonało mnie to, że praca w pielęgniarstwie jest pewna. Mam dużo możliwości, znajduję wszędzie: nie tylko w szpitalu, ale też w gabinetach prywatnych. Zawsze mogę wyjechać, mam otwartą furtkę. Kilka moich koleżanek już podczas licencjatu uczyło się niemieckiego, by wyjechać.

Mateusz Sieradzan: – Młodzi ludzie wchodzący w zawód widzą, jak to wygląda na Zachodzie i do czego chcieliby dążyć. Nie chcą brać na siebie tego obciążenia, jakim jest publiczna ochrona zdrowia. Kształcimy więc świetnych medyków, ale na Zachód.

Magda: – Dlaczego młode dziewczyny jednak idą do tego zawodu? Często mają w rodzinie kobiety: mamę, ciocię, babcię, które im pokazały, że ten zawód jest, mimo wielu trudności, piękny. Moja mama jest pielęgniarką, tata też pracuje w tym zawodzie. Znają jego realia, więc bardzo mnie przed nim przestrzegali. Tata często mi powtarza: „Ucz się, dziecko, języków, kiedyś będziesz musiała wyjechać”. Bo wchodząc do tego zawodu, piszemy się na trudną, wymagającą pracę, ale nie na kołchoz. Bo można ciężko pracować, ale bez wypruwania sobie żył.

Tylko nie „siostruniu”!

W środowisku pielęgniarskim czuć tarcia płacowe i pokoleniowe. Płasczyzną sporów bywają też relacje z lekarzami.

Grażyna: – Uważam, że stosunek młodych osób do pracy się pogorszył. Jak zaczynałam, to szacunek do starszych, bardziej doświadczonych koleżanek był większy, mam wrażenie, że częściej korzystałyśmy z ich rad. Spotykam się też niekiedy z bardzo lekkim podejściem do pracy, bez poczucia odpowiedzialności, że to ode mnie zależy, czy i jak konkretna czynność przy pacjencie będzie wykonana.

Kamila: – Stosunek moich rówieśnic a starszych koleżanek do lekarzy jest bardzo różny. Pamiętam sytuacje, jak moje starsze koleżanki nie mówiły o czymś, co działo się na oddziale, „żeby doktor nie był zły”, albo nie dzwoniły z nocnego dyżuru, „bo doktor spał”. Teraz to się zmienia, zarówno z naszej strony, jak i lekarzy. Coraz bardziej staramy się być na stopie partnerskiej, pracować jako zespół, a to dobrze oddziałuje na proces leczenia. Cieszę się, że mamy możliwość kształcenia się, pielęgniarki robią doktoraty, prowadzą badania naukowe. Może wreszcie nie długo przestaniemy być traktowane jak te „panie od pampersów”, bo nasz udział w leczeniu pacjenta jest naprawdę duży i ważny.

Natalia: – Pamiętam, jak moje starsze koleżanki były oburzone, gdy nie zrobiłam kawy lekarzowi, który przyszedł na dyżur. Jestem pielęgniarką, pracuję przy pacjentach. Nie przyszedł parzyć tu kawy. „Ale wiesz, bo to weszło w zwyczaj, my tak zawsze robiłyśmy”. Może i robiłyście, ale ja już tak nie chcę. Mogę się podzielić ciastkiem, ale jak równy z równym. Pamiętam to oburzenie, że takie za-

chowanie to niedocenienie lekarza, który przyszedł na dyżur. Ale przecież my też przyszłyśmy na dyżur!

Na szpitalnych korytarzach wciąż najpopularniejszym sposobem zwracania się do pielęgniarek bywa słowo „siostró” – do którego stosunek także bywa różny.

Kamila: – Bardzo nie lubię, jak ktoś mówi do mnie „siostró”, jeśli jeszcze jest to ktoś starszy, to puszczam to mimo uszu. Zdecydowanie wolę, by zwracano się do nas per „pani pielęgniarko”, i uważam, że do takiej formy powinnyśmy dążyć. Wiem, że to kiedyś siostry zakonne wykonywały czynności pielęgniarские i taki sposób zwracania się do nas z tego się wywodzi, ale najwyższa pora uznać, że to już jest historia.

Natalia: – Zwrot „siostró” mi nie przeszkadza, dla mnie to jest wyraz sympatii pacjenta. Jak inaczej miałby się do mnie zwracać? Per pani? Nasz zawód sprawia, że między nami a pacjentem pojawia się pewna zażyłość, intymność. Dotykamy ciała, myjemy go, oglądamy w takich sytuacjach, w jakich nie widzi go nawet rodzina. I pacjenci nabierają do nas zaufania, nie wstydzą się, mówią nam czasem o rzeczach, o których nie powiedzieliby od razu lekarzowi – i my to przekazujemy dalej. Ten zwrot „siostró” mi odpowiada i według mnie pasuje do tej relacji. Ale już absolutnie nie „siostruniu”, co też zdarza mi się słyszeć.

Mamy jedno zdrowie i życie

Gdy kończymy ten artykuł, jest 8 października – jak długo potrwać protesty?

I czy mają jeszcze szansę realnie wpłynąć na zmianę warunków pracy medyków?

Mateusz: – Strajk napędza młode pokolenie, które ma dość tego szantażu emocjonalnego o pielęgniarce czy ratowniku, którzy mają być stale przy łóżku i przy pacjencie, mimo że brakuje ludzi, pracują ponad swoje siły, a nikomu z zarządzających nie zależy, by coś zmieniać. Mam poczucie, że trzeba go popierać, promuje temat Białego Miasteczka, byłam na protestach. To okazja, by poinformować ludzi o problemach ochrony zdrowia. Ale uważam, że nie przyniesie on nic konkretnego. Bo przyjęło się, że obowiązkiem polskiej pielęgniarki jest strajkować i wychodzić na ulicę. I jak widać, nic to nie dawało i wciąż nie daje. Dopiero drastyczny brak kadr, który już teraz staje się faktem, zmieni sytuację. Bo nie będzie innego wyjścia.

Natalia: – Wielokrotnie podczas strajków i protestów pokazywano nam, że nie jesteśmy nawet godne, żeby z nami dyskutować, i co nam dadzą, to musimy przyjąć. Mam nadzieję, że koleżanki, które są w Białym Miasteczku, nie dadzą sobą manipulować, nie zgodzą się na „kompromis”, który tak naprawdę będzie nas dalej krzywdził. Mamy jedno zdrowie i życie, więc chciałabyśmy pracować komfortowo, mieć z tego konkretne pieniądze, nie musieć ciągle dorabiać w kilku miejscach. I nie być ciągle na dyżurze.

© EWELENA BURDA, MACIEJ MÜLLER

Imiona bohaterów zostały zmienione.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



Podatkowy Frankenstein

PIOTR WÓJCIK

Polski Ład miał uczynić system danin bardziej sprawiedliwym. Po serii kolejnych zmian powstał chaos, na którym nie skorzysta nikt.

Z POMPĄ OGŁOSZONY POLSKI ŁAD MIAŁ być nową umową społeczną. Plany były więc ambitne, lecz wyszło jak zwykle. Od maja do 1 października, gdy projekt został uchwalony przez Sejm, reforma ta przeszła jednak tyle zmian i nieoczekiwanych metamorfoz, że stała się już właściwie karykaturą samej siebie. W wyniku politycznego przeciągania liny powstał legislacyjny Frankenstein, polatany na chybił trafił, byle tylko przepchnąć go i odtrąbić sukces. Zamiast wprowadzić większą sprawiedliwość podatkową – reforma utrwalała większość nieuzasadnionych przywilejów. Zamiast uporządkować system – wprowadza jeszcze większy chaos, w którym przestają się już orientować nawet zawodowi księgowi.

Algorytm Gowina

Kluczowym elementem reformy, który według założeń władzy miał być koniem pociągowym poparcia społecznego na następne lata, jest podniesienie kwoty wolnej od opodatkowania do 30 tys. zł. Rządzący celnie zdiagnozowali tu problem wysokiego opodatkowania najniższych wynagrodzeń w Polsce. Pełne obciążenie płacy minimalnej, więc z kosztami po stronie pracodawcy łącznie, sięga dziś 39 proc., co jest jednym z wyższych klinów podatkowych w OECD, gdzie średnie obciążenie najniższych wynagrodzeń wynosi 31 proc. Tak znaczące podwyższenie kwoty wolnej sprawi, że realnie pod tym względem doszłusujemy do europejskiej czołówki. Oczywiście podniesienie kwoty wolnej zwiększa pensje niemal wszystkim podatnikom, jednak relatywnie najbardziej odczują to najmniej zarabiający pracownicy etatowi.

Drugim istotnym rozwiązaniem jest podniesienie progu dochodowego dru-

giej stawki PIT z 85 do 120 tys. zł. To już ułkon w stronę lepiej zarabiających. Próg drugiej stawki PIT nie był podnoszony od 2008 r., choć w tym czasie płace regularnie rosły, tak więc coraz większa liczba podatników go przekraczała. Płatników drugiej stawki PIT od początku było jednak bardzo mało. Przez długi czas wpadało w nią ledwie 2-3 proc. podatników rozliczających się skalą podatkową. W 2019 r. drugą stawkę PIT zapłaciło niecałe 5 proc. podatników, więc od początku poziom drugiego progu ustawiony był na tyle wysoko, że ta niewielka progresja podatkowa przez długi czas była właściwie umowna. Trzeba pamiętać, że drugą stawkę płaci się tylko od nadwyżki, tymczasem większość płatników drugiej stawki przekraczała próg w niewielkim stopniu, więc wyższy podatek obciążał jedynie ułamek ich dochodów.

Nieoczekiwanie dla władzy, najszerzej komentowaną zmianą podatkową Polskiego Ładu okazała się jednak nie wyższa kwota wolna lub podniesienie progu dochodowego, lecz reforma składek zdrowotnych. Obecnie wciąż jeszcze składka zdrowotna dla pracowników etatowych wynosi 9 proc., jednak 7,75 proc. odliczane jest od podatku. Tak więc 86 proc. składki zdrowotnej obniża wymiar podatku. Między innymi z tego względu efektywne stawki PIT w Polsce, według danych Ministerstwa Finansów za 2019 r., nie wynoszą wcale 17 i 32 proc., ale zaledwie 7,5 i 15 proc. Polski Ład zakłada likwidację odliczania składki od podatku, co oczywiście przełoży się na wzrost tego ostatniego. W ten sposób część efektów podwyższenia kwoty wolnej oraz wysokości progu drugiej stawki zostanie zniwelowana. W wyniku tego Polski Ład oznaczałby wzrost podatków



już dla pracowników zarabiających więcej niż 6 tys. zł. Na takie rozwiązanie nie chciał się zgodzić pozostający jeszcze wtedy w rządzie Jarosław Gowin, więc by go obłaskawić, wprowadzono skomplikowany algorytm nazwany „ulgą dla klasy średniej”, który niweluje negatywne skutki reformy dla pracowników zarabiających między 68 a 133 tys. zł rocznie.

Elementy sporne

Reforma składki zdrowotnej ma iść jednak dalej. Obecnie jednoosobowe działalności gospodarcze (JDG) płacą ryczałtową składkę zdrowotną. W 2021 r. wynosi ona niecałe 382 zł. Jest ona niezależna od dochodu, więc podatnicy zarabiający więcej odczuwają ją w mniejszym stopniu. To jeden z elementów regresji podatkowej w Polsce – czyli sytuacji, kiedy im więcej ktoś zarabia, tym proporcjonalnie mniej oddaje państwu. Warto zauważyć, że to bardzo rzadko spotykane rozwiązanie – ryczałtowa składka zdrowotna funkcjonuje obecnie tylko w trzech krajach UE: w Polsce, Grecji i na Węgrzech. W 19 państwach UE jest proporcjonalna do dochodu lub przychodu, natomiast w pięciu w ogóle jej nie ma, gdyż ochrona zdrowia finansowana jest z podatków. Polski Ład w pierwotnej wersji wprowadził więc składkę zdrowotną w wysokości 9 proc. dochodów dla wszystkich JDG. W połączeniu z likwidacją odliczania składki od podatku, oznaczało to wyraźny wzrost obciążeń samozatrudnionych oraz jednoosobowych przedsiębior-



Legionowo, 1 czerwca 2021 r.

1,5 mln miał on być neutralny, a milion miało stracić nie więcej niż 250 zł miesięcznie. Tylko dla 400 tys. gospodarstw domowych w Polsce, a więc dla 3 proc. najbogatszych polskich rodzin, obciążenia miały wzrosnąć o więcej niż 250 zł miesięcznie.

Kolejne wyłomy

Rządzący, najwyraźniej zaskoczeni fatalnym przyjęciem projektu przez społeczeństwo – według badania portalu StanPolityki.pl aż 53 proc. pytanych było pewnych, że na nim straci – a także brakiem poparcia dla niego w samym Sejmie, rozpoczęli desperackie poszukiwania rozwiązań, które obłaskawiłyby przeciwników reformy.

Pierwszym z wyłomów w pierwotnej koncepcji było zmniejszenie składki zdrowotnej dla podatników liniowego PIT – czyli najzamożniejszych JDG. Składka zdrowotna liniowców wynosić będzie 4,9 proc., a więc będzie o połowę niższa niż dla etatowców oraz JDG rozliczających się skalą podatkową – czyli tych mniej zamożnych samozatrudnionych. Po tych zmianach podatek liniowy pozostanie niezwykle atrakcyjnym rozwiązaniem dla najlepiej zarabiających, jednak próg opłacalności wzrośnie z 10 do 13 tys. zł miesięcznie. Obciążenie liniowców zwiększy się w ten sposób o kilka punktów procentowych – przykładowo obciążenia osoby z dochodem 16 tys. zł wzrosną z 25 do 29 proc. Pracownik na etacie z takim dochodem zapłaci łącznie 45 proc. podatków i składek.

To był dopiero początek doszywania kolejnych elementów. Żeby przekonać do reformy lekarzy, architektów i informatyków, obniżono im stawkę ryczałtu od przychodów zewidencjonowanych – do 14 proc. w przypadku tych dwóch pierwszych i 12 proc. dla specjalistów IT. W przypadku ryczałtowców składka zdrowotna pozostanie kwotowa, w trzech różnych wysokościach, zależnie od poziomu dochodu. Brzmi skomplikowanie? Spokojnie, to dopiero początek. Następnie rozciągnięto ulgę dla klasy średniej również na jednoosobowe działalności gospodarcze, ale tylko te rozliczające się według skali podatkowej (17 i 32 proc.). A więc nie dotyczy to liniowców. Z ulgi dla klasy średniej będą

ć. Szczególnie tych najlepiej zarabiających, ale stracić mieli już ci z dochodem powyżej 6 tys. zł, gdyż ulga dla klasy średniej obejmować miała jedynie pracowników na etatach. Brak tej dla JDG był kluczowym elementem sporu między Gowinem a PiS.

Tu warto jeszcze wskazać, że nawet po zmianie ryczałtowej składki zdrowotnej na proporcjonalną zamożnym samozatrudnionym wciąż pozostaną dwa kolejne przywileje, a więc ryczałtowe składki na ZUS, które są drugim elementem regresji systemu podatkowego, oraz liniowy PIT 19 proc. To ostatnie rozwiązanie jest główną przyczyną tego, że tak niewielu podatników płaci drugą stawkę PIT. Zarabiający powyżej 10 tys. zł miesięcznie po prostu uciekają w samozatrudnienie i podatek liniowy, żeby uniknąć drugiej stawki. Tylko w latach 2015-2019 liczba podatników rozliczających się liniowym PIT wzrosła z 500 tys. do 700 tys. osób. To najlepiej zarabiające osoby w Polsce – według danych Ministerstwa Finansów, ich średni miesięczny dochód to 23 tys. zł brutto. Gdyby wszyscy oni zostali objęci skalą podatkową, to liczba podatników drugiej stawki PIT wzrosłaby o przeszło połowę.

Polski Ład nawet w pierwotnej wersji miał oznaczać realną obniżkę podatków dla większości Polaków. Według analizy ośrodka CenEA z maja, na wyżej opisanych zmianach skorzystać miało 10,9 mln, a więc 79 proc. polskich gospodarstw domowych. Dla kolejnych

mogły skorzystać JDG z przychodem rocznym w przedziale 68-133 tys. zł, czyli tak samo jak w przypadku etatowców. Dzięki temu na reformie nie tracą samozatrudnieni mający miesięczny przychód wyższy niż 6 tys., ale niższy niż 11 tys. zł.

Projekt do kosza

Kolejne zmiany pierwotnej wersji reformy zaczęły się pojawiać jak grzyby po deszczu i trudno już właściwie dociec, kto, kiedy i w jakim celu je dołożył. Dopisano np. zwolnienie z podatku PIT dla rodzin z czwórką lub więcej dzieci, ale tylko dochodu nieprzekraczającego 230 tys. zł rocznie. Powstała także „ulga dla pracujących emerytów”, czyli dodatkowe zwolnienie z podatku 85 tys. zł ich dochodów. Ma się ona sumować z kwotą wolną, więc pracujący emeryci nie zapłacą podatku od 115 tys. zł rocznego dochodu. Zmianie ulegnie także sposób rozliczania się samotnych rodziców. Obecnie mogą oni rozliczać się wspólnie z dzieckiem, dzięki czemu mają możliwość m.in. skorzystania z podwojonej kwoty wolnej. Ta możliwość jednak zostanie zlikwidowana i w zamian otrzymają oni ulgę podatkową wysokości 1,5 tys. zł – skorzystają na tym najmniej zarabiający samotni rodzice.

Zupełnie niespodziewanie, bez zapowiedzi i konsultacji, do ustawy dołączono podatek przychodowy wysokości 0,4 proc. od spółek, których dochód jest niższy niż 1 proc. przychodów. Ma on więc obciążać spółki, które unikają płacenia CIT.

W wyniku tych wszystkich machinacji powstał kolejny problem. Mianowicie pierwotna wersja Polskiego Ładu zakładała wzrost dochodów NFZ o 12,4 mld zł. W międzyczasie przegłosowano już ustawę zwiększającą wydatki na ochronę zdrowia do 7 proc. PKB. Tymczasem po zmianach obniżających finalny wymiar składek bardziej zamożnych samozatrudnionych dodatkowe wpływy do NFZ wyniosą w przyszłym roku tylko 7 mld zł. Tę lukę trzeba będzie zasypać pieniędzmi z budżetu.

Jeśli ktoś nie zrozumiał fragmentów tego tekstu, to proszę się nie martwić – autorzy tej przedziwnej reformy podatkowej sami już jej zapewne nie rozumieją. Mamy do czynienia z szaleństwem i co gorsza, nie ma w nim metody. W tej wersji projekt nadaje się wyłącznie do kosza. ©

JACEK

Podsiadło:

Po przejściu Rumunów



JESIENNEMU WYSYPOWI GRZYBÓW W LASACH towarzyszy wysyp publikacji im poświęconych. Ewa Furtak z bielsko-bialskiej „Wyborczej” pomawia Polaków wolontariacko odgrzybiających zapuszczone i zagrzybione lasy Słowacji, że „nie wszyscy zachowują się tam jak należy. Kto chodził po słowackim lesie, ten pewno widział, ile śmieci potrafią zostawić po sobie nasi grzybiarze – puszki po piwie, butelki po wodzie mineralnej, opakowania po batonach czy papierosach. Wiadomo, że to nasze śmieci, poznać je można po markach”. Dociekliwej dziennikarce nie chciało się sprawdzić, czy polskich opakowań nie podrzucają do lasów Słowacji tamtejsze dzieci, obficie obdarowywane przez Polskiego Turystę wzmiankowanymi napojami i delikatesami. Na szczęście dużo więcej słusznej uwagi poświęca się sprawie grzyba polskiego i odrywania go od jego tradycyjnego, słowiańskiego podglebia. Piszę się o Pseudogrzybiarzach. Piszę się o Zagranicznych Gangach Grzybiarzy. Nie pomija się obecności Rumunów wśród tych ostatnich. Gehennę grzyba i mękę, gdy Rumun podnosi nań rękę, najpiękniej ujęła w słowa Anna Gorczyca z Rzeszowa. Z tamtejszego oddziału „Wyborczej”, w horrorze „Rumuńscy grzybiarze w Nadleśnictwie Dukla. Wywożą grzyby chłodniami na zachód Europy”.

Od pierwszych słów wieje grozą: „Przyjeżdżają busami. W las idzie po kilkadziesiąt osób, gdy wybierają wszystkie grzyby w jednym miejscu, przenoszą się w kolejne. A wioząc ich zbiory zabiera samochód chłodnia, który wywozi grzyby z Polski”. Im głębiej w las, tym więcej Rumunów: „Wjeżdżali samochodami w las, bo w Rumunii nie jest to zabronione. Koczowali na leśnych parkingach przy drogach, pozostawiając po sobie śmieci i odpady”. Sugestię red. Gorczyca, że w Polsce parkingi urząda się w miejscach, gdzie wjazd samochodem jest zabroniony, należy docenić. Ale po kiego grzyba zwraca ona uwagę, że Rumuni, w odróżnieniu od Polaków, zostawiają swoje śmieci i odpady przy parkingach, zamiast wywalać je do lasu gdzie popadnie? Czy jest to postawa właściwa, sprzyjająca sprawie ugruntowania pozycji grzyba w polskiej gospodarce?

„Rozbili się m.in. na leśnym parkingu w Stasianie, skutecznie wypłoszyli stamtąd turystów” – pisze dalej red. Gorczyca. W szczególności nie wchodzi, pozostawiając wyobraźni czytelnika, czy Rumuni wypłoszali polskich turystów, bijąc rumuńskimi pałkami w polskie drzewa, strzelając na postrach, czy

może łapiąc polskie dzieci, żeby sprzedać je Madziarom na gulasz. Niezwykle celny jest zarzut, że „Okoliczni mieszkańcy obawiali się, że przybysze będą kraść”. Bardzo źle on świadczy o Rumunach i bardzo dobrze o Okolicznych Mieszkańcach. Zdaniem red. Gorczyca znani z bezprzykładnej odwagi w obliczu dzika lub zająca leśnicy polscy „przyznają, że mają trochę obaw przed spotkaniami w lesie z kilkudziesięcioosobową grupą młodych mężczyzn”. Ponieważ w jej tekście nie ma mowy o wieku i płci gości z Rumunii, zapytałem ją, czy spytała znanych z niezwykłego charme'u i savoir-vivre'u leśników, jakie nadzieje łączą ze spotkaniem w lesie kilkudziesięciu młodych kobiet. Ponieważ „Po przejściu Rumunów nie było po co iść do lasu, bo wybierali wszystkie grzyby”, zapytałem, czy przeszukała teren dokładnie i na pewno ani jeden grzyb nie ocalał. A ponieważ „Grzyby wywożono z Polski” i ponieważ nadleśniczy Zbigniew Żywiec wyjaśnia: „Wiem, że te grzyby jechały do Niemiec, do Francji” – zapytałem też, czy nadleśniczy Żywiec monitorował Rumunów aż do granic i czy na pewno żaden grzyb nie uciekł z transportu na obszarze Ojczyzny, gdzie może byłby jeszcze do uratowania. Pytania swoje zadałem w korespondencji skierowanej na ręce Magdaleny Mach, redaktor naczelnej rzeszowskiej „Wyborczej”. Na żaden z dwóch listów elektronicznych nie otrzymałem odpowiedzi.

„Gazeta Wyborcza” jest jedyną, której abonament wykupiłem, gdyż jest ostatnią, która nadaje się do czytania, a i to z coraz większym trudem. Od lat już samozatrudniam się w niej jako bezpłatny korektor, o czym Czytelników „Tygodnika” zdarzało mi się informować. Tym razem okazało się, że samozatrudniam się też jako bezpłatny redaktor, ponieważ po moich niegodnych odpowiedziach listach z artykułu red. Gorczyca zniknęło wypłaszanie turystów, obawy Okolicznych Mieszkańców przed kradzieżami oraz obawy leśników przed spotkaniem. Niezmiernie się uradowałem, że mam tak duży wpływ na leśne życie w dalekim, ale bratnim Nadleśnictwie Dukla.

A teraz uwaga, bo będę pisał, co ja uważam! Otóż ja uważam, że nie może być tak, żeby grzyb, który wyrósł na zroszonej polską krwią ziemi, kończył swój żywot w sztucznie rozdętym niemieckim brzuchu! W obliczu hatacumby i martymagogii grzybów polskich niezbędne są natychmiastowe działania kontrwywiadu mające na celu znalezienie w lesie karty pamięci, na której stosunek Rumuna do grzyba polskiego będzie w wystarczającym stopniu uwidoczny i uwieczniony. W razie nieznaledzenia karty należy zastawić na Rumunów liczne fotopułapki, a w ogóle to zachęcać ich do osiadłego trybu życia. Każdy ocalony grzyb powinien z miejsca otrzymać status pomnika przyrody i zostać otoczony w pierwszej kolejności osobistą opieką lub choć patronatem Glińskiego, w drugiej zaś płótem Błaszczaka. Myślę też, że należy ustawić ok. 200 tys. Miejsc Męczeństwa i Kaźni Grzyba Polskiego, a w każdym z tych miejsc warto rozważyć postawienie pomników grzybów naturalnej wielkości, co trwale uzupełniłoby wizualny niedobór tych sympatycznych kapeluszników w naszym krajobrazie po przejściach. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN



Piszą Błażejowska, Bieńczyk, Drenda,
Jagielski, Koziółek, Kuczek, Kuźmiński,
Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy
„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”
i pielęgnuj z nami najpiękniejsze
wspomnienia z wakacji.

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na powszech.net/wdroge

PARTNERZY WYDANIA:



TYGODNIK
POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteiki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

A portrait of a middle-aged man with grey hair and a beard, wearing a white monastic habit over a black turtleneck. He is looking directly at the camera with a serious expression. The background is a wall with a large, faded mural of a goat or ram. A red square is positioned at the top center of the image.

WIARA

NASZA WINA

MACIEJ BISKUP OP:

Nie wyobrażam sobie życia w zakonie i w Kościele,
w którym mi ktoś odbiera możliwość widzenia, słyszenia i mówienia.

O. Maciej Biskup w kamienicy dominikanów przy ul. Zielonej 13 w Łodzi.
Październik 2021 r.

Wielu braci, zwłaszcza tych z młodszego pokolenia, jest krytycznych wobec zarządu prowincji, który – przynajmniej w pewnej części – jest niezmienny od lat. Są w nim osoby, które miały wpływ na prowincję zarówno za prowincjała Macieja Zięby, za Krzysztofa Popławskiego i za Pawła Kozackiego.

Z raportu komisji, która badała sprawę Pawła M., wynika, że o. Maciej Zięba nie reagował na alarmujące zarzuty dotyczące działalności Pawła M. – pobicia, do których dochodziło w czasie modlitw, i wykorzystania seksualne, a jego następcy nie podjęli działań, których efektem miałyby być usunięcie ze zgromadzenia Pawła M. Zarówno w oczach ludzi, jak i w oczach wielu braci mocno podważa to wiarygodność zarządu.

Chyba najbardziej czują to dominikanie z młodszego pokolenia, dlatego domagają się zmian.

Odwołania o. Pawła Kozackiego?

Pytania, które bracia zadawali na wrześniowym posiedzeniu Rady Prowincji, krążyły wokół tego tematu.

Nie zadano ich wprost?

Postulat odejścia obecnego prowincjała pojawił się w kuluarach, ale tylko jeden z braci zapytał o to wprost. Po spotkaniu rady pojawił się i jest rozważany postulat napisania listu do generała w tej sprawie.

Ojciec Paweł Kozacki oddał się do dyspozycji generała dominikanów. Generał może go odwołać i wyznaczyć swojego wikariusza generalnego, który ma najwyższą władzę w prowincji. Wikariusz może z kolei powołać zarząd komisaryczny, który sprawuje tę funkcję aż do posiedzenia kapituły i wyboru nowego prowincjała. Wiemy, że generał dostał raport, czekamy na jego decyzję.

Kadencja o. Pawła Kozackiego kończy się za cztery miesiące. Można powiedzieć, że w osiemsetletniej historii zakonu cztery miesiące to mało. Natomiast z punktu widzenia osób skrzywdzonych cztery miesiące to zdecydowanie za dużo.

Zmiana zarządu, która byłaby efektem ujawnionej sprawy Pawła M., znacząco

co innego niż zmiana, która jest związana z upływającą kadencją. Bracia chcą też transparentności w informowaniu nas o tym, co dalej ze sprawą Pawła M. Dotąd dowiadywaliśmy się większości rzeczy z informacji, które pojawiały się w mediach.

Przepraszam, ale naprawdę trudno uwierzyć, że nie było wewnątrz-zakonnej wiedzy o tym, co się dzieje we wspólnotach prowadzonych przez Pawła M.

Pojawiały się tylko jakieś strzępy informacji, czasem plotki, o podejrzanym działaniu Pawła M., ale zawsze były przedstawiane jako jakieś nadużycia charyzmatyczne czy duszpasterskie. Bez podawania konkretów. Każdy dom należący do zgromadzenia ma dużą autonomię. Jeśli ma się bieżące zadania we własnym klasztorze, to się aż tak bardzo nie interesuje tym, co się dzieje w innych domach. I z pewnością to błąd.

Jedna z osób skrzywdzonych mówi autorom raportu: „Pamiętam taką modlitwę, gdy on powiedział, że ma obraz mojej niewierności. Zdjął wtedy pas i tak mnie lał, że aż mi się krew z pleców lała. X go odciągała i mówiła: »Ojczy, ty ją zabijesz«”. Autorzy raportu twierdzą też, że działalność Pawła M. była obiektem żartów wśród dominikanów.

O żartach nie słyszałem. Wiem, że nawet bracia wchodzący w skład Rady Prowincji byli informowani o problemie przez o. Macieja Ziębę w sposób uznaniowy. W raporcie jest omówiony wyjazd na kajaki, który *post factum* został uznany za posiedzenie Rady Prowincji. Na tym wyjeździe był też Paweł M., który – jak wynika z relacji uczestników – najpierw rozmawiał z o. Ziębą, a potem został przez niego poproszony, by opowiedział pozostałym, co się wydarzyło w prowadzonej przez niego wspólnotie. Mówił o „leczeniu przez dotyk” i „charyzmatycznych gestach”, choć w rzeczywistości sprawa dotyczyła wykorzystania seksualnego jednej z uczestniczek wspólnoty.

„Uważamy za niemal niemożliwe, że tak funkcjonująca grupa mogła na tyle skutecznie »ukryć się«, by nie wzbudziła zainteresowania



ANNA GOC: Jak to możliwe, że dominikanin Paweł M. przez ponad dwadzieścia lat prowadził sektę, był sprawcą pobić i gwałtów, a wszystko to działo się za trzech prowincjałów, którzy wiedzieli o popełnianych przez niego przestępstwach?

MACIEJ BISKUP OP: O tym, co działo się w naszym zakonie, będę mówił w swoim imieniu.

→ **innych dominikanów” – czytamy dalej w raporcie.**

Przeczuwaliśmy, że sprawa jest poważna, gdy Paweł M. – dotychczasowa gwiazda duszpasterstwa dominikanów – został odsunięty od działalności kaznodziejskiej. Przypomniało mi się wtedy moje z nim spotkanie i modlitwa, w której jako jeszcze brat-student wziąłem udział.

To musiało być na początku lat 90. XX wieku?

W tym roku mija trzydzieści lat, odkąd wstąpiłem do dominikanów. Paweł M. był duszpasterzem powołań, przyjmował mnie do zakonu. Na tle duchowieństwa diecezjalnego mnie samemu wydawał się oryginalny. Pamiętam, jak na rekolekcjach powołaniowych wstawaliśmy po piątej, mieliśmy gimnastykę, a potem czytaliśmy Mistrza Eckharta. Dla mnie, wówczas 19-latką, to, jak były prowadzone te rekolekcje, było czymś, co przyciągało do dominikanów.

W połowie lat 90., gdy już studiowałem w Krakowie, Paweł M. przyjechał z grupą świeckich z Poznania. To był czas, gdy duchowość charyzmatyczna była bardzo popularna.

Miałem już wtedy od kilku lat doświadczenie takiej modlitwy. Dla mnie – introwertyka – spontaniczna modlitwa była czymś, co uświadomiło mi, że posiadam emocje i ciało, które także mogą być zaangażowane w kontakcie z Bogiem. Sam gest podniesienia rąk, zaangażowania ciała i emocji sprawiał, że modlitwa wyzwała mnie z kontrolowanej sztywności. Powinniśmy zdać sobie sprawę, że praktyka modlitwy z zaangażowaniem całego ciała, choć została zapomniana na Zachodzie, była żywa w chrześcijańskiej starożytności i w średniowiecznym monastycyzmie, a dziś ciągle trwa we Wschodnim Chrześcijaństwie, co mogłem potem zaobserwować np. u mnichów i świeckich w klasztorach syryjskich w Turcji. Słuszny krytycyzm, związany z nadużyciami emocjonalnymi i cielesnymi Pawła M., nie uprawnia do poglądu, że modlitwa angażująca całego człowieka jest czymś złym. „Ludzie są duchowi dzięki uczestnictwu Ducha Świętego, a nie dzięki wyrzeczeniu się i odrzuceniu ciała” – pisał w II wieku św. Ireneusz z Lyonu.

Ale na modlitwie z Pawłem M. wydarzyło się coś dziwnego.

Zakon to mój dom,
w którym mogłem się
rozвивać intelektualnie,
duchowo i po prostu
jako człowiek.

Dziś uświadamiam sobie, że
**ten dom nosi też znamiona
dysfunkcyjnej rodziny.**

To znaczy?

Modlitwa, w której wzięliśmy udział, trwała kilka godzin. Wtedy nie potrafiłem fachowo nazwać ani opisać tego, co się tam działo. Ale pamiętam dokładnie swoje odczucia. Intuicyjnie czułem, że Paweł M. mną manipuluje. Przymusza do jakichś gestów, zachowywania się w określony przez niego sposób i podczas modlitwy w ogóle nie bierze pod uwagę mojej wolności.

Powtarzał przy tym, że otrzymał jakieś proroctwo dotyczące jedności prowincji. Twierdził, że powinniśmy ofiarować się na jego ręce w intencji wspólnoty. Nie pozostawiał miejsca na moje czy innych osób rozeznanie. Dawał do zrozumienia, że jeśli nie zrobię tego, czego ode mnie oczekuje, to znaczy, że jestem zamknięty na Boga i blokuje mnie grzech.

Gdy w końcu udało mi się wyjść, czułem się tak, jakbym się spod czegoś wyzwolił. Choć nie próbowano przekroczyć moich granic cielesnych, to jednak mam wrażenie, że próbowano to zrobić na poziomie emocjonalnym, psychicznym i religijnym.

Jak reagowali inni?

Świeccy, którzy przyjechali z Pawłem M., modlili się nad nami i widziałem, że posłusznie wykonują wszystkie jego polecenia. Reakcje braci były bardzo różne, część z nas miała ochotę uciec, a część – mam wrażenie – się temu poddała.

Opis tego wydarzenia jest zbieżny z tym, co działo się w prowadzonych przez Pawła M. wspólnotach, i co później eskalowało.

Mam do siebie żal, że nic nie zrobiłem z tamtym doświadczeniem. Że nikogo nie zaalarmowałem i że nie dążyłem te-

matu. Wiem też, że niektórzy współbracia próbowali dowiedzieć się czegoś więcej, zadawali przełożonym pytania. I też mają do siebie pretensje, że odpuszczali, gdy uzyskiwali szczątkowe informacje, albo gdy byli zbywani brakiem odpowiedzi.

Jeden z braci zeznaje: „Maciej [Zięba] mnie nie słuchał (...). Powtarzał, że się czepiam, bo duszpasterstwo Pawła M. jest wielkie, prężne, znakomite”.

Macieja Ziębę i Pawła M. łączyła osobista więź, którą najlepiej pokazuje to, że byli dla siebie – jak wynika z raportu – nawzajem spowiednikami. Miało się wrażenie, że Zięba jest nim zafascynowany jako duszpasterzem. Podkreślał jego talent do jednoczenia wokół siebie ludzi. Nie wiem też, czy Paweł M. miał poza o. Ziębą jakichś sprzymierzeńców. Przeora wrocławskiego klasztoru trzymał w szachu w związku z jego chorobą alkoholową. Paweł Kozacki jako jeden z pierwszych powiadomił Ziębę o nieprawidłowościach, które zauważył, gdy przejął po Pawle M. poznańskie duszpasterstwo. Podobno Zięba miał odpowiedzieć: „Co, zazdrościsz? Jak przyprowadzisz na mszę trzy tysiące osób, to porozmawiamy”.

Z raportu wynika, że wiedzy o przestępstwach Pawła M. nie mieli nawet przeorowie kolejnych klasztorów, do których był przenoszony.

Tak, to dlatego w nowych miejscach mógł potencjalnie krzywdzić kolejne osoby. Gdy przeorom udawało się dotrzeć do jakichś informacji na temat jego przeszłości albo sami zauważyli nieprawidłowości i zaczęli dążyć, mogli wnosić o ograniczenia jego działalności. Ale to musiało trwać.

W czasie konferencji, na której prezentowano raport, o. Paweł Kozacki powiedział, że sądził, iż niewiele go w tym opracowaniu może zaskoczyć. Co pokazuje, jak dobrze musiał znać sprawę Pawła M. Jak to możliwe, że ten, który jako jeden z pierwszych alarmuje o przestępczej działalności Pawła M. swoich przełożonych, gdy sam zostaje prowincjałem, nie wszczyna procesu kanonicznego, nie zawiadamia prokuratury, nie robi właściwie nic w tej sprawie?

Mając już teraz wiedzę o sprawie z raportu, nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wszczęto procesu kanonicznego.

Pytanie o Pawła Kozackiego jest trudne, bo znam go od trzydziestu lat i mam wiele świadectw od świeckich, że w czasie, gdy tuż po święceniach trafił do Szczecina, przyciągał do Kościoła ludzi z problemami, którymi mało kto się zajmował. Miałem zawsze takie wrażenie, że stawiał sobie bardzo wysoki próg poczucia sprawiedliwości wobec krzywdy. Teraz, gdy obserwuję jego reakcje na osoby skrzywdzone przez Pawła M., czuję zawód z powodu unikania kontaktu z tymi osobami. Nie mogę zrozumieć, z czego to wynika. Z lęku?

2 marca 2021 r. do prokuratury zgłasza się kobieta, która została wykorzystana seksualnie przez Pawła M. Wydarzyło się to wtedy, gdy prowincjałem był już o. Paweł Kozacki. Niedługo po tym Paweł Kozacki udziela wywiadu Arturowi Nowakowi, w którym całą odpowiedzialność za sprawę Pawła M. przypisuje zmarłemu Maciejowi Ziębie. Trudno uwierzyć wam – jako zgromadzeniu – że chcecie się „oczyścić”. Raczej wygląda to na PR-owy zabieg, dbanie o własny wizerunek.

Po przeczytaniu raportu niestety mam takie same odczucia. Tłumaczenie kolejnych prowincjałów – o. Krzysztofa Popławskiego i o. Pawła Kozackiego, że nie mogą karać Pawła M. po raz drugi, po tym jak kary – głównie administracyjne – nałożył na niego już o. Maciej Zięba, jest nie do przyjęcia, choć w żaden sposób nie zakładam złej woli czy tym bardziej cynicznej gry dwóch ostatnich prowincjałów.

W normalnym świecie za gwałt idzie się do więzienia.

Decyzje Macieja Zięby w sprawie Pawła M. od samego początku były uznaniowe. Paweł M. był wysyłany na rekolekcje albo do pracy w hospicjum. Zabraniano mu spowiadać albo prowadzić działalność duszpasterską. Zgadzam się – to nie są kary adekwatne do tego, co się wydarzyło w prowadzonych przez niego wspólnotach.

Czy o. Paweł Kozacki spotkał się z ludźmi skrzywdzonymi przez Pawła M.?

Wcześniej tak. Jednak teraz, od wiosny tego roku nie, i to mimo usilnych próśb braci, którzy mają kontakt z pokrzywdzonymi.

Jedna z osób skrzywdzonych przez księdza opowiedziała mi taką scenę: abp Stanisław Gądecki mówi podczas konferencji o wykorzystywaniu małoletnich w Kościołach Europy Środkowo-Wschodniej, że najważniejsze jest wysłuchanie osób skrzywdzonych. A potem, gdy one zabierają głos, wychodzi.

To jest zasadnicza kwestia, że krzywdą osób skrzywdzonych przez tyle lat nie była dla nas priorytetowa. Wiedzieliśmy, że takie osoby są i nie szukaliśmy ich. Teraz naszym zadaniem jest zrobić wszystko, by skrzywdzeni przez Pawła M. byli w centrum naszej empatii i działania.

O ile zechcą.

Tak, ale ważne, by otrzymali od nas jakiś komunikat – mogą liczyć na każdą potrzebną pomoc: finansową, prawną, duchową. Od kilku miesięcy mam osobisty kontakt z osobami skrzywdzonymi przez Pawła M. Nie jest to żadna moja zasługa i nie ja zainicjowałem ten kontakt. Z powagą przyjmuję zaufanie tych osób do mnie. Także dzięki mojej książce dotyczącej nadużyć w Kościele, na którą *nota bene* nie otrzymałem imprimatur władz prowincji, zgłaszają się do mnie inne osoby skrzywdzone w polskim Kościele. Dużo musimy też zrobić, by ludzie, którzy zostali w Kościele, nie traktowali tych, którzy zgłaszają swoje sprawy, jako atakujących Kościół. Żeby potrafili zobaczyć w tych ludziach osoby skrzywdzone i uznać, że mają one bardzo szczególne miejsce we wspólnocie Kościoła.

Sama grupa skrzywdzonych przez Pawła M. jest zróżnicowana: są w niej osoby, które zgłosiły swoją sprawę i domagają się sprawiedliwości. Wśród tych osób, co jest zrozumiałe, są również różnego rodzaju napięcia, więc to jest obszar, który powinien być częścią naszej pracy. Są też tacy, którzy uważają, że wszystkie zarzuty wobec Pawła M. są zmyślane, i którzy stają w jego obronie.

Czy wśród dominikanów są bracia wciąż zafascynowani Pawłem M.?

Nie, wątpię w to. Myślę, że jeśli ktokolwiek się nim fascynował, to raczej mło-

dzi bracia, którzy dopiero co przekroczyli próg zakonu, a potem, z czasem, nabierali dystansu do jego form duszpasterskich albo teraz, z mediów i raportu, poznali przerażającą prawdę o nim.

Wróciłabym do pytania – jak to wszystko było możliwe? Które wewnętrzne mechanizmy umożliwiły Pawłowi M. prowadzenie sekty przez tyle lat?

Wymieniłbym kilka rzeczy: uznanie decyzji, brak transparentności działania, brak krytycznej i fachowej oceny duszpasterstwa, które przyciąga tłumy. Warto podkreślić to indywidualizowane podejście do duszpasterstwa, które ma dobrą stronę, bo chroni przed szampowoszczą. Ale ma też złą – niekiedy przeradza się w narcyzm. Jesteśmy tak skupieni na sobie, że nie zauważamy tego, co dzieje się wokół. Nie zauważmy albo nie chcemy zauważać.

Szlaban informacyjny, który na sprawę Pawła M. nałożył o. Maciej Zięba, trwa do dziś. Od marca, czyli od chwili, w której jako zakon opublikowaliśmy oświadczenie, a nasz prowincjał udzielił kilku wywiadów do mediów, my, bracia nie otrzymywaliśmy ze strony zarządu prowincji rzetelnych informacji. Obracamy się w atmosferze domysłów oraz tego, co usłyszymy w mediach. Symbolem tej sytuacji jest to, że wyznaczony w marcu rzecznik prasowy, który miał odpowiadać za kontakt z mediami w sprawie Pawła M., szybko się wycofał, bo nawet on nie był informowany o tym, co się dzieje w sprawie.

Teraz, z perspektywy czasu, jestem krytyczny wobec samego siebie. Bo nie drążyłem wystarczająco, nie dopytywałem usilnie o sprawę Pawła M. A być może było tak, że jakieś informacje do mnie docierały, ale je odpychałem, uznawszy za niemożliwe.

To najcięższy zarzut?

Obojętność i znieczulica są przyzwoleniem na zło. Postawy „nie słyszę, nie widzę, nie mówię” niczym nie da się usprawiedliwić.

Żebyśmy mogli wyjść z tej sytuacji, żeby ona się już nigdy nie powtórzyła, musimy w pierw przeżyć duszpasterskie nawrócenie. Nawrócenie się do osób skrzywdzonych. Bez tego nie da się zmienić systemu działania wewnątrz zakonnego w kwestii nadużyć władzy, sumienia i wykorzystywania seksualnego.

→ **Nie obawia się Ojciec, że osoby skrzywdzone nie chcą, by używano określeń typu „nawrócenie się na osoby skrzywdzone”, albo, tak ostatnio powszechnego powiedzenia, że my, czyli duchowni, „musimy dotknąć ran skrzywdzonych”?**

Staram się ich nie używać w kontakcie ze skrzywdzonymi. Nie mówię o „nadużyciach” seksualnych, tylko o „wykorzystaniu” seksualnym albo „przestępstwie”. Nie nazywam osób skrzywdzonych „ofiarami”. Terminologię biblijną i duchową stosuję do dyskusji wewnątrz instytucji i opisu duszpasterskiego. Jednym z obrazów, o których ostatnio myślałem, jest św. Dominik, który płacze, kierowany współczuciem względem ludzkiej biedy. Myślę, że aby osoby skrzywdzone nie musiały „okazywać żałości ani płakać” (Ne 8, 9), my, dominikanie musimy zacząć płakać. Pod tym płaczem widzę do słowność, ale też konkretną pomoc.

Jaki jest wewnętrzzakonny pomysł na to, by pomóc ludziom, którzy przez kilkadziesiąt lat byli wystawieni na działanie pseudoteologii, którą wpajał im Paweł M.?

Chcemy spróbować do nich dotrzeć. Nadzieję na zmianę są dominikanie młodego pokolenia. Ci, którzy zareagowali na raport o sprawie Pawła M. najmocniej. Są w tych reakcjach szczerzy i autentyczni, więc jest nadzieja. To oni mają sporo propozycji, które chcą wprowadzać do naszego zakonu. Mówią na przykład o superwizjach w duszpasterstwach, które mogliby prowadzić świeccy terapeuci, obok jakiegoś innego dominikanina. Kolejną rzeczą jest wpisanie do naszego

Ważne, by osoby skrzywdzone otrzymały od nas – dominikanów – jasny komunikat, że **mogą liczyć na każdą potrzebną pomoc:** finansową, prawną, duchową.

prawa precyzyjnie wypracowanych procedur zachowania w sytuacjach wykorzystania seksualnego. Konstytucje zakonne i prawo kanoniczne nie wszystko dookreślają i są zbyt ogólnikowe.

Wiele osób zadaje sobie pytania o Kościół po raporcie. Jakie są Wasze, dominikanów, pytania?

Raport nie ma charakteru sądowego. A więc w wielu miejscach jest ogólnikowy. Chcielibyśmy poznać szczegóły, które nie są publicznie dostępne. Wszyscy bracia, a także nasze mniszki klauzury i świeccy dominikanie mają prawo mieć dostęp do wiedzy o osobowej odpowiedzialności za niedopełnienie obowiązków i poznać nazwiska, których autorzy raportu z wielu powodów nie mogli podać.

Moim zdaniem powinna powstać jeszcze jedna komisja: wewnątrzdominikańska. Między innymi po to, by przestano zajmować się tą sprawą w sposób chaotyczny i uznaniowy. A my dowiadywać się o kolejnych jej etapach z mediów.

W jej składzie powinni znaleźć się bracia jak najbardziej niezależni od dotychczasowego zarządu.

Jest też pytanie o opinie dotyczące bieżących, którzy oceniali stan psychiczny Pawła M., na podstawie których możliwa była jego dalsza działalność. Z raportu niewiele możemy się na ten temat dowiedzieć, poza tym, że takie były. Krążą informacje, że trudno mówić o ich fachowości, bo nie wszyscy, którzy je wystawiali, spotykali się bezpośrednio z Pawłem M., pracowali raczej na opisie anonimowych przypadków. Warto więc zadać pytanie, czy również ekspertyzy były uznaniowe? Bo jeśli tak, to pokazywałoby, że w całej tej sprawie uznaniowość pojawia się na każdym kroku: uznaniowość ukarania, uznaniowość informowania o nadużyciach, uznaniowość wystawiania opinii. A to by oznaczało, że ponosimy jeszcze większą odpowiedzialność za działalność Pawła M.

Rozmawiamy o tym otwarcie.

Tak, bo to, co się wydarzyło, musi być źródłem naszego wstydu. A potem zmiany mentalnej i strukturalnej.

Nie wyobrażam sobie życia w zakonie i w Kościele, w którym mi ktoś odbiera możliwość widzenia, słyszenia i mówienia. Zakonowi zawdzięczam bardzo wiele. To jest mój dom, w którym mogłem się rozwijać intelektualnie, duchowo i po prostu jako człowiek. Dziś uświadamiamy sobie, że ten dom nosi również znamiona dysfunkcyjnej rodziny. Potrzebujemy większej za siebie odpowiedzialności, przełamując obojętność i wygodne milczenie. Nasz były generał Timothy Radcliffe OP pisał przed laty: „Przynależymy i jesteśmy w domu wtedy, gdy odkrywamy, że jesteśmy mocniejsi niż kiedykolwiek myśleliśmy i słabsi, niż odważyliśmy się przyznać”. Kryzys, w jakim się znaleźliśmy, powinien nie tylko uruchomić autentyczną formację we współczuciu do osób skrzywdzonych, ale także zdolność do otwartego i bez obaw rozmawiania między sobą.

©© Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku I Wydział Cywilny postanowieniem z dnia 13 lutego 2020 r. (sygn. akt I Ns 70/20) zezwolił wnioskodawcy PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. w Warszawie na złożenie do depozytu sądowego kwoty 179 671,00 zł na okres 10 lat z tytułu odszkodowania ustalonego decyzją Wojewody Małopolskiego z dnia 16.10.2019 r. (znak WS-II.7570.1.164.2013.MW) za przejętą na rzecz Skarbu Państwa nieruchomości stanowiącą działki ewidencyjne nr 84/5, 183/24, 183/7 w Brzesku, gmina Brzesko, które mają nieuregulowany stan prawny.

Wymieniona kwota ma być wypłacona osobom, które wykażą się tytułem prawnym do tych działek ewidencyjnych na dzień ostateczności decyzji o ustaleniu lokalizacji linii kolejowej, tj. 9 kwietnia 2013 r.

Sąd wzywa wierzycieli, aby odebrali kwotę złożoną do depozytu sądowego. Jeżeli depozyt nie zostanie odebrany w terminie 10 lat od doręczenia wezwania, nastąpi jego likwidacja na rzecz Skarbu Państwa, zgodnie z ustawą z dnia 18 października 2006 r. o likwidacji niepodjętych depozytów (Dz.U. z 2006 r., nr 208, poz. 1537, z późn. zm.).

MACIEJ BISKUP OP jest dominikaninem, po studiach doktoranckich na UAM.

Był m.in. wychowawcą braci nowicjuszy i studentów, redaktorem naczelnym oficyny wydawniczej „W drodze”, przeorem klasztoru w Szczecinie. Obecnie mieszka w klasztorze w Łodzi. Autor książki „Nieostatnie kuszenie. Jak przetrwać noc Kościoła”, Kraków 2021.

Kościół w budowie

JAN RYBICKI

**Niektórzy mówią,
że nad kościołem parafialnym
w gdańskim Brętowie
od początku ciążyło fatum.
Jego budowa trwa już ponad
cztery dekady.**

PIERWSZĄ ŁOPATĘ WBITO W LIPCU 1980 R. Niedługo później zaczęto wykopywać pierwsze ludzkie kości. Władze zezwoliły na budowę kościoła na poniemieckim cmentarzu. Dlatego, jak sądzą co bardziej przesądni parafianie, budowa dotychczas nie została ukończona. I nie zostanie.

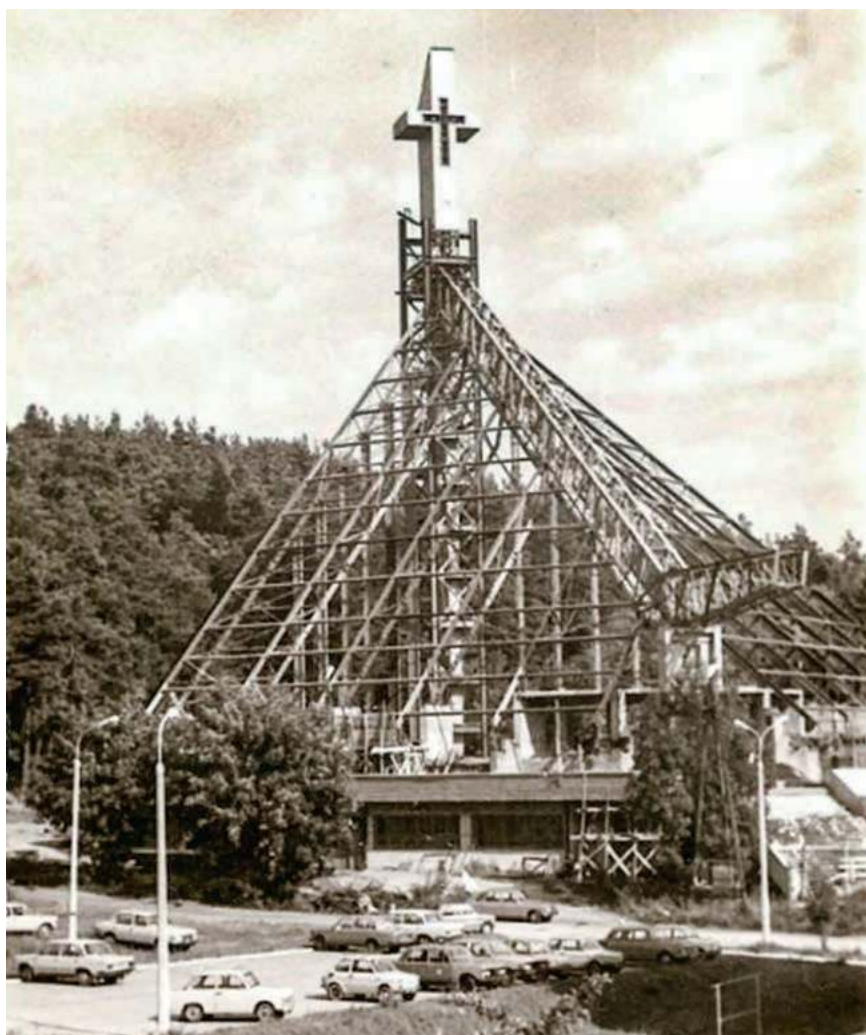
Tamtego lata mało kto przejmował się takim gadaniem. Cała Polska budowała kościoły. W latach 80. rozpoczęto budowę ponad 1300, jak podają autorzy „Architektury VII dnia”, projektu badającego polską architekturę sakralną. W karnawale Solidarności władza masowo wydawała pozwolenia na budowy, o które wcześniej wierni musieli zaciekle walczyć. „Kościół mógł nadrobić niedobory obiektów sakralnych, władza mogła zamortyzować gniew społeczny” – oceniają badacze, Kuba Snopek, Iza Cichońska i Karolina Popera.

Ówczesny brętowski proboszcz ks. Kazimierz Krucz otrzymał pozwolenie na budowę nieco wcześniej, w 1978 r. Nie miał powodów, by zakładać dobrą wolę władz. Jak zanotował w swoich wspomnieniach, złożył projekt „na wyrost”, tak żeby był w sam raz, kiedy komuniści na złość każą projekt zmniejszyć.

Komuniści na złość projekt zatwierdzili.

Robota szła równo

Parafianie robili, co mogli. Pani Ewa dzięki swoim znajomościom pomogła załatwić dźwig, a jej mąż kopał fundamenty tak zawzięcie, że aż dostał ruptury.



Kościół pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Gdańsku-Brętowie, budowa, lata 80.

– Entuzjazm był! Praca szła na dwie zmiany, jedni do obiadu, a potem kolejni do wieczora. Codziennie po 40, 50 osób przychodziło. A i proboszcz się roboty nie bał, czasem i taczki pchnął nawet! – opowiada pan Marian. Jak ma wyglądać jego kościół, odkrywał w miarę budowy, ponieważ makietę całości zobaczył dopiero w latach 90.

Po szkole pomagali ministranci, a stocznio wcy mieszkający w niedawno wybudowanych blokach pracowali za darmo. Pan Marian mówi, że najtrudniejszym fragmentem budowy było zalewanie szalunków na stropie, który miał być podłogą drugiego kościoła: świątynia miała być dwukondygnacyjna. Trzeba było wjeżdżać taczkami z betonem po nasypie – ręce zwiślały potem za kolana, ale to przecież było dla nas i dla przyszłych pokoleń!

– Panie, zmęczony? Ja do pięćdziesiątki nie byłem zmęczony, zmęczony to jestem teraz – obrusza się inny parafianin, emerytowany robotnik w porcie.

Czas cudów

Udało się wybudować dolny kościół, który zaspokajał potrzeby parafian. Trwały prace nad drugą kondygnacją. Proboszcz Krucz dbał o to, by zapal wiernych nie opadł. Miał dar przekonywania, wypływający być może z nieustępliwości i przekonania, że działa z polecenia i przy pomocy sił niebieskich. Z ogłoszeń parafialnych: „Panom, którzy tak pieczołowicie pomagali przy rozładowaniu cegły, dziękujemy w imieniu Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Tych parafian, którzy j e s z c z e nie śpieszą z pomocą finansową, bardzo prosimy o ofiary”.

Ks. Krucz nie szukał pomocy finansowej jedynie wśród parafian. Prowadził obfitą korespondencję. Zrzutka, którą organizował, opierała się nie tylko na parafii czy Gdańsku: budowa kościoła w Brętowie miała zasięg międzykontynentalny. „Wielce zdziwi Pana mój list... ośmiela mnie fakt wielkiej dobroci Pana...” – pisze do prezesa Polonii ➔



Pożar kościoła pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Gdańsk, 2 września 1999 r.

Poniżej: zdjęcie z marca 2021 r.

→ w Niemczech. „Znając Pana życzliwość jako Prezesa wielkiej rodziny Polaków zamieszkałej w Ameryce...” – do szefa Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Nawet za niewielkie datki ks. Krucz nie omieszkiał dziękować: „Droga, kochana Pani, pragnę złożyć serdeczne Bóg zapłać za przesłaną ofiarę 10 dolarów”. Przed wiernymi rozsnuwał spektakularne wizje: „moim wielkim marzeniem jest ufundować piękny świecznik, w którym płonęłyby świece na cześć naszej Pani... ukończeniem moich marzeń jest budowa nowego ołtarza”.

Kościół rósł. Budujący zmagali się nie tylko z brakiem środków, ale i z siłami natury. Obok kościoła stała kilkudziesięciometrowa wieża. Montaż kalenicy i krzyża wymagał pracy dwóch dźwigów. Wichura nie pozwalała na wcią-

gnięcie masywnych konstrukcji na odpowiednią wysokość, ale dźwigi były potrzebne na innej budowie. Nie można było czekać.

Ze wspomnień ks. Krucza: „Pokropiłem ten stos żelaza i jak prorocy z Panem Jezusem wznosiliśmy do Ojca Niebieskiego pokorną prośbę”. Zgromadzeni pod wieżą, umorusani i spoceni od roboty parafianie odmówili „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”. Wiatr ustał.

Pan Marian: – Człowiek troszkę się przeraził! Zastanowiłem się nad swoim życiem i pomyślałem, że coś w modlitwie jednak jest!

Podział

Energia księdza Krucza była niespożyta. Równoległe z budową brętowskiego kościoła zainicjował rozbudowę pobliskiego

sanktuarium maryjnego. Poza świątynią stanął tam Dom Samotnej Matki. Pieniądze zaczęły płynąć również tam. Wkrótce podzieliła się i sama parafia: z sanktuarium utworzono nowe probostwo, które objął ks. Krucz.

Nie sprawdziły się oczekiwania, że kościół będzie musiał zaspokajać potrzeby wspólnoty liczącej kilkadziesiąt tysięcy wiernych. To historia wielu miejskich parafii: olbrzymich kościołów, wznoszonych w tym okresie z myślą o rozbudowujących się dzielnicach. Tak jest na przykład w przypadku parafii Bożego Ciała, największego po gotyckiej bazylice Mariackiej kościoła w Gdańsku. Parafia miała liczyć 24 tys. mieszkańców – jest ich 14 tys., z czego przed pandemią praktykowało 3,5 tys. Podobnych przykładów znajdziemy więcej. W kościele parafialnym Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Katowicach, też dwukondygnacyjnym, dolny poziom „skrzyńki”, jak o bryle kościoła mówi proboszcz, ze względu na niewielką liczbę wiernych wykorzystywany jest jako magazyn Caritasu. Listę można ciągnąć.

W przeciwieństwie do świątyń powstałych przed wojną, które mimo niewielkiej liczby praktykujących mogą liczyć na dofinansowanie utrzymania i remontów, wielkie kościoły PRL-u muszą radzić sobie same.

Wiele z nich budowano jak kościół w Brętowie, siłami parafian. Ich motywacją była paliwo dla budowy. Tam, gdzie entuzjazmu wystarczyło, kościół powstał na przestrzeni kilku, kilkunastu lat. Wydaje się, że w Brętowie entuzjazm przyszał.

Nowy proboszcz, ks. Tadeusz Chajewski, odziedziczył parafię i nieukończony kościół. Budowę, jak mówi, z gatunku trudnych, ponieważ okazało się, że w planie są pewne niedoskonałości. Na przykład wielkie przeszklone fragmenty ścian, wychodzące na las. „Może i ładnie to wygląda, ale przecież ja zimą tego nie ogrzeję” – pomyślał z przerażeniem. Zdecydował, że parafianie las mogą podziwiać i po mszy. Przeszkloną część ściany odgrodził od wnętrza kościoła dodatkowym murem.

Największym problemem był dach, z trudem skonstruowany za dawnego proboszcza. Ks. Krucz zrobił chyba wszystko, co było możliwe, by zdobyć materiał na jego budowę. Zwrot „dwadzieścia pięć ton blachy trapezowej” odmieniał przez

wszystkie przypadki w hutach, magazynach i fabrykach, w Urzędzie ds. Wyznań w Warszawie, w listach do premiera (pisanym przynajmniej siedmiokrotnie) i do ministra (przynajmniej pięciokrotnie). W końcu blachę udało się zdobyć i dach położono. Jednak przeciekał.

– Mądry proboszcz nigdy nie wini i nie oskarża poprzednika, tylko stara się to, co było niewłaściwe, naprawić – mówi sentencjonalnie ks. Chajewski. Kościół brętowski stał się być może jedyną w Polsce świątynią o dwóch dachach, ponieważ bezpośrednio nad konstrukcją z blachy trapezowej powstawała druga, z blachy miedzianej. Powoli, pieniądze na budowę było mniej. Po tym, jak ks. Krucz dotarł z kwestą do Ameryki, nowy proboszcz nie miał już odwagi dalej prosić o wsparcie. Datki zebrane podczas mszy były systematycznie zbierane na zakup kolejnych partii materiału i pensje dla – tym razem wykwalifikowanych – pracowników.

Pod wpływem tych doświadczeń nowy proboszcz z rezerwą odnosił się do spontanicznej, nie zawsze przemyślanej metody budowy. Nie wszyscy dobrze przyjęli ten rodzaj rezerwy.

Parafianin: – Była inna forma zarządzania. Był trochę taki... troszeczkę niedostępny dla ludzi. To dobry proboszcz, ale budowlanec to on nie był.

Mimo trudności na przestrzeni dziesięciu lat większość konstrukcyjnych niedoróbek udało się naprawić. Kościół był już niemal gotowy.

Wtedy wybuchł pożar. Był 2 września 1999 r.

Pożar

Ogień nieśpiesznie, przez prawie dobę, trawił dzieło parafian. Schował się w przestrzeni pomiędzy dwoma dachami, za nic mając sobie wysiłki strażaków. Brakowało wystarczająco wysokiej drabiny, by skutecznie prowadzić akcję: strumienie wody parując spływały po rozgrzanym dachu. Jedyne, co można było zrobić, to łać wodę po ścianach górnego kościoła, by zabezpieczyć przed ogniem resztę konstrukcji.

Wszędzie jest pełno wody, która przecieka na niższą kondygnację. Parafianie wynoszą z dolnego kościoła cały dobytek. Proboszcz nie pozwala wyciąć krzyża i wynieść figury Maryi – zostawcie, Matka Boża musi czuwać. Bilans pożaru jest jednak dramatyczny: trzeba w całości rozebrać dach i część ścian.

Pan Marian opowiada, jak w następnych dniach wraz z innymi parafianami siekierami ciął na górze blachę, której płyty zrzucano na dół. Być może wtedy wydarzył się już co najmniej drugi cud w historii kościoła – ponieważ nikomu podczas tych prac nie stała się krzywda. Pan Marian pamięta, że pracowało ich nie więcej jak dwadzieścia pięć osób, częściowo ci sami ludzie, którzy pomagali przy budowie od samego początku, trochę nowych twarzy.

– Proboszcz musi wesprzeć ludzi. Śiać nadzieję – tłumaczy ks. Chajewski. Stał się zatem przekonywać: że odbudują i że wszystko będzie dobrze. Chociaż próbował tego nie okazywać, sam był załamany. Wolałby zrezygnować ze stawiania górnego kościoła. Przecież dolny wystarczał na potrzeby parafii. Otrzymał jednak polecenie od biskupa – odbudować. Urządzono na terenie diecezji zrzutkę na spalony kościół. Pieniądzy wystarczyło na rozbiórkę zniszczonych części i zakup nowego, bardziej realistycznego projektu. Z realizacją parafia musiała sobie poradzić własnymi siłami. Ubezpieczenie opiewało na niewielkie sumy.

– Mówią, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... – mówi proboszcz tonem sugerującym, że nie jest do końca przekonany co do prawdziwości tego przysłowia.

Przestrzeń to komfort

– Ale są też i dobre rzeczy – dorzuca ks. Chajewski po chwili milczenia. Tłumaczy, że nowy kościół jest niższy, łatwiejszy do ogrzania. Bardziej funkcjonalny. Dwadzieścia lat po pożarze górny kościół jest wciąż w stanie surowym, ale odbywają się tam czasem nabożeństwa. – Na razie jest to trochę utrudnione, bo na wyższą kondygnację prowadzą wysokie schody, dla starszych parafian to wyzwanie. W planie jest budowa windy – mówi.

– Parafia jest raczej senioralna? – pytam. Ks. Chajewski przyznaje, że tak. Z 9 tysięcy parafian na niedzielne msze chodziło przed pandemią nieco ponad 3 tysiące ludzi, większość z nich to emeryci. Z tacy nie zbiera się wiele. Gdyby wierni pojawili się na nabożeństwie wszyscy naraz, ciasno zapęniliby dolny kościół. Gdyby wszyscy rozsiedli się u góry, zostałoby jeszcze trochę wolnego miejsca. W parafii rokrocznie odprawia

się około stu pogrzebów. Chrztałów: nie więcej jak trzydzieści, czterdzieści.

Parafianka: – Na początku wydawało mi się, że kościół jest bardzo przewymiarowany... ale przestrzeń to komfort! Przynajmniej duszno nie jest!

Parafianin: – Teraz to się wreszcie zaczęło przydawać! Kiedy były limity, to można było odprawiać msze w obu kościołach naraz!

Parafianka: – Ludzie zaraz pretensje mają, że to tak długo, że inne kościoły... Ja nie dam na proboszcza złego słowa powiedzieć, bo księża na plebanii skromnie żyją, a proboszcz uczciwy jest i nic nie kręci.

Entuzjaści mówią, że na odbywające się za osiem lat stulecie parafii uda się skończyć kościół. Biorąc pod uwagę ilość pieniędzy, którą udaje się co miesiąc zebrać, proboszcz nie sądzi, żeby to było możliwe: parafia ma przecież inne wydatki. Nie uważa zresztą, żeby budowa kościoła była najważniejszym zadaniem. Mówi, że kościół jest dla parafian i oni go swoimi środkami wybudują, w swoim czasie.

Prace powoli idą do przodu. Niedawno parafianie odmalowali dolny kościół. Kilka lat temu grupka mniej więcej dziesięciu mężczyzn wyłożyła kostką brukową parking i dojdzie do kościoła. Przewodził niezłomny pan Marian. Oświadczając, że gdyby miał odejść od kościoła, widzi dwie możliwości: albo zapadłby się pod ziemię ze wstydu, albo umarłby z nudów.

Przeglądałam na stronie parafii zdjęcia dokumentujące kładzenie kostki. Widzę tam siwiejących i zupełnie siwych mężczyzn, koło pięćdziesiątki, sześćdziesiątki. Jest jeden młodszy chłopak.

– Dla kogo państwo to robią, jeśli nie ma młodych? – pytam pana Mariana.

– Dla nas. Dla nas i dla tych, co przyjdą! – odpowiada dobitnie.

– A jeśli nie przyjdą? – dopytuję.

– Przyjdą – ucina z mocą. Nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej.

■ ■ ■

Pod koniec opracowania „Architektura VII dnia” jego autorzy piszą: „Końca wznoszenia świątyń nie ma. Architektura świątyń, tak silnie związana z budującą ją wspólnotą, będzie w nieskończoność aktualizowana przez nowe pokolenia”.

Nie miałem odwagi zapytać parafian i proboszcza, co sądzą o tym zdaniu.

© JAN RYBICKI

Habit – znak oporu

ZUZANNA RADZIK

Protesty w ramach obywatelskiego nieposłuszeństwa mogą być w różnych sytuacjach wyrazem wierności Ewangelii.

KAŻDY Z NAS MOŻE I POWINIEN STAĆ się w swoim środowisku promotorem międzyludzkiej solidarności” – napisał przewodniczący episkopatu w liście dotyczącym sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Jednocześnie Caritas Polska ogłosiła, że wysyła do przygranicznych parafii tysiąc pakietów pomocowych z wodą, kocem termicznym i ogrzewaczami do rąk. Pytania, gdzie jest Kościół katolicki w tej sytuacji i co może, jakie ma logistyczne moce, nie milkną od początku kryzysu. Niech każdy sam sobie odpowie, czy reakcja jest na miarę możliwości tej wielkiej instytucji.

Zastanawiając się jednak głębiej, co mogą i powinni robić w tej sytuacji chrześcijanie, można się rozejrzeć po świecie w poszukiwaniu inspiracji. To nie pierwsza sytuacja w historii, w której chrześcijanie napotykały moralne wyzwanie i muszą zdecydować, jak się zachować wobec migrantów i uchodźców, niezależnie od tego, jak zachowuje się wobec nich władza państwowa.

W latach 80. w Stanach Zjednoczonych powstał ruch społeczny zwany ruchem azyli (Sanctuary Movement). Gdy zaostrenie polityki migracyjnej państwa sprawiło, że dla przybywających z Ameryki Środkowej właściwie niemożliwe stało się złożenie prośby o azyl, pół tysiąca parafii ogłosiło się azylami. Ozna-

czało to deklarację udzielenia uchodźcom schronienia i pomocy, również prawnej. W ruch włączyły się Kościoły różnych chrześcijańskich wyznań: luteran, katolików, prawosławnych, presbiterian, metodystów, baptystów, kwakrów, menonitów, a także Żydzi.

Ruch zakładał obywatelskie nieposłuszeństwo (co dla założycieli i niektórych aktywistów wiązało się z odsiadką w więzieniu) i opierał się na starożytnej jeszcze tradycji prawa azylu w świątyni. Już starożytny Izrael znał prawo ucieczki do ołtarza dla nieumyślnego zabójcy oraz prawo miasta ucieczki. Potem w diasporze miejscem schronienia stały się synagogi i rozszerzył się katalog przestępstw, w przypadku których można się było tam schronić. Podobne prawa znały Grecja i Rzym, a potem już chrześcijańska średniowieczna Europa. W uzasadnieniu sięgano też po chrześcijańskie i żydowskie nauczanie społeczne. Oraz historię własnych Kościołów, bo kwakrzy mieli silną tradycję pomocy biegłym niewolnikom i tworzenia tzw. kolei podziemnej.

Niedawno w związku z nasileniem deportacji powstał nowy ruch azyli, w którym znów chodziło o schronienie dla osób zagrożonych. Niektóre amerykańskie świątynie udzielały schronienia na wiele miesięcy, odpierając zamiary policji emigracyjnej. Znany jest też przykład

holenderskiego Bethelkerk w Hadze. Kościół ten w październiku 2018 r. udzielił azylu pięcioosobowej migranckiej rodzinie Tamrazyan, która bała się wracać do Armenii ze względu na zaangażowanie polityczne. Wykorzystując holenderskie prawo, które zakazuje przerywania nabożeństw, w kościele z pomocą tysiąca pastorów przez 96 dni bez przerwy odprawiano nabożeństwo, uniemożliwiając interwencję władzy do momentu, gdy rodzinie przyznano prawo pobytu.

Z kolei w połowie 2021 r. bawarski sąd skazał na grzywnę 500 euro s. Julianę Seelmann z franciszkańskiego klasztoru Oberzell za udzielenie azylu Nigeryjkom, które uciekły z Włoch przed stręczycielami. Według unijnego prawa nie powinny zmieniać państwa pobytu. Sędzia podkreślał, że Niemcy to państwo demokratyczne, a nie teokratyczne, otwarte łamanie prawa jest zatem niewybaczalne, jednak diecezja w Würzburgu nie zgodziła się, by udzielanie pomocy w dramatycznych sytuacjach miało być piętnowane. Seelmann podkreślała, że działała ze wsparciem biskupa tej diecezji.

To przykłady obywatelskiego nieposłuszeństwa, które chrześcijanie z różnych krajów podjęli w imię nadrzędności przykazania miłości bliźniego. O tyle przydatne w naszej sytuacji, że pokazują możliwą reakcję wobec restrykcyjnej polityki rządu, z którą się nie godzimy, i sposób na wykorzystanie społecznego szacunku dla miejsc i obrzędów związanych z religią.

Symbolicznym nośnym atrybutem okazuje się tu także strój duchowny. Księża i siostry zakonne używali go z rozmysłem w wielu sytuacjach. W słynnym antyrasistowskim marszu do Selmy nie bez powodu w pierwszym rzędzie (świadomi siły fotografii) poszli ramieniem księża, zakonnice, pastory i rabini. Podczas wielkich antyreżimowych protestów na Filipinach w 1986 r. siostry w habitach stanęły wraz z innymi katolikami z różańcami naprzeciw czołgów. Stroje zakonne i koloratki pojawiają się też w niejednym proteście w sprawach społecznych w Stanach Zjednoczonych.

Czy osoby w koloratkach i habitach wspierające aktywistów na granicy białoruskiej, rozmawiające z mieszkańcami, stanowiące – co tu ukrywać – duszpasterskie i duchowe wsparcie w sytuacji moralnych wyborów, nie byłyby pomocne?

©P

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 90/20 toczy się postępowanie z wniosku Łucji Halibożek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności działek ewid. nr 531 i 686/1 o łącznej pow. 0,25 ha, położonych w Jadownikach, gm. Brzesko. Działka nr 531 o pow. 0,10 ha odpowiada p. grt. 7927/1 z lwh 3037 Jadowniki, w którym jako właściciel ujawniony jest Józef Toboła (wpis z 8.09.1942 r.). Dla działki nr 686/1 o pow. 0,15 ha prowadzona jest w Sądzie Rejonowym w Brzesku księga wieczysta nr TR1B/00020871/1, w której jako właściciel wpisany jest Kazimierz Czernecki, s. Franciszka i Anny.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

WOJCIECH

Bonowicz:

Jak promień słońca



SOLIDARNOŚĆ JEST JESZCZE PRZED NAMI” – trudno sobie wymarzyć lepsze hasło na czas, który właśnie przeżywamy. W dniu, w którym ten numer „Tygodnika” trafi do kiosków, w Krakowie rozpoczyna się 20. Dni Tischnerowskie.

Nie jestem w stanie przewidzieć, o czym będzie się rozmawiało podczas składających się na nie debat. Niemniej hasło, które im towarzyszy, dobrze opisuje problem, przed jakim stanęliśmy. To parafraza słynnego zdania Tischnera, który pod koniec życia napisał: „Mam takie głębokie przekonanie, iż chrześcijaństwo – Ewangelię – mamy nie tyle za sobą, ile przed sobą”. Pod piórem Tischnera słowa te tchnęły optymizmem: dziś, wyraźniej niż kiedykolwiek, widać cel, ku któremu zmierzamy. Przez wieki chrześcijaństwo potwierdzało swoją tożsamość przede wszystkim w sporze z innymi. Skupianie się na tym, co odróżnia, kosztowało życie wielu ludzi. „Nadszedł czas odwrotu”, twierdził autor „Księdza na manowcach”. „Zabitych już nie wskresimy, ale pokochawszy różnice, może dojrzejemy do nieco mądrzejszej miłości”.

Nie wiem, czy ostatnie lata nie zachwiałyby optymizmem Tischnera i czy jego słów nie należałoby dziś tłumaczyć inaczej. Bo w końcu „przed nami” może oznaczać, że cel się nie przybliży, lecz oddala. Czy skłonni bylibyśmy przyznać, że chrześcijaństwo w Polsce „pokochało różnice” i „dojrzeło do mądrzejszej miłości”? Niewątpliwie są między nami kobiety i mężczyźni dający przykład takiego chrześcijaństwa. Ale jak duża to liczba? I czy nie są w przewadze ci, którzy twierdzą, że zamiast pokochać różnice i odkrywać podobieństwa, trzeba raczej wyraźniej zarysować granice i wrócić do sporu?

Podobnie rzecz się ma z solidarnością. Niby nie ma w niej nic niejasnego: solidarność oznacza wyciągnięcie ręki do tych, którzy cierpią, zwłaszcza – jak mówił Tischner – cierpią cier-

pieniem niepotrzebnym, zawinionym przez innych ludzi. Solidarność nie jest obwarowana żadnymi innymi warunkami: jest cierpiący i jego krzyk, a cała reszta nie ma w tym momencie żadnego znaczenia. Najpierw trzeba opatrzyć rany, dać chleb głodnemu, a marznącemu ubranie. Wyobraźmy sobie Samarytanina, który zamiast podnieść leżącego przy drodze Żyda przepycha go w jakieś niewidoczne miejsce... Solidarność nie kalkuluje. Jest, pisał Tischner, „jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej, bez przemocy. Jej chodzi tylko o jedno: aby jej nie stawiano przeszkód – głupich, bezsensownych przeszkód. (...) Solidarność to bliskość – to braterstwo dla porażonych”.

Wiele słów zostało przechwyconych i zniszczonych. Pewnie już o tym pisałem, ale napiszę raz jeszcze. Byłem w szoku, kiedy sześć lat temu blisko Dworca Głównego w Krakowie zobaczyłem namiot z napisem: „Nie bądź obojętny – podpisz petycję przeciwko uchodźcom”. Zbierała te podpisy partia, która niewiele dziś znaczy w parlamencie, ale zdołała wprowadzić do niego grupkę nacjonalistów. Można by napisać cały osobny esej o takich przechwyceniach; niedawno w jednym z miast pojawiły się plakaty: „Twoje ciało należy do Ciebie – nie daj się zaszczepić”. Słowo „solidarność” także zostało przechwycone. Więcej nawet, stało się elementem partyjnej gry. Żeby było straszniej (bo przecież nie śmieszniej), partia, która ma w nazwie przymiotnik „solidarna”, ustami swoich przedstawicieli głosi poglądy jak najdalsze od tego, co zapisane w „Etyce solidarności”. Nie muszę dodawać, że powołując się na chrześcijańskie wartości, nie zamierza bynajmniej „pokochać różnic” i pracować nad pojednaniem. Jest partią konfliktu, antyeuropejskiej retoryki i narodowego egoizmu. Nie ona jedna zresztą... Tyle że ona używa – jako przykrywkę czy wabika – słowa „solidarność”. Z kim solidarna jest taka Polska?

Słowa – przechwycone i zabrudzone – mogą jednak odzyskiwać swoją moc. Odzyskują ją dzięki ludziom niekalkulującym, nieprowadzącym politycznej gry, ale sięgającym wprost do źródeł. Na szczęście jest w Polsce jeszcze dość Samarytan, którzy wiedzą, co należy zrobić. To oni pozwalają z optymizmem czytać te słowa: „Solidarność jest jeszcze przed nami”. I ważne jest to „przed nami”. Bo solidarność to nie wysiłek jednej czy drugiej osoby, ale coś, co określa etyczny charakter wspólnoty. Chwila, w której byśmy o tym zapomnieli, byłaby – przestrzegał Tischner – chwilą naszego samobójstwa. ©

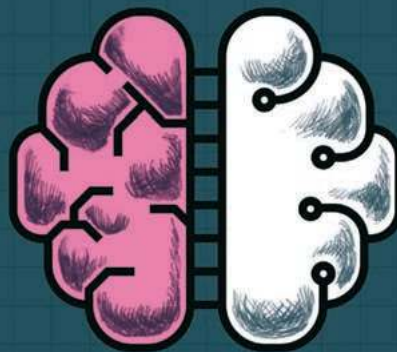
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

W następnym numerze „Tygodnika” dodatek

Sztuczna inteligencja – podróż w nieznane

Gra w szachy, dobór optymalnych terapii medycznych, przewidywanie struktur białek, odczytywanie ludzkich myśli – wyjaśniamy, co sztuczna inteligencja już potrafi i jak stopniowo zmienia nasze życie.

Powielania uprzedzeń i stereotypów, (a)moralność algorytmów, narzędzie kontroli – wskazujemy, jakie wyzwania społeczne i polityczne wiąże się z jej rozwojem.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SCHODY NA DRODZE DO MARZEŃ

O ponad połowę spadła na brytyjskich uczelniach liczba nowych studentów z krajów Unii Europejskiej.

Brexit to dla nich wyższe czesne i brak kredytów.

Jak sobie radzą?

MAŁGORZATA PROCHAL Z CAMBRIDGE I LONDYNU

REBEKA ZATRZYMAŁA SIĘ PRZED WIELKOFORMATOWYM płótnem Georges'a Seurata, oprawionym w złote ramy, i z zaciekawieniem analizowała każde pociągnięcie pędzlem. Na obrazie „Kąpiel w Asnières” kilku mężczyzn wypoczywa nad brzegiem Sekwany w robotniczej dzielnicy Paryża. Siedzą na trawie, patrząc w dal, lub zanurzają się w wodzie.

Z błyskiem w oku 18-latką opowiada mi o tamtej chwili: – Te postaci są obok siebie, ale nie wchodzi w interakcje i doświadcza czegoś zupełnie innego. Tak jest też w muzeum. Oglądając obrazy, zwiedzający są w tym samym pomieszczeniu, ale każdy ma swoje przemyślenia.

Praca XIX-wiecznego francuskiego impresjonisty była Rebecce dobrze znana. W szafie miała złożoną w kostkę koszulkę z nadrukiem obrazu Seurata, którą kupiła w sieci. Jednak gdy zobaczyła płótno w National Gallery w Londynie, zrobiło na niej ogromne wrażenie. Na tyle znaczące, by utwierdziła się w przekonaniu, że to historii sztuki chce poświęcić kolejne lata życia.

Celem Rebeki był Uniwersytet Cambridge. Kiedy po brexitie wzrosło czesne, wiedziała, że ma dwa wyjścia: poddać się

albo zdobyć pieniądze na realizację marzeń. Skrupulatne wyliczenia pozwoliły jej oszacować, że za trzy lata nauki, włącznie z jedzeniem i zakwaterowaniem, będzie musiała zapłacić ok. 130 tys. funtów (ok. 700 tys. złotych).

Cena za brexit

Wyższe czesne i brak pożyczek studenckich dla obywateli krajów unijnych to pokłosie brexitu. Zwiastowało je oświadczenie, które w 2020 r. wydała minister edukacji Wielkiej Brytanii. „W następstwie decyzji o opuszczeniu Unii Europejskiej...” – zaczęła Michelle Donelan, a jej kolejne słowa dla wielu młodych ludzi oznaczały przekreślenie marzeń o nauce na brytyjskich uczelniach. Od roku akademickiego 2021/22 za czesne przyszło im płacić nie trochę ponad 9 tys. funtów, lecz kilkadziesiąt tysięcy funtów. Wcześniej obowiązywały ich takie stawki, jak studentów krajowych.

Antoni Prus, przewodniczący Federacji Polskich Stowarzyszeń Studenckich w Wielkiej Brytanii, przyznaje, że koszty za ten nowy rok wzrosły dramatycznie: – Dla przykładu w Cambridge nowi studenci z Polski będą płacić ponad 22 tys.



funtów za kierunki humanistyczne, jak angielski, historia czy filozofia. Za kierunki ścisłe i techniczne, jak inżynieria, chemia czy informatyka, będzie to prawie 34 tys. funtów. I ponad 58 tys. funtów za studia medyczne i weterynaryę.

Dla studentów unijnych brexit oznacza też koniec rządowych kredytów. Dostawała je większość aplikujących, a spłacało się je dopiero przy odpowiednio wysokich dochodach. – Są pojedyncze stypendia, które mogą pokryć część lub całość nowych kosztów. Wydaje się jednak, że łatwiej o finansowanie dla studenta z odległych Indii czy USA niż dla Francuza – mówi Prus.

W Szkocji obywatele Unii muszą od tego roku płacić za studia licencjackie,



DORLING KINDERSLEY / BE&W

Założony w 1209 roku Uniwersytet Cambridge to druga najstarsza uczelnia w Anglii.

które wcześniej były darmowe. Magdalena Grzymkowska, dziennikarka mieszkająca w Edynburgu, stolicy Szkocji, tłumaczy, że niektóre uczelnie z własnej inicjatywy obniżają czesne: – Szkocja jest prounijna, tu 62 proc. wyborców głosowało w referendum przeciw brexitowi. Dlatego jest duże lobby, aby te opłaty były mniejsze. W Stirling uniwersytet oferuje zniżkę dla studentów w wysokości 5 tys. funtów przez pierwsze trzy lata nauki. Czesne za czwarty rok uczelnia pokrywa w całości.

Jasny cel Rebeki

Popatrzyła na klawiaturę komputera i zaczęła pisać. Palce Rebeki wystukiwały zdecydowanie kolejne słowa listu mo-

tywacyjnego (ang. *personal statement*). Wiedziała, że jest to ważny, o ile nie najważniejszy element jej aplikacji na Cambridge. „W historii sztuki znalazłam idealną synergię pomiędzy nauką a codziennym doświadczeniem” – słowa zaczynały tworzyć zdania.

– Pisałam o tym, co kocham w tym przedmiocie i co mnie interesuje. Wspominałam też o Warszawie. W „Lolice” padają takie słowa: „Mój ojciec był koktajlem genów”. Dla mnie stolica Polski jest koktajlem architektonicznym. Przykładowo plac Bankowy: jest tam drapacz chmur, klasyczny ratusz i duże socrealistyczne bloki – mówi Rebeka Spalińska.

Spotkałyśmy się, aby opowiedziała mi o swojej drodze na Cambridge.

Dzięki programowi stypendialnemu dla zdolnych uczniów dostała się do liceum Akademia High School w Warszawie, które realizuje program brytyjskiej matury. Zdawała egzamin dojrzałości z literatury angielskiej, polskiego i hiszpańskiego oraz historii sztuki. Zakopana w książkach, zostawała w szkole po lekcjach, a w czasie lockdownu uczyła się w domu, często przesadzając z liczbą godzin. – Wiedziałam, że muszę ciężko pracować. Cambridge stało się moją motywacją i ambicją. Inspirowali mnie inni uczniowie mojego liceum, którzy tam studiowali – wspomina.

Proces rekrutacji trwał rok i składał się z kilku etapów. Po wyborze uczelni Rebeka musiała napisać list motywacyjny, ➔

→ przejść rozmowy kwalifikacyjne i spełnić tzw. ofertę (ang. *conditional offer*), czyli wymagania uniwersytetu co do wyników z matury, których uczeń potrzebuje, by dołączyć do grona studentów: – Długo na to pracowałam, dlatego tym bardziej bałam się, że coś może pójść nie tak. Cała się trzęsłam, gdy otwierałam maila z uniwersytetu.

Radość mieszała się z obawą: jak zdoła opłacić trzy lata nauki w Cambridge. W jej przypadku było to ok. 130 tys. funtów. Ale za pozorną nieśmiałością 18-letniej szatynki kryła się determinacja.

– Oczywiście nie miałam takich pieniędzy. Moi rodzice byli w stanie opłacić jedynie niewielką część tej kwoty – przyznaje. – Zaczęłam szukać dofinansowania od instytucji i prywatnych sponsorów. Bardzo pomogła mi w tym szkoła. Urodziłam się w USA, gdzie studiuje moja siostra, i jestem Żydówką z krwi, więc pisaliśmy też do żydowskich fundacji. Mam już zabezpieczone środki na dwa lata, największy problem jest z ostatnim rokiem.

Z początkiem października Rebeka zaczęła studia na Emmanuel College – jednym z 31 autonomicznych kolegiów, z których składa się Uniwersytet Cambridge, ta druga (po Oksfordzie) najstarsza uczelnia w Anglii.

Rebeka: – Jestem tutaj i mam szansę realizować marzenia. Nie wiem jeszcze, jak opłacić trzeci rok studiów. Ale muszę wierzyć, że się uda.

Odpyły studentów

Dane opublikowane w lipcu przez UCAS, brytyjską organizację zarządzającą procesem rekrutacji, są alarmujące: aż o 43 proc. spadła liczba chętnych z Unii Europejskiej na studia w Wielkiej Brytanii. Do 30 czerwca, gdy minął termin składania aplikacji, z krajów Unii wpłynęło ich 28,4 tys., w tym 1230 z Polski. Dla porównania: w 2020 r. było to odpowiednio ponad 49 tys. i 4630 aplikacji.

Potem pojawiły się nowe statystyki: o 56 proc. spadła liczba obywateli UE na brytyjskich uniwersytetach w porównaniu do analogicznego okresu w ubiegłym roku.

– Do 7 września miejsce na uniwersytetach w Wielkiej Brytanii zagwarantowało sobie 12 920 studentów z Unii Europejskiej, z czego 470 to obywatele Polski – mówi Rosy Cobb z biura prasowego UCAS.



ARCHIWUM PRYWATNE X3

*„W historii sztuki znalazłam synergię między nauką a codziennym doświadczeniem”. **REBEKA SPALIŃSKA** w Emmanuel College, 5 października.*



*„Czasem pytają mnie, co kobietę ciągnie do astronomii. Odpowiadam, że to samo co mężczyzn”. **ZOFIA KACZMAREK** w Cambridge, 3 października.*

Taki spadek zainteresowania to dla Wielkiej Brytanii ogromna strata, przyznaje Stanley Bill, szef katedry studiów polskich na Uniwersytecie Cambridge. – Studenci i naukowcy z krajów Unii znacząco poszerzali grono utalentowanych osób, z których uczelnia mogła czerpać. Na poziomie podoktoranckim obywatele Unii stanowią znaczącą część naukowców w Cambridge. Potrzebujemy ich. Oprócz tego wnoszą również unikalną perspektywę kulturową i doświadczenia – mówi Bill.

Tendencja spadkowa jest widoczna także tu, w Cambridge. – Na rok akademicki 2021/22 otrzymaliśmy 135 aplikacji od polskich obywateli i 15 z nich zostało przyjętych. W roku 2020/21 było 234 kandydatów z Polski i 42 z nich dołączyło do

grona studentów – mówi Paul Seagrove, kierownik ds. komunikacji na tej uczelni.

Coraz większym zainteresowaniem wśród absolwentów liceów cieszą się za to studia we Francji, Holandii czy Niemczech.

Ostatni krok w drodze do gwiazd

„Nazywam się Zofia Kaczmarek i kosmos jest całym moim życiem” – 23-latką starała się zebrać myśli. Miała w pigułce przedstawić najważniejsze fakty ze swojego życia, dzięki którym inni zrozumieją, dlaczego astronomia jest jej światem. Była pełna obaw, pisząc tekst uzasadniający internetową zbiórkę: czy ktoś cokolwiek wpłaci, czy w ogóle wypada?

Wiedziała jednak, że jeśli nie spróbuje, będzie żałować całe życie.

Dzięki wsparciu przyjaciół nie poddała się i w dwa dni zebrała astronomiczną kwotę: 205 tys. zł. To więcej, niż zakładała. Ze stypendiów i nagród odłożyła ok. 68 tys. zł. Mogła więc teraz zacząć studia magisterskie w Cambridge.

– Młodzi ludzie, którzy planowali przyszość z myślą o studiach w Wielkiej Brytanii, zostali postawieni pod ścianą. Kumulacja pandemii i brexitu sprawiła, że zniknęło wiele możliwości na otrzymanie finansowego wsparcia – mówi Zofia, absolwentka Liceum Akademickiego w Toruniu. – Cieszę się, że dzięki tej zbiórce zainspirowałam też inne osoby do walki o marzenia. Mam nadzieję, że kolejne roczniki będą mogły liczyć na jakieś systemowe rozwiązanie.

Opowiadając o pierwszych krokach w astronomii, Zofia odkopuje w zakamarkach wspomnień wizytę w toruńskim planetarium, do którego zabrała ją mama. Miała pięć lat i gdy spojrzała w górę, na tysiące gwiazd, wcale nie była aż tak zachwycona. Trzymała się kurczowo fotela, bo miała wrażenie, że krzesło, na którym siedzi, wiruje. Ale potem często wracała do planetarium.

– Czasem pytają mnie, co kobietę ciągnie do astronomii. Odpowiadam wtedy, że to samo co mężczyzn. O ile wiem, prawa fizyki są takie same dla obu płci. Uważam, że patronizowanie kobiet w nauce mija się z celem, bo znakomicie sobie radzą – mówi Zofia Kaczmarek.

Pierwsze obserwacje prowadziła jako 13-latką. Mając 17 lat, wygrała Olimpiadę Astronomiczną (jako druga kobieta w 60-letniej historii konkursu), a rok póź-

niej powtórzyła ten sukces. „Nawet Aleksander Wolszczan, jeden z najbardziej cenionych astronomów świata, kiedy był w liceum, nie osiągnął takiego wyniku” – komentował jej sukces Lech Motyka z Planetarium Śląskiego. W dowód uznania jej imieniem została nazwana planeta orbitująca między Marsem a Jowiszem.

– W 2018 r., podczas pierwszego roku studiów na Uniwersytecie Warszawskim, pojechałam do Cambridge, gdzie przez tydzień dzieliłam środowisko pracy z doktorantami. Poczułam wtedy, że to miejsce bardzo otwarte, w którym mogę bez oporów zadawać pytania, dyskutować i pracować nad największymi zagadkami wszechświata – wspomina.

Dziś ma 23 lata. W Cambridge przedstawiła swoje propozycje projektów badawczych. Pod czujnym okiem wybitnego naukowca, prof. Wyna Evansa, będzie kontynuować pracę nad ciemną materią. – Często wyobrażamy sobie astronomia na szczycie góry z teleskopem. To jednak głównie praca przy komputerze, na ogromnych bazach danych, i programowanie. Choć obserwacje lubię najbardziej – przyznaje.

Zofia wspomina mały blaszany domek na szczycie Chelmos, ponad 2340 metrów n.p.m., około 130 kilometrów na zachód od Aten. Z dala od zgiełku i światła miasta. Prowadziła tam obserwacje na ponad dwumetrowym teleskopie. Miała wrażenie, że jest w stanie sięgnąć gwiazd. Tak właśnie czuje się w tej chwili, zaczynając nowy rozdział w życiu.

Nie tylko czesne

Studia w Wielkiej Brytanii po brexicie to – obok płacenia wyższego czesnego – także konieczność okazania przez obywateli Unii dodatkowych dokumentów.

– Wymagana jest wiza studencka, a także opłacenie tzw. *immigration health surcharge* (imigracyjna dopłata zdrowotna), która pokrywa koszty ubezpieczenia zdrowotnego – mówi Antoni Prus.

Sama aplikacja o wizę to jednorazowy koszt w wysokości 348 funtów. Aby otrzymać wizę, trzeba przedstawić m.in. dokument potwierdzający przyjęcie na jeden z uniwersytetów. Wiza studencka uprawnia do nauki i podjęcia pracy, ale nie daje np. możliwości samozatrudnienia.



„W pracy naukowej będę starał się opowiadać historie tych, którzy już nie mają imienia”. **JEREMI JAKSINA** w Cambridge, 5 października.



„Nasza firma mogła powstać, bo sześć osób różnej narodowości połączyła wspólna misja”. **ALEKSANDRA PĘDRASZEWSKA** w Londynie, 20 września.

MAŁGORZATA PROCHAL

Kości zostały rzucone

– Widocznie nie uczyłem się dość dobrze, bo poszedłem do Cambridge – żartuje 21-letni Jeremi Jaksina, student trzeciego roku bioantropologii na Trinity College (kolegium to założył w 1546 r. król Henryk VIII). Tymi słowami Jeremi nawiązuje do wydarzenia z dzieciństwa: ma kilka lat, jest z mamą na spacerze, a gdy mijają Pałac Branickich, w którym w Białymstoku mieści się Uniwersytet Medyczny, słyszy wypowiedziane rodzicielskim tonem słowa: „Jak będziesz się bardzo dobrze uczył, będziesz mógł tu studiować”.

Kilkanaście lat później wybierze dla siebie inną akademicką drogę. A mama będzie dumna, że syn dostał się na Cambridge.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że Jeremi miał szczęście, zaczynając naukę w Wielkiej Brytanii przed brexitem. – Czesne było trzy razy niższe i mogłem opłacić je z kredytu studenckiego. Rodzice pomagają mi z pozostałymi kosztami, ale mam z nimi dziesięcioletnią umowę, że po studiach, gdy już zdobędę dobrą pracę, będę wspierał finansowo rodzinę – mówi.

Ze względu na pandemię przez trzy semestry uczył się zdalnie. Teraz, w poniedziałek 4 października, przyjechał do Cambridge. Ma nadzieję, że po raz pierwszy uda mu się spędzić tu pełen rok akademicki.

– Cambridge uczy pokory. Żywy kontakt z osiągnięciami poprzednich studentów uspokaja, ale i motywuje – mówi Jeremi. – Odpowiada mi takie środowisko, mierzenie się z czyimś dorobkiem. Można powiedzieć, że dlatego początkowo wybrałem archeologię jako swój kierunek studiów.

Gdy miał 10 lat, za sprawą dziadka wciągnęła go literatura historyczna: – Dostałem od niego biografię odkrywcy Troi i szybko zapomniałem o takich książkach jak „Harry Potter”. Dziadek nie miał nic wspólnego zawodowo ani z historią, ani z archeologią, ale myślę, że bardzo by się ucieszył wiedząc, że studiuje na Cambridge.

Choć Jeremi zaczynał od archeologii, dziś bardziej interesuje go genetyka. W pracy licencjackiej chce skupić się na „analizie niedawnej ewolucji ludzkich genomów w ujęciu matematycznej teorii chaosu”.

Wspomina: – Gdy pisałem list motywacyjny do Cambridge, wiedziałem, że rekruterzy muszą przeczytać tony papieru. Postanowiłem więc poprawić im na starcie humor i pokazać jednocześnie, co jest dla mnie ważne. Zacząłem „personala” autentycznym tekstem z graffiti odkrytego w Pompejach: „Okeanosie, chodźmy się napić”.

– Te słowa, choć niezbyt wysokich lotów, uświadomiły mi, jak niewiele nasi przodkowie różnili się od nas. Ile indywidualnych historii i ile człowieczeństwa, radości czy czasem bólu kryje się w szczątkach ludzkich – wyjaśnia. – Dziś już wiem, że w pracy naukowej będę starał się opowiadać historie tych, którzy już nie mają imienia. Coraz lepsze techniki sekwencjonowania aDNA [to tzw. antyczne DNA – red.] pozwalają genetykom

→ przywrócić szczątkom choćby część utraconej tożsamości.

W maju tego roku Jeremi został wybrany na przewodniczącego Polskiego Stowarzyszenia Studenckiego na Uniwersytecie Cambridge. W ramach tego tzw. PolSocu studenci organizują rozmaite wydarzenia i naukowe, i rozrywkowe – obok wykładów i warsztatów także wspólne lepienie pierogów, Andrzejki i wycieczki po kraju.

– Zależy mi na wyjściu poza uniwersytecką bańkę i stworzeniu marki Stowarzyszenia w przestrzeni publicznej. W planach jest m.in. zasadzenie PolSocowego lasu. Chcemy też przyznawać nagrody młodym ambitnym ludziom z potencjałem – zapowiada Jeremi.

– W Cambridge bardzo otworzyłem się na ludzi – dodaje. – Jest taka książka „Obłomow” Iwana Gonczarowa. I tak jak Stolz, książkowy przyjaciel Obłomowa, ja sam siebie gonię, żeby nie być zbędnym dla świata.

Na starych zasadach

Obywateli Unii Europejskiej, którzy kontynuują już naukę na uczelniach w Wielkiej Brytanii, obowiązują tzw. stare zasady. Na takich samych warunkach jak Brytyjczycy studia mogły też rozpocząć osoby ze statusem osoby osiedlonej na Wyspach (*settled*) lub tymczasowo osiedlonej (*pre-settled*). Jeden lub drugi status otrzymało tu łącznie 1,1 mln Polaków.

– Warunkiem było uzyskanie statusu najpóźniej w dniu rozpoczęcia roku akademickiego. Okres składania wniosków o taki status dla obywateli Unii już się zakończył, a przybyć do Wielkiej Brytanii trzeba było do końca 2020 r. Do przyznania statusu *pre-settled* wystarczyło udowodnienie rezydencji w Wielkiej Brytanii nawet przez kilka dni. Dokładne zasady mają 61 stron, warto je przejrzeć, zwłaszcza jeśli mamy jakąś rodzinę w Wielkiej Brytanii – podpowiada Antoni Prus.

Projekcja przyszłości

– Darrian jest Szkotem, Tom Anglikiem, Roman pochodzi z Austrii, SJ ze Sri Lanki, a Andrzej i ja jesteśmy Polakami. Nasza firma mogła powstać, bo sześć osób różnej narodowości spotkało się w Cambridge i połączyła je wspólna misja oraz zainteresowania – mówi Aleksandra Pędraszewska, współzałożycielka i dyrektorka operacyjna VividQ. To innowacyjny start-up, który tworzy oprogramowanie dla wyświetlaczy holograficznych.

Z 27-letnią Aleksandrą spotykamy się w biurze VividQ, w centrum Londynu. – Właśnie dzisiaj, przed rozmową z tobą, przyjeżdżałem do pracy czterdziestą drugą osobą – mówi Pędraszewska.

– Jako wysoce wyspecjalizowana spółka nie możemy pozwolić sobie na zatrudnianie osób tylko z Wielkiej Brytanii. Szukamy ludzi z konkretnym wykształceniem i umiejętnościami. Dotychczas mogliśmy wybierać z bardzo szerokiego grona osób z pozwoleniem na pracę i nie musieliśmy sponsorować wiz jako pracodawca. Teraz to się oczywiście zmieniło – tłumaczy.

Gdy Aleksandra Pędraszewska przyjeżdżała tu na studia, myślała o karierze prawniczej, jednak skrzydła rozwinęła w biznesie. Magisterkę ukończyła na Cambridge Business Judge School. Otrzymała tytuł brytyjskiej studentki roku i już dwa razy znalazła się na liście „30 przed 30” – młodych Polaków, którzy podbijają świat. Była też przewodniczącą Polskiego Stowarzyszenia Studenckiego na Uniwersytecie Cambridge.

Dzięki niemu poznała Andrzeja Kaczorowskiego, z którym dziś pracuje w VividQ. W ubiegłym roku otrzymała brytyjskie obywatelstwo.

Aleksandra bardzo ubolewa nad losem studentów unijnych po brexicie. Sama mogła uczyć się na Cambridge nie tylko za sprawą świetnych wyników i wsparcia rodziców, ale również dzięki kredytowi studenckiemu.

– Pomyślałam sobie, jak wiele takich firm jak VividQ nie powstanie w przyszłości. I jak bardzo niemierzalne będą te straty – mówi dziś. – Potrzeba przecież nie tylko szczęścia, ale i sprzyjających okoliczności, aby spotkała się grupa osób, której pomysł odniesie międzynarodowy sukces. Nie wspominając o grupach badawczych czy akademickich. Dziś szansa na powtórzenie takiej historii jest znacznie mniejsza.

© MAŁGORZATA PROCHAL

W czwartą rocznicę śmierci

Ś.†P.

Księża Prałata Mieczysława Turka

zostaną odprawione w Kolegiacie św. Anny w Krakowie Msze św.
za spokój Jego duszy i w podziękowaniu za wielkie serce, które nam okazywał.
W sobotę 16 X 2021 r. o godz. 19.30 i w niedzielę 17 X 2021 r. o godz. 10.00.

DUSZPASTERZE KOLEGIATY ŚW. ANNY, RODZINA I PRZYJACIELE

POŻEGNANIA

Zawiadamiamy, że w dniu 18 września 2021 roku,
w wieku 98 lat, umarła

Ś.†P.

Maria Ewa Zielińska

artysta plastyk, łączniczka AK 1940-1944
organizacji dywersyjnej „Wachlarz”,
sercem zaangażowana w prace Prymasowskiego Komitetu Pomocy
oraz organizację pomocy bezdomnym,
KATARZYNA I MACIEJ HEYDEL Z RODZINĄ



Talibowie w willi Dostuma. Bojownicy nie mieszkają jednak w głównym budynku, po latach życia w górach i na pustyniach czują się niekomfortowo w takim przepychu. Szeberghan, 20 września 2021 r.

Równość, jak Bóg da

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z SZEBERGHANU (AFGANISTAN)

Szeregowi talibowie, którzy zamieszkali w drogiej posiadłości wpływowego watażki, po raz pierwszy w życiu mogą uświadczyc, czym jest przepych.

OKAZAŁY SZEŚCIOPIĘTROWY BUDYNEK góruje nad miastem. Wysokie ogrodzenie oddziela go od reszty świata, aby ciekawskie oczy nie dostrzegły, co znajduje się w środku. Dawniej w betonowym posterunku przed wejściem czuwali strażnicy. O tym, że niedawno zmienili się właściciele, przypomina zniszczony humvee, wciąż stojący na przeciwko.

Willa należała do marszałka Abdula Raszida Dostuma, jednego z najbardziej wpływowych watażków w północnej części kraju. A także jednego z symboli nadużyć i korupcji wśród byłych już afgańskich władz. Obecnie w willi zadomowili

się talibowie. Ugrupowanie zajęło miasto Szeberghan, stolicę prowincji Dżozdżan, drugiego dnia triumfalnej ofensywy rozpoczętej na początku sierpnia. Doszło do niej, gdy Stany Zjednoczone i ich sojusznicy byli w ostatniej fazie opuszczania Afganistanu.

Grupa talibów, która przebywa na posesji Dostuma, jest onieśmielona miejscem, w którym się znalazła. Unikają przepastnej willi z licznymi sypialniami, ogromnymi telewizorami, drogimi meblami i kolumnami z kosztownego kamienia.

– Nie widzieliśmy nigdy czegoś takiego. Nawet ci z nas, którzy dorastali

w miastach, nie wiedzą, jak działa wiele ze znajdujących się tu gadżetów ani do czego służą – mówi 28-letni Atikullah Mabizarat. Trudno mu znaleźć słowa, aby opisać miejsce, w którym nagle zamieszkał.

Uczynić Boga szczęśliwym

Furtkę przy metalowej bramie z wizerunkami pawi niepewnie otwiera 23-letni Abdullah, szczupły mężczyzna z karabinem zarzuconym na ramię, który przedstawia się tylko z imienia. Za nim widać podwórze wyłożone sztuczną trawą i pergolę porośniętą winoroślą, obok niewielki park z fontanną pośrodku. Z trzech budynków najbardziej zwraca uwagę główna siedziba, nad którą teraz powiewa biała flaga talibów.

Abdullah, choć także pochodzi z prowincji Dżozdżan, nie może pochwalić się dorastaniem w podobnych warunkach. Twierdzi, że jego rodzice, utrzymujący się z rolnictwa, początkowo byli dość zamożni. Choć wewnątrz salonu Dostuma te słowa nie wydają się oddawać tego, co Abdullah ma na myśli. Według niego zamożność to zapewnienie wszelkich

→ najniezbędniejszych potrzeb, a nie drogich dywanów, żyrandoli czy obrazów, na których malarz starał się jak najwierniej oddać wizerunek właściciela.

Szczególnie że i ten skromniejszy dobrobyt w domu Abdullaha miał swój kres. Jak twierdzi, wpływowi ludzie z okolicy wywłaszczali jego rodziców z części ziem uprawnych. Abdullah w wieku 14 lat porzucił lekcje w państwowej placówce i poszedł do madrasy, szkoły religijnej. Tam spotkał człowieka, który przekonał nastolatka, by dołączył do talibów. Jak mówi, potwierdzenie swojej decyzji znalazł w Koranie. Chciał uczynić Boga szczęśliwym, a wierzył, że służąc w szeregach talibów, będzie mógł tego dokonać.

Ubaw w windzie

– Najpierw mieszkaliśmy w górach, potem wioskach, następnie w miastach, które zajęliśmy – mówi Abdullah.

Ofensywa talibów z początku sierpnia przesądziła o losach kraju. Ale nie byłaby ona możliwa, gdyby już wcześniej, od lat, nie zdobywali wpływów w prowincjach. Zajmowali kolejne terytoria, choć afgańskie wojsko rządowe było wspierane przez zagraniczną koalicję i dysponowało wsparciem z powietrza. Talibowie, aby przetrwać, często żyli w spartańskich warunkach – ukrywali się w górach, mieszkali w jaskiniach lub szukali schronienia na pustyni. Taka nagła zmiana standardów życia jest trudna do oswojenia.

– Mieszkając w zwykłym domu, czuję się bardziej komfortowo niż tutaj – mówi Abdullah.

To właśnie oderwanie od dobrodziejstw urbanizacji powoduje, że talibowie na siłowniach, w parkach rozrywki czy zoo czasami przypominają dzieci po raz pierwszy wypuszczone z domów. Albo bohaterów filmu postapokaliptycznego, na nowo odkrywających pozostałości po dawnym świecie. Dla nich miejskie atrakcje są nowe, a tym samym fascynujące. Wielu nigdy nie widziało dużych miast.

Tak samo działo się w willi Dostuma. Bojownikom tak spodobała się winda, że jeździli nią w kółko, aż dowódca powiedział, żeby ją odłączyć. Teraz muszą chodzić po schodach.

Blaski i cienie marszałka

67-letni Dostum, należący do uzbeckiej mniejszości, wrócił do Afganistanu samolotem wraz z prywatnym oddziałem



Willa Dostuma to najokazalszy budynek w mieście. Szeberghan, 20 września 2021 r.

komandosów. Przyleciał bronić Mazar-i Szarif, kluczowego miasta w północnej części kraju. Stało się to kilka dni po tym, jak w trakcie dwudniowych walk Szeberghan – w pobliżu którego urodził się Dostum i gdzie spędzał znaczną część czasu – wpadł w ręce talibów. W tym także jego dwie posiadłości. Internet obieżyły zdjęcia, na których jeden z talibów pozuje w za dużym mundurze Dostuma.

Mimo zaskakujących zdobyczy na północy, które dotąd uważano za centrum antytalibskiego oporu, marszałek odgrażał się, że nadejdzie czas zemsty. Ale trudno było traktować te słowa poważnie. Mający lata świetności za sobą, watażka wrócił do Afganistanu z leczenia w Turcji.

Historia Dostuma nierozzerwalnie spleta się z kolejnymi etapami afgańskiej historii ostatnich kilku dekad. W latach 70. XX w. dołączył do wspieranej przez Sowieków afgańskiej armii. Służył w wojskach desantowych, szybko piął się po szczeblach kariery. Z komunistami trzymał się do samego ich końca, czyli do początku lat 90., aby ostatecznie ich zdradzić, tym samym przyczyniając się do upadku kontrolowanego przez nich Kabulu.

Potem, podczas wojny domowej, wraz ze swoją milicją kilkakrotnie zmieniał strony, wybierając zawsze tę najlepiej rokującą. Następnie na północy kraju – z główną siedzibą w Mazar-i Szarif – utworzył istniejące krótko parapaństwo z własną armią, a nawet walutą. Gdy w 1996 r. talibowie po raz pierwszy przejęli władzę w kraju, opuścił Afganistan.

Wróg

Dostum wrócił do łask podczas amerykańskiej inwazji z 2001 r. Szybko stał się jednym z ich kluczowych sojuszników, a także protegowanym CIA. Był oskarżony o doprowadzenie w bestialski sposób do śmierci tysięcy talibskich jeńców (w tym umieszczanie ich w kontenerach, w których umierali z braku powietrza).

Talib Abdullah prawdopodobnie jest zbyt młody i nigdy nie słyszał o oskarżeniach wobec marszałka, bo swoje pretensje wobec niego formułuje bardzo ogólnie. – Po prostu uważałem go za wroga. Słyszałem wiele historii, że pozbawił ludzi wszystkiego, co mieli – mówi.

W trakcie minionych 20 lat, gdy rząd w Kabulu pozostawał pod protekcją USA, Dostum rósł w szeregach sektora siłowego. Otrzymywał kolejne tytuły i zasługi. Przez jakiś czas był wiceprezydentem za rządów Aszrafa Ghaniego. Jednak z powodu oskarżeń o porwanie i gwałt swojego politycznego oponenta, łamanie praw człowieka, a także zabójstwo swojej pierwszej żony, musiał opuścić kraj. Po ponad roku wrócił i został mianowany marszałkiem afgańskiej armii.

W sierpniu tego roku miał po raz kolejny pokazać, do czego jest zdolny, i znowu stanąć w blasku chwały.

Nieudany desant

Wszystko jednak poszło inaczej, niż sobie wyobrażał. Wkrótce po jego efektownym przylocie Mazar-i Szarif wpadło w ręce ta-



Jedna z wielu sypialni w willi Dostuma. Szeberghan, 20 września 2021 r.

libów, żołnierze armii rządowej uciekli z miasta, a internet obiegły zdjęcia korytarzy na Moście Przyjaźni łączącym Afganistan z Uzbekistanem. Stali w nim wojskowi w pick-upach i humvee, którzy zamiast walczyć, woleli szukać schronienia w sąsiednim kraju.

Do Uzbekistanu trafili także Atta Mohammad Nur, były gubernator prowincji Balch, i Dostum. Ten pierwszy stwierdził na Twitterze, że doszło do „konspiracji”, w ramach której szykowano na nich zasadzkę. Północ, a chwilę później cały kraj zostały zajęte przez talibów, w dużym stopniu bez walki.

Przedstawiciele byłych władz uciekali z kraju, niektórzy z okazałymi sumami gotówki. Nie byli jednak w stanie wywieźć swoich posiadłości, które stały się otworem przed talibami. Stając się niemal muzeami korupcji – i żywym dowodem na ograniczoną możliwość awansu społecznego.

Talibski lekarz

Mniej wyważony w opiniach na temat bogactwa Dostuma jest Mabizarat, który pochodzi z tej samej okolicy co Abdullah. – Dla mnie najbardziej zaskakujące jest to, że wydał tyle pieniędzy na dom, zamiast pomóc biednym – mówi. – Poza miastem można spotkać ludzi, którzy nie mają co jeść. To nieludzkie.

To właśnie niesprawiedliwość społeczna była jednym z powodów, dla których trzy lata temu Mabizarat dołączył do talibów. Mówi, że studiował medycynę

– wybrał specjalizację z gastroenterologii, że skończył praktyki w szpitalach (państwowym i prywatnym), ale nie mógł kontynuować kariery medycznej. – Za poprzedniego rządu nie było sprawiedliwości. Nie miałem żadnych koneksji i po skończeniu uniwersytetu nie mogłem znaleźć pracy – twierdzi. – Niektórzy członkowie parlamentu nie chodzili na uniwersytet, tylko kupili dyplomy. Natomiast wielu mądrych i zdolnych ludzi nie miało szansy, by sprawować władzę.

Dodaje, że często nie mieli nawet szansy na studia, bo od dziecka musieli pracować. – Teraz, jak Bóg da, to się zmieni – mówi.

Inny przykład, który podaje Mabizarat: za minionej władzy przeciętny człowiek jak on musiał czekać tygodniami, by spotkać się z przedstawicielem władzy i przedstawić swoje problemy. Natomiast talibowie wydali mu się bardziej bezpośredni i otwarci. Wierzy, że on i jego towarzysze broni będą reprezentować ludzi, którzy znajdują się pod presją bogatych.

– Walczymy o to, by mogli odzyskać swoje prawa – twierdzi. – Takie budynki jak ta willa już tu nie będą powstawać.

Nowe kadry

Zanim stał się jednym z talibów, Mabizarat przez lata sympatyzował z ugrupowaniem i leczył jego bojowników na boku, jeszcze podczas studiów, a następnie praktyk. – Zajmowałem się każdym, niezależnie, czy był cywilem czy policjantem

– mówi Mabizarat. – Na studiach mieliśmy przedmiot etyka lekarska i każdy, kto go studiował, wie, że trzeba leczyć każdego, kto znalazł się w potrzebie.

W trakcie praktyki Mabizarat otrzymywał 20 tys. afghani, czyli ok. 883 zł. Aby zarobić na willę taką jak ta, w której się znajduje, potrzebowałby może kilkunastu żyć wypełnionych wyłącznie pracą i odkładaniem wszystkich zarobionych pieniędzy.

Twierdzi jednak, że bogactwo nie ma dla niego znaczenia. Wystarczy mu tylko tyle pieniędzy, by mieć na życie. Największe znaczenia ma dla niego to, że – w jego przekonaniu – służy słusznej sprawie. Przy okazji dostał awans – teraz odpowiada za szkolnictwo wyższe w prowincji Dżozdżan.

Pokusy władzy

Choć mijają tygodnie, talibowie wciąż snują się po willi Dostuma jak we śnie. Poza meblami większość rzeczy zniknęła z budynku. Mieszkający tam mężczyźni twierdzą, że zostały wywiezione przez rodzinę marszałka na kilka dni przed zajęciem Szeberghanu. Oni tylko zabrali ubrania, a także zniszczyli kilka butelek z alkoholem. Widać, że na części łóżek ktoś leżał. Niektóre telewizory i meble są uszkodzone, w kuchni leżą brudne naczynia. Z drewnianego pudełka zabrali Koran, by recytować jego wersety. Poza tym panuje porządek. Talibowie jednak na co dzień nie mieszkają tutaj, tylko w znajdującym się obok budynku ochrony.

– Tutaj jest zbyt wiele pięter. Nie mamy cierpliwości, by ciągle wdrapywać się po schodach – mówi Mabizarat.

Budynek, w którym przebywają, jest skromniejszy, choć również o standardzie znacznie wyższym niż dotychczas znali. Z przyzwyczajenia śpią na materacach na niedużej przestrzeni, jakby nigdy do końca nie wyprowadzili się z gór i wiosek.

Choć zachowują się skromnie i nie wiadać, by pociągało ich bogactwo, to czy będą w stanie nie ulec pokusom nieograniczonej władzy, w tym korupcji? Czar w końcu przysnie, upajające zwycięstwo nie będzie już sprawiało radości, atrakcje przestaną bawić i dziwić, życie w miastach spowszednieje. A tym samym mogą pojawić się aspiracje i marzenia, które wcześniej nie przychodziły im do głowy.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

W imię walki z rasizmem

MAREK MATUSIAK

W ciągu ostatnich sześciu lat Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło 112 rezolucji krytykujących Izrael, a tylko osiem w sprawie Syrii. Skąd taka dysproporcja?

W OSTATNICH TYGODNIACH IZRAEL odniósł znaczący sukces międzynarodowy. 37 państw z całego świata, w tym zdecydowana większość krajów Unii Europejskiej (także Polska), odpowiedziało na jego apel i zbojkotowało IV edycję Światowej Konferencji przeciw Rasizmowi (tzw. Durban IV), odbywającą się pod koniec września w Nowym Jorku pod auspicjami ONZ.

Sukces ten – będący efektem zabiegów zarówno władz państwowych, jak i organizacji żydowskich na świecie – to dla premiera Naftalego Bennetta powód do satysfakcji. Jego rząd, istniejący dopiero od czerwca, złożony z ośmiu ugrupowań (politycznie niezbyt do siebie przystających) i trzymający się „na słowo honoru”, może pochwalić się rezultatem lepszym niż gabinety wielkiego alchemika stosunków międzynarodowych – Beniamina Netanjahu. Poprzednie edycje tej samej konferencji w latach 2009 i 2011 bojkotowało bowiem – po apelach Izraela – odpowiednio tylko 9 i 14 państw.

Dlaczego właściwie Izraelowi zależało na bojkocie konferencji, która dotyczy kwestii nie tylko przecież – wydawać by się mogło – niekontrowersyjnej, ale też o ogromnym znaczeniu dla Żydów? Odpowiedzi szukać należy w tyleż zawitych, co problematycznych relacjach Izraela z Organizacją Narodów Zjednoczonych.

Od akceptacji do odrzucenia

Problem nie pojawił się od razu. W ONZ, która powstała w 1945 r. w następstwie horroru II wojny światowej, i w której liczebnie dominowały państwa Europy i obu Ameryk, przeważało poczucie moralnego zobowiązania wobec Żydów i przekonanie o konieczności utworzenia w Palestynie państwa żydowskiego.

Wyrazem tego była rezolucja Zgromadzenia Ogólnego z listopada 1947 r.

– przyjęta z poparciem obu zimnowojennych bloków – o podziale Palestyny na dwa państwa, żydowskie i arabskie. Choć dalszy rozwój wypadków sprawił, że izraelska niepodległość musiała zostać wywalczona zbrojnie, to rezolucja była na drodze do niej kamieniem milowym. Jak stwierdził pierwszy premier David Ben Gurion, „po raz pierwszy w historii ustanowienie [nowego] państwa zostało usankcjonowane przez większość ludzkości”.

Pozytywny stosunek do Izraela – jako kraju neutralnego w konflikcie zimnowojennym i rządzonego przez socjalistów, kierujących się zasadami sprawiedliwości społecznej – przeważał na forum ONZ jeszcze w latach 50. XX w. Zaczęło się to zmieniać wraz z narastającym kryzysem w relacjach izraelsko-sowieckich i postępami dekolonizacji. Uzyskanie niepodległości przez kilkadziesiąt państw postkolonialnych doprowadziło bowiem do ponad dwukrotnego wzrostu liczby członków ONZ i zupełnej zmiany układu sił na forum Organizacji.

Punktem zwrotnym stała się wojna sześciodniowa w 1967 r., gdy Izrael uprzedził spodziewany atak państw arabskich (klientów Związku Sowieckiego) i przeprowadził ofensywę, w wyniku której uzyskał kontrolę nad terenami zamieszkanyymi przez milion palestyńskich Arabów. Izraelska okupacja i los poddanej jej ludności szybko znalazły się w centrum zainteresowania społeczności światowej, a wizerunek Izraela uległ erozji. W bloku wschodnim rozpetano kampanię propagandową przedstawiającą Izrael jako agresywną i niemal faszystowską soldateskę, prącą do rozszerzania „przestrzeni życiowej” (sfomułowanie nieprzypadkowe).

Z kolei w oczach znacznej części młodych państw Azji i Afryki – skoncentrowanych, co rozumiało, na walce z europejskim kolonializmem – państwo ży-

dowskie zaczęło jawić się jako militarystyczne, faktycznie europejskie i – przez związki z USA – będące „neokolonialną ekspozyturą zachodniego imperializmu”. Jednocześnie walka o „sprawę palestyńską” stała się od lat 70. elementem politycznego *credo* państw globalnego Południa.

„Syjonizm formą rasizmu”

W tej sytuacji ONZ stała się areną regularnych antyizraelskich ataków. Dyplomata Mordechaj Kidron wspominał, że wykorzystywano do nich „każdy komitet i każdą konferencję w systemie ONZ niezależnie od ich tematyki (...) od edukacji, usług pocztowych i pogody aż do spraw statusu kobiet”. Towarzyszyły temu próby usunięcia Izraela z ONZ (nie-skuteczne) i próby faktycznego wykluczenia go z prac Organizacji (częściowo udane).

Symbolicznym apogeum tego procesu – i momentem, w którym zaczyna się wątek prowadzący do roku 2021 – stała się rezolucja Zgromadzenia Ogólnego z listopada 1975 r., poświęcona walce z rasizmem. Nie tylko wymieniała ona syjonizm jednym z takimi zjawiskami jak kolonializm i apartheid, ale stwierdzała, że „syjonizm jest formą rasizmu”. Tym samym Zgromadzenie Ogólne dezawuowało moralnie i politycznie samą żydowską ideę narodową i państwowość. Odtąd Izrael rutynowo stawiany był na forum ONZ w jednym rzędzie z rasistowskim reżimem w RPA. Klimat ten utrzymał się do końca zimnej wojny.

Upadek bloku wschodniego i rozpoczęcie izraelsko-palestyńskiego procesu pokojowego stworzyły przestrzeń na pewien reset. Przejawem tego było odwołanie w grudniu 1991 r. niechlubnej rezolucji i obniżenie temperatury antyizraelskich nastrojów. W takim kontekście zaczęły się przygotowania do Światowej Konferencji przeciw Rasizmowi, która dla uczczenia upadku apartheidu odbyła się we wrześniu 2001 r. w południowoafrykańskim Durbanie.

Pomimo złych doświadczeń delegacja izraelska przybyła do Durbanu. Jednak już po paru dniach wycofała się (wraz z delegacją USA), nie mogąc zaakceptować propozycji tekstu deklaracji końcowej, w której państwa arabskie chciały umieścić sformułowania zbliżone do tych z 1975 r. Równocześnie w czasie fo-



Premier Izraela Naftali Bennett przemawia na 76. sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Nowy Jork, 27 września 2021 r.

rum organizacji pozarządowych, towarzyszącego Konferencji, dochodziło do incydentów jawnie antysemickich.

Kolejne edycje Konferencji (tzw. Durban II w 2009 r. oraz Durban III w 2011 r.) tylko potwierdziły izraelskie obawy. Wystarczy powiedzieć, że za przygotowania do Durbanu II odpowiadał reprezentant Libii, a otwarcie uświetniły antyizraelskie filipiki prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadineżada.

Krytyka kontrproduktywna

Zanim przejdziemy do tegorocznych wydarzeń, warto dla pełnego obrazu podkreślić, że problem z nieproporcjonalną krytyką Izraela na forum ONZ nie ogranicza się do konferencji durbańskich.

Od 2015 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło 112 rezolucji krytycznych wobec Izraela. W tym czasie w sprawie Syrii przyjęto ich osiem, Korei Północnej sześć, a Iranu pięć. Także z perspektywy Rady Praw Człowieka ONZ Izrael jawi się jako największy szwarczarakter globu. Zaniepokojenia Rady nie budzi natomiast sytuacja w Rosji, Chinach czy Sudanie. Żaden inny problem nie absorbuje jej uwagi w takim stopniu, jak „sytuacja praw człowieka w Palestynie”, który to punkt jest na porządku dziennym każdego jej posiedzenia.

Z problemu zdają sobie sprawę władze ONZ. Daje temu wyraz obecny sekretarz generalny António Guterres, dawał też jego poprzednik Ban Ki-moon, który w swoim pożegnalnym wystąpieniu w 2016 r. stwierdzał: „Nieproporcjonalna liczba rezolucji, raportów i konferencji krytykujących Izrael (...) ogranicza zdolność ONZ do wypełniania swoich zadań”. Sekretarzom generalnym trudno to jednak zmienić, skoro w ONZ zasiadają suwerenne państwa, którym nie można nic nakazać ani też ograniczyć ich prawa głosu.

Sytuacja jest zaś nie dość, że absurdałna, to jeszcze kontrproduktywna – państwo żydowskie jest bowiem za co krytykować. Izrael nie tylko utrzymuje od 1967 r. stan okupacji Wzgórz Golan, Wschodniej Jerozolimy i Zachodniego Brzegu, ale dwa pierwsze terytoria formalnie anektował, a na trzecim prowadzi coraz dalej idącą nielegalną akcję osadniczą.

Sposób traktowania ludności palestyńskiej jest od lat przedmiotem krytyki ze strony organizacji praw człowieka, w tym izraelskich. W 2021 r. Human Rights Watch uznała, że izraelska polityka na Zachodnim Brzegu wyczerpuje znamiona zbrodni apartheidu (zdefiniowanej w międzynarodowej konwencji

z 1973 r.). Z kolei powtarzające się co kilka lat izraelskie operacje wojskowe w Strefie Gazy budzą poważne podejrzenia o łamanie międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych.

Jednocześnie sytuacja, gdy Izrael funkcjonuje na forum ONZ jako główny winowajca łamania praw człowieka na świecie, w punktowaniu zaś jego przewin celują brutalne tyranie, odbiera tej krytyce wagę polityczną i moralną prawomocność. Paradoksalnie ułatwia to Izraelowi ignorowanie krytyki – pod pretekstem, że jest ona zawsze i wszędzie obciążona uprzedzeniami i antysemityzmem, a ONZ jest organizacją stronnictwą, politycznie skompromitowaną i nieistotną. Jak pogardliwie mawiają Izraelczycy: „UM Szmun”, czyli „ONZ Szmoenzet” (hebrajski i polski zgodnie czerpią tu z języka jidysz).

Kto zyskuje, kto traci

Wracając do punktu wyjścia: sukces dyplomacji izraelskiej w mobilizowaniu bojkotu tegorocznej konferencji durbańskiej był możliwy dzięki kilku okolicznościom sprzyjającym polityce Izraela.

Po pierwsze, wysokorozwinięte i dostatnie państwo żydowskie jest dziś (także dzięki dorobkowi Netanjahu) w percepcji rosnącej liczby krajów atrakcyjnym partnerem politycznym i gospodarczym, o którego przychylność warto zabiegać. Po drugie, nowy rząd otrzymał kredyt zaufania w wielu stolicach, zmęczonych ponad dekadą trudnych relacji z poprzednim izraelskim premierem. Po trzecie, antyizraelskie ekscesy w czasie poprzednich konferencji obniżyły jej wiarygodność. Po czwarte zaś, niezgoda na antysemityzm jest dziś szczególnie eksponowanym elementem politycznego *credo* liberalnych demokracji, a jej wyraźne artykułowanie – warunkiem przynależności do politycznego mainstreamu w ramach świata zachodniego.

Sytuacja ta jest niewątpliwie korzystna dla Izraela. Jednocześnie także te państwa, które chcą wykorzystywać fora ONZ do uprawiania swojej antyizraelskiej polityki, będą mogły robić to dalej bez przeszkód. Cierpi na tym prestiż ONZ i jej zdolność do brania w obronę tych, którzy tego rzeczywistocie potrzebują – w tym przypadku ludności palestyńskiej. ©

Zjadanie delty

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Inwestycje kontra klimat: takie konflikty, w których swoje racje mają obie strony, będą zdarzać się w Europie coraz częściej. Oto najnowszy przykład z Katalonii.

W SOBOTĘ RANO W KATALOŃSKIEJ STOLICY słyhać krzyki. I to nie te codzienne, do których duże miasto przyzwyczaja, jak pokrzykiwanie rodziców za rozpędzonymi na hulajnogach dziećmi czy wołania sklepikarzy za klientami, którzy zapomnieli reszty. Tym razem treść zbija z tropu. „Rozwój, rozwój, rozwój!” – niesie się po ulicach Barcelony.

Po chwili wyjeżdża zza rogu starszy mężczyzna, rowerzysta. Zatacza na placu większe i mniejsze koła: „Inwestycje, tylko to się liczy!”.

Gdy przejeżdża obok restauracyjnych stolików, drzemiące psy – towarzyszące tym, którzy wpadli na poranną kawę – podrywają się do szczekania. Zebrani, w tym ja, z zaciekawieniem wyciągamy głowy.

„Po co nam ptaki? Więcej samolotów!” – znowu słyszymy.

Tu już niektórzy zaczynają rozumieć. Inni zrozumieją za chwilę, gdy towarzysząca rowerzystce kobieta zacznie rozdawać gazetki informacyjne. Na pierwszej stronie jakieś pole, samolot, duży napis drukowanymi: EMERGENCIA. Na następnej nagłówek: „Lotnisko, które zjada deltę”. – Protestujemy przeciw rozbudowie El Prat – tłumaczy kobieta i zaprasza na manifestację.

No dobrze, a te krzyki o niepoahamowanym rozwoju? Zdecydowanie ironiczne!

Jedyna taka szansa

O wstępnym porozumieniu między hiszpańskim rządem centralnym i autonomicznym rządem Katalonii w sprawie rozbudowy lotniska w Barcelonie informuje 2 sierpnia socjalistka Raquel Sán-

chez Jiménez, szefowa resortu transportu w rządzie w Madrycie.

Ogromna inwestycja publicznego przedsiębiorstwa Aena, które zarządza hiszpańskimi lotniskami, ma objąć m.in. przedłużenie o 500 metrów trzeciego pasa startowego i budowę nowego terminalu. Dzięki temu Barcelona będzie mogła cieszyć się już nie jakimś tam lotniskiem, lecz pierwszym w kraju międzykontynentalnym węzłem komunikacyjnym (specjaliści mówią: hubem), przyjmującym nawet dwa razy więcej pasażerów niż aktualnie.

Zwolennicy inwestycji mówią o 80 tys. bezpośrednich miejsc pracy. O firmach, które zwabione nowoczesnym rozwiązaniem komunikacyjnym będą otwierać w mieście swoje siedziby. O jedynej takiej szansie na rozwój.

„Trzeba to potraktować bardzo poważnie” – Maurici Lucena Betriu, dyrektor Aeny, przekonuje na łamach barcelońskiej „La Vanguardii”, że projekt może uratować miasto przed zastojem gospodarczym. „To byłby skok dla regionu porównywalny jedynie z Wystawą Światową z 1929 r. czy igrzyskami olimpijskimi z 1992 r.” – argumentuje.



Laguna na drodze

Jest tylko jeden szkopuł: tereny, na których przewidziano budowę, to obszar chroniony. Nowy pas startowy oznaczałby zabetonowanie przynajmniej części laguny Ricarda przy ujściu rzeki Llobregat. Na jakiegokolwiek manewry w tym rejonie Hiszpania musi dostać pozwolenie od Komisji Europejskiej.

Aena obiecuje, że straty zostaną zrekompensowane, ale takie obietnice padały już przy poprzednich projektach w delcie Llobregat. A niektóre elementy infrastruktury, jak parking dla taksówek (dotąd zresztą nieużywany), powstały nawet bez uprzednio uzyskanej zgody. Za niedostateczne dbanie o bioróżnorodność w tym regionie Hiszpania już zwróciła na siebie uwagę Unii.

W koalicji tworzącej autonomiczny rząd Katalonii nie brakuje jednak osób, które zobowiązują się do ochrony laguny. Rozbudowa tak, ale tylko z poszanowaniem przyrody. „Jako pierwsza będę bronić Ricardy” – przekonuje Teresa Jordà, posłanka Republikańskiej Lewicy Katalonii, stojąca na czele katalońskiego resortu klimatu. Z kolei wicepremier obiecuje, że



PAULINA MASLONA

nie pozwoli na aż 500 metrów pasa startowego, który naruszyłby Ricardę.

Jakby odkręcić śrubkę

„Ricarda to dużo więcej niż staw z kilkomakczkami. Jeśli ktoś coś takiego mówi, to znaczy, że nie ma o temacie pojęcia” – mówi jeszcze w czerwcu Narcís Prat, ekolog i profesor Uniwersytetu w Barcelonie, na konferencji prasowej poświęconej projektowi w lagunie.

Jeśli ktoś wybierze się do Ricardy na spacer, zobaczy kawałek zieleni i niepozorne jezioro. No i odgłosy. Wiatr konkuruje tu z pracującymi kilkaset metrów dalej silnikami, fale przeplatają się ze świstem odlatujących samolotów.

Ale Ricarda to także fauna i flora. Prócz ryb, gadów i bogatej roślinności, żyją tutaj aż 43 gatunki chronionych ptaków. „Tereny podmokłe na świecie umożliwiają migrację ptaków – tłumaczy dla magazynu „Público” Annelies Broekman z publicznego centrum badawczego CREAF. – Bez tego typu miejsc ptaki nie mogłyby się przemieszczać ze Skandynawii do Afryki”.

Ricarda to w końcu również i to, czego okiem nie widać, bo znika pod powierzchnią

Eduardo i Monica manifestują przeciw rozbudowie lotniska El Prat. Ich transparenty to komentarz do projektu, który początkowo zgodnie popierali politycy z Madrytu oraz z Katalonii. Barcelona, 19 września 2021 r.

nią wody. „To nie wyłącznie laguna, lecz cały ekosystem – mówi w trakcie konferencji Narcís Prat. – Ponieważ jest blisko morza, zasolenie gleby jest tu zróżnicowane, a poszczególne gatunki dostosowują się do tych warunków. Ta heterogeniczność związana z morzem sprawia, że jest to unikalny ekosystem, niemożliwy do odbudowania nigdzie indziej”.

Pratowi sekunduje Joan Pino, biolog i dyrektor CREAF. Zobowiązanie Aeny, że obejmie ochroną ponad 200 hektarów ziemi na południe od lotniska, Pino komentuje: „To tak, jakby w samolocie odkręcić śrubkę z jednego miejsca i umieścić w innym. Podejrzewam, że miałyby to wpływ na działanie całego urządzenia”. Chodzi o to, że projekt mógłby prowadzić do utraty równowagi przyrodniczej w całym ujściu rzeki, i tak już nadwyżonej intensywną aktywnością z dwóch stron – lotniska i portu.

Komunikat do ludzi

Jeśli jednak komuś walka o bioróżnorodność wydaje się abstrakcyjna, naukowcy mają też inne argumenty. No bo co my, miastowi, możemy na tym wszystkim realnie stracić? Po pierwsze, jak tłumaczy Pino, laguna chroni przed zasoleniem wody gruntowej znajdujące się w delcie – w tym źródła wody pitnej, z której korzysta miejscowość El Prat de Llobregat. Jej burmistrz Lluís Mijoler jako jedyny z przedstawicieli sąsiadujących z lotniskiem aglomeracji tak ostro sprzeciwia się rozbudowie.

Inny argument przeciw projektowi brzmi: więcej lotów to jeszcze więcej emisji dwutlenku węgla.

Podejrzewałam, jaką opinię może mieć Javier Martín Vide, geograf i klimatolog z Uniwersytetu w Barcelonie: – Ten projekt wysłał ludziom błędny komunikat: że możemy dalej konsumować nasze zasoby w sposób nieograniczony i zmieniać środowisko wedle naszego widzimisię. Żyjemy w czasach, które zmuszają nas do ekologicznej transformacji i dekarbonizacji gospodarki. Jeśli chcemy powstrzymać globalne ocieplenie, zanim osiągnie poziom, z którego nie ma już powrotu.

Javier Martín Vide lubi porównywać globalne ocieplenie do statku z określonym kursem, w którym za późno rozpoczęto proces hamowania. Jeśli nic się nie zmieni, inercja spowoduje, że wszyscy niebawem widowiskowo uderzymy o brzeg.

My się staramy, i po co?

W niedzielę 19 września Maria i Manuel przyszli na protest z pełnymi rękami. Co chwilę się czymś wymieniają, szukając najpraktyczniejszego wariantu: gdy ona trzyma transparent, on pcha wózek i podaje soczki. Gdy on rozplątuje psią smycz, ona przejmując dzieci i tłumaczy im, co dzieje się wokół.

– Czy rozumieją? Jasne, na swój sposób. Ostatecznie wolą zwierzęta od samolotów – śmieje się Maria. – No i nawet one wiedzą, że środowisko naturalne to nie jest coś zewnętrznego od nas, lecz że wzajemnie na siebie wpływamy.

– I tu nie chodzi wyłącznie o Ricardę – dodaje Manuel. – Politycy myślą, że jak nie naruszają laguny, wszystko będzie w porządku. A prawda jest taka, że my żadnej rozbudowy nie potrzebujemy.

Podobnie myślą Eduardo i Monica. Potrzeby widzą zupełnie gdzie indziej.

– Konieczne są przede wszystkim zmiany w mieszkalnictwie. Za takie pieniądze można też zainwestować w szkoły lub lepsze połączenia lądowe – zaczyna Monica. – W tym mieście młodzi nie mają jak normalnie żyć, nie mogą sobie pozwolić na kupno mieszkania, niektórzy nasi przyjaciele po czterdziestce ciągle mają współlokatorów. My już naszym dzieciom powiedzieliśmy: jedźcie za granicę, będziemy was odwiedzać. A dojeżdżać będziemy pociągami.

Eduardo czuje się oszukany: – Tyle gadania o recyklingu, o odpowiedzialności za środowisko. My się staramy, każdy z osobna, jak może. I po co to wszystko? Po to, żeby władze nagle decydowały, że czas na międzynarodowy hub? Zresztą ten hub już miał powstać przy ostatniej rozbudowie. Teraz się okazuje, że jednak trzeba więcej.

Porozumienie władz katalońskich i hiszpańskich idzie w kontrze do dotychczasowej polityki miejskiej Barcelony, opartej na ekologicznych rozwiązaniach i na odejściu od masowej turystyki, na którą tak narzekają mieszkańcy.

„Wprowadzamy małe chirurgiczne zmiany w urbanistyce i energetyce, zwiększając liczbę dróg rowerowych, ➔

→ ulepszając gospodarowanie odpadami. A tu proponuje nam się powiększenie lotniska o 20 mln podróży, niszcząc obszar naturalny, jakim jest Ricarda. To ewidentna niedorzeczność” – mówi 8 września w hiszpańskim Senacie burmistrzini Ada Colau i prosi oba rządy, centralny i autonomiczny, o wycofanie się z porozumienia. Jeszcze nie wie, że nastąpi to tego samego dnia.

Nie pierwsza taka wygrana

Na manifestację przychodzi ok. 10 tys. osób. Tłum, który na samym proździe niesie ogromny napis „Uratujmy deltę Llobregat”. Tłum skandujący: „Zdrowie, życie, przyszłość”. Tłum, nad którym unoszą się dziesiątki papierowych ptaków, kartonowych dzieł sztuki.

Ten tłum mógłby pewnie być większy. I możliwe, że byłby, gdyby nie to, że od kilku dni już wiadomo – rozbudowy lotniska nie będzie. Przynajmniej nie w najbliższych pięciu latach. – To nasza wina – śmieje się Ariadna z platformy Zeroport, współorganizującej manifestację.

Projekt od początku był dla katalońskiego rządu niewygodny: z jednej strony ogromna inwestycja, obok której trudno przejść obojętnie. Z drugiej – ciężko w dzisiejszych czasach, gdy mieszkańcy są świadomi ekologicznie, po prostu poinformować ich o zrównaniu z ziemią chronionej laguny, by rozwinąć wysokoemisyjny transport (z badań Eurobarometru, opublikowanych w 2020 r., wynika, że aż 90 proc. Hiszpanów uważa zmianę klimatu za bardzo poważny problem).

Gdy więc na początku września Aena ujawnia plan projektu, na którym dokładnie widać, jak czerwona linia przecina Ricardę, kataloński premier Pere Aragonès utrzymuje, że dokument nie odzwierciedla porozumienia zawartego w sierpniu. Oliwy do ognia dolewają kolejne krytyczne wypowiedzi kataloń-

skich polityków i doniesienia, że niektórzy z nich wybierają się na protest przeciw zabudowaniu Ricardy.

– Rząd centralny nie wytrzymał. Trudno kontynuować projekt, którego strona ogłasza, że idzie na manifestację przeciwko niemu – kręci głową Ariadna. – Oglądaliśmy to jak najlepszy spektakl!

8 września Raquel Sánchez Jiménez oficjalnie ogłasza zerwanie porozumienia, powołując się na postawę strony katalońskiej. Padają słowa o utraconej szansie. Kataloński premier Aragonès oskarża rząd centralny o szantaż. A Ariadna świętuje. – Co to za szczęście, wygrać jeszcze przed wyjściem na ulicę! W takiej działalności jak nasza nieczęsto zdarzają się sukcesy, a tu nam się w delcie udaje już drugi raz.

Drugi, bo dziewięć lat temu Amerykaninowi Sheldonowi Adelsonowi marzyło się, by w delcie powstało Eurovegas, świątynia kasyn i nocnego życia. – Może dziś brzmi to absurdalnie, ale wtedy katalońskie władze przyjęły go z otwartymi ramionami. Niewiele brakowało, aby mu się udało – wspomina Ariadna. – A przecież z naszej delty beton zjadł już jakieś 60 procent.

Tłum zebrany na dzisiejszej manifestacji głośno daje znać, że tyle już wystarczy.

Napisy końcowe

Jest piątek, 29 września. Konferencja w Barcelońskim Instytucie Ekonomicznym sprawnie już wyrażenie doklejonej na siłę. Trochę jak ostatnie sceny w filmie, które mają zwiastować, co wydarzy się w następnej części sagi – puszczane już po napisach końcowych, dla najwytrwalszych. W końcu projekt przepadł, nic się nie zmieni przez najbliższe pięć lat.

A jednak zebrani ekonomiści i specjaliści od transportu podają wiele informacji, konkretniejszych od dotychczasowych doniesień z prasy. Jak to, że dla rozbudowy El Prat są alternatywy, które warto

analizować: np. powiększenie dwóch innych lotnisk w Katalonii, w Reus i Gironie, oraz stworzenie między nimi a Barceloną ekspresowych połączeń lądowych.

To nie znaczy, że specjaliści we wszystkim się zgadzają, wręcz przeciwnie. Gdy jedni przekonują, że transformacja lotniska jest niezbędna, bo liczba pasażerów będzie rosła, a już w 2019 r. Barcelona wyróżniała się negatywnie w Europie pod względem opóźnień, ktoś inny podkreśla, że pandemia nauczyła nas nie ufać szacunkom, bo wiele może się po drodze wydarzyć.

A gdy Xavier Fageda, specjalista od transportu z Uniwersytetu w Barcelonie, stwierdza, że nikt nie zdołał przekonać go co do wartości Ricardy, i że gdyby wziąć pod uwagę rachunek zysków i strat, wybrałby komfort tysięcy pasażerów, na ziemię sprowadza go ekonomista Alberto Pastor. „Jeśli tak stawiamy sprawę, zawsze wygrywa przedsiębiorca” – komentuje i przypomina, jak bardzo człowiek nadwyżył już kondycję środowiska.

Za to wszyscy zgadzają się raczej co do jednego: zatrzymanie rozbudowy El Prat nie ma znaczenia, jeśli uznamy je za wydarzenie jednostkowe. Nie mają też znaczenia mniejsze emisje Barcelony, jeśli tego samego dnia zaakceptowana zostaje inna inwestycja – rozbudowa lotniska w Madrycie (tam też odbyły się protesty, ale w grę nie wchodził obszar chroniony). Z drugiej strony w Europie pojawia się też tendencja przeciwna, często rezultat pracy aktywistów: ostatni przykład to ten z Francji, gdzie w tym roku porzucano pomysł powiększenia paryskiego lotniska imienia de Gaulle’a.

– Wszyscy jesteśmy w jednej łódce – mówił Javier Martín Vide i te same słowa wybrzmiały na konferencji. Jeśli już hamujemy, dobrze byłoby robić to razem.

© PAULINA MAŚLONA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 755/20 toczy się postępowanie z wniosku Ewy Jendreas i Mirosława Jendreasa o zasiedzenie m.in. działki nr 94, zabudowanej w Ceglówie, gmina Ceglów, przy ul. Piłsudskiego 86.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje roszczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 272/21 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Halinów o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności działki nr 163 o pow. 0,2900 ha we wsi Długa Kościelna, użytkowanej jako droga o nazwie Polna.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swe roszczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o zasiedzenie.

Luwr około roku 1890.

NASZ CZŁOWIEK W LUWRZE

MIROSŁAWA SIKORSKA, HISTORYCZKA SZTUKI I DOKUMENTALISTKA:

Historię o Florentynie Trawińskim, który miał uratować to słynne muzeum podczas Komuny Paryskiej, należy włożyć między bajki.

Prawda jest ciekawsza od legendy.

SZYMON ŁUCYK: Po wpisaniu w wyszukiwarkę internetową hasła „Florian Trawiński” czytamy: „Zbawca Luwru”, „Młody Polak we władzach Komuny Paryskiej, który uratował zbiory Luwru przed spalaniem”. Co Pani na to?

MIROSŁAWA SIKORSKA: Muszę wiele osób rozczarować. W archiwach nie znalazłam ani jednego dokumentu potwierdzającego taki wielki czyn polskiego emigranta we Francji. Choć zaczynając pracę nad tym tematem, nie miałam zamiaru obalać tego mitu.

Jak Trawiński pojawił się w Pani życiu?

Przez przypadek. Osiem lat temu zwiedzałam Paryż z córką. Idziemy do Domu

Kombatanta Polskiego przy ul. Legendre i oto widzę w budynku tablicę: „Florian Trawiński 1850-1906, Kawaler Legii Honorowej, syn komisarza cywilnego i wojskowego Polskiego Rządu Powstańczego 1863, Sekretarz Generalny Muzeów Francuskich ocalił Luwr w 1871 roku, Wdzięczni Rodacy”. Okazało się, że tablicę ufundowało polskie Ministerstwo Obrony, a odsłonięto ją w 2004 r. w obecności konsula generalnego RP.

Bardzo mnie to zaintrygowało. Skończyłam historię sztuki na UJ, a nigdy nie słyszałam o Trawińskim. Jak to możliwe, że dopiero teraz dowiaduję się, że cały świat powinien stawiać mu pomniki? Po powrocie do kraju obdzwoniłam wszystkich znajomych profesorów-historyków sztuki, w tym mojego mistrza prof. Zdzi-

śława Żygulskiego. Żaden nie słyszał o polskim emigrancie, który miał ocalić Luwr z płomieni.

Wyjaśnijmy, że według tej wersji, powtarzanej w przewodnikach turystycznych i internecie, łącznie z Wikipedią, komunardzi ustawili na terenie Luwru beczki z naftą, aby podpalić muzeum. Trawiński miał wylać naftę i napełnić beczki wodą z Sekwany.

Przyznaję, że zajmując się tym tematem, zaczęłam myśleć o tych beczkach wręcz obsesyjnie. Gdy byłam w Paryżu, nawet położyłam się w ogrodach Tuileries przed Luwrem i próbowałam sobie wyobrazić, jak to mogło się stać. Według znanej opowieści Trawiński miał

→ wylewać naftę z beczek do Sekwany. Ale jak? Nocą z 23 na 24 maja 1871 r. w Luwrze było zaledwie kilka osób, wszystkie bramy były zamknięte. Jakże więc nikt nie zauważył, że ktoś rozstawia beczki z naftą? I że potem Florentyn Trawiński, człowiek drobnej postury, wynosi je i wylewa z nich naftę, po czym napełnia wodą i znów roznosi po Luwrze? Aż dziw, że nikt mu nie pomógł. To brzmi jak bajka o perskim księciu.

Co było dalej?

Według powielanej legendy Trawiński miał być „szefem resortu kultury w Komunie Paryskiej”. Ale z opracowań historycznych wiemy, że komunardzi nie powołali ministerstwa kultury. Utworzyli natomiast Związek Artystów Paryża, który głosił, że to sami twórcy, a nie urzędnicy czy możnowładcy, mają decydować o sztuce. Potem w archiwach odkryłam, że w październiku 1871 r., czyli już po upadku Komuny, Trawiński zaczął pracować jako tłumacz w prefekturze policji. To wyklucza, że był komunardem. W dodatku miał zaledwie 21 lat. Jakże więc mógłby nadzorować artystów tej klasy jak Gustave Courbet czy Honoré Daumier?

I jeszcze jedno. Na tablicy w Domu Kombatanta i w tekstach o Trawińskim nazywa się go „Florjanem”. Sprawdziłam w archiwum archidiecezjalnym w Częstochowie akt urodzenia mojego bohatera i jestem pewna, że miał na imię Florentyn – francuski odpowiednik to Florentin – a nie Florian. I urodził się w Wyrazowie koło Częstochowy, a nie w Wyrazowie, jak można to przeczytać.

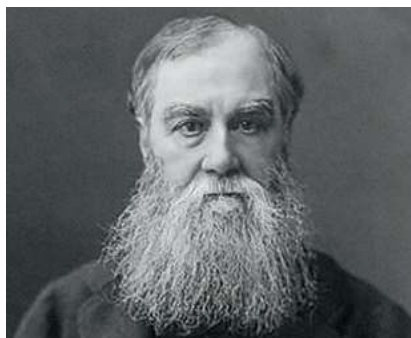
W tej historii zadziwia najbardziej to, że przez lata jeden autor powtarzał za drugim, nie sprawdzając. Powielano legendę o zbawcy Luwru, którą po raz pierwszy ponad pół wieku temu podał krakowski „Dziennik Polski”, w artykule z 10 września 1965 r.

Opowieść o „ocaleniu Luwru” przez Trawińskiego znalazłem nawet w publikacjach naukowych, m.in. w specjalnym serwisie internetowym Bibliotek Narodowych, polskiej i francuskiej, pod hasłem „Polacy w Komunie Paryskiej”. Pani postanowiła zweryfikować to w archiwach, m.in. w podparyskim Saint-Denis i Luwrze.

Prawdę mówiąc, nie traktowałam mojej kwerendy jak pracy, ale jak przygodę.



Florentyn Trawiński na zdjęciu opublikowanym w 1906 r. w paryskim „Biuletynie Polskim”.



Henry Barbet de Jouy (1812-1896), kustosz Luwru, który wraz z Martianem de Sigoyerem uratował muzeum przed spalaniem.

Możliwą dzięki temu, że w latach 2013-14 dostałam stypendia z Biblioteki Polskiej w Paryżu oraz z Ministerstwa Kultury. Ogromnie pomogli mi dalecy krewni mojego bohatera, Beata i Piotr Trawińscy, mieszkający we Francji. Piotr buszował ze mną po archiwach, fotografował dokumenty, a Beata tłumaczyła wszystkie dokumenty z francuskiego. Oboje mają wielki wkład w to odkrycie.

W archiwach Francuskiej Biblioteki Narodowej w Paryżu znalazłam m.in. dzienniki, które prowadził na gorąco Henry Barbet de Jouy, ówczesny kustosz Luwru. Nie pozostawiają wątpliwości, co się stało podczas pożaru w maju 1871 r. Nazwisko Trawińskiego w notatkach kustosa nie pada, jak zresztą w żadnym ze znanych mi dokumentów z czasów Komuny.

Skoro nie Trawiński, to kto uratował Luwr? Niewiele zabrakło, aby spłonęły wtedy światowe arcydzieła.

Udział miało w tym wiele osób, ale główną rolę odegrało dwóch: właśnie Barbet de Jouy oraz Martian de Sigoyer, dowódca 26. Batalionu Strzelców należącego do wojsk walczących z Komuną. Pierwszy pozostał na swoim stanowisku po przejęciu Paryża przez Komunę. Wbrew roz-

kazowi zwierzchników nie opuścił gmachu, chciał chronić powierzone mu dzieła sztuki. W nocy z 23 na 24 maja 1871 r. wokół muzeum toczyły się zacięte walki. Płonął pałac Tuileries sąsiadujący z Luwrem. W krytycznym momencie, gdy płomień z Tuileries dotarł do dachu Luwru, do akcji wkroczył oddział żołnierzy pod dowództwem Martiana de Sigoyera. Prowadzeni przez Barbeta de Jouy, wbiegli na poddasze Luwru, przebili ścianę, uruchomili hydrant na podwórzu i gasili pożar, podając sobie z rąk do rąk wiadra z wodą. Jednocześnie dwóch innych muzealników broniło Luwru, aby do muzeum nie wdarł się miejski tłum. Nazwiska czterech głównych ratowników – komendanta, kustosa i dwóch wspomnianych pracowników – przypomina marmurowa tablica. Może ją zobaczyć każdy, kto zwiedza Luwr. Jest w korytarzu prowadzącym do słynnej rzeźby Nike z Samotraki.

Jednak nie zachwiało to wiarą w polskiego zbawcę Luwru... Może w historii o Trawińskim jest choć cień prawdy?

Fantazje o beczkach z naftą i wodą możemy sobie darować. Natomiast nie można wykluczyć, że w łańcuchu ludzi gaszących Luwr tej nocy był jakiś Polak i wraz z innymi podawał wiadra z wodą. Tyle że nie ma na to żadnych dowodów.

Skąd więc ta legenda?

Być może z tego, że Trawiński – rocznik 1850, polski emigrant, syn powstańca styczniowego – zrobił niebysową karierę. W 1892 r., gdy ledwo przekroczył czterdziestkę, został sekretarzem generalnym muzeów narodowych we Francji, dostał też mieszkanie służbowe w Luwrze. Zaczęły pewnie krążyć pogłoski o powodach widowiskowego awansu. Może stąd wymyślono legendę o ocaleniu przez niego Luwru w czasie Komuny?

Co wiemy o Trawińskim, według znalezionych przez Panią dokumentów?

Po upadku powstania styczniowego Florentyn przyjechał do Paryża wraz z ojcem, miał wtedy 14 lat. Uczył się w znanej szkole polskiej w dzielnicy Batignolles. We Francji mieszkał aż do śmierci w 1906 r.; spoczął na cmentarzu Montparnasse. Był poliglotą, tłumaczem dzieł o historii sztuki z niemieckiego i rosyjskiego, muzealnikiem. Człowiekiem wielkiej pra-

cowitości. Interesował się współczesną sobie sztuką, jedną z jego ulubionych malarzek była Olga Boznańska. Miał elegancję i dar przyciągania ludzi. Czytałam listy Stanisława Wyspiańskiego do rodziny, w których pisze on, że będąc w Paryżu spotykał się z Trawińskim. Z kolei w archiwach w Saint-Denis znalazłam piękne listy Trawińskiego do hrabiny Seweryny Duchinińskiej. Wynika z nich, że to ona była jego ważną promotorką we Francji. Najprawdopodobniej pomogła mu w otrzymaniu dwóch nagród Akademii Francuskiej za tłumaczenia dzieł o starożytności: „Życie antyczne” i „Sztuka Bizancjum”. Przyjaźnili się przez całe życie.

W swojej książce, wydanej trzy lata temu w Polsce w niewielkim nakładzie trzystu egzemplarzy, pisze Pani: „Florentyn Trawiński zasługuje na zaszczyty także w Polsce, pomimo tego, że nie ma dowodów na to, że zbawił Luwr”. Jakie to zasługi?

Niezwykły jest polsko-francuski węzeł w jego życiu. Francja doceniła go, dała mu pod koniec życia Order Legii Honorowej. Z drugiej strony, angażował się w polskie sprawy. To Trawiński opiniował pod kątem artystycznym projekt pomnika Adama Mickiewicza, który stanął w Warszawie w 1898 r. Należał do krakowskiej Akademii Umiejętności i popierał jak mógł we Francji polskich artystów. Z okazji Wystawy Powszechnej w Paryżu w 1900 r. wpadł na niebywały pomysł: przygotował specjalną mapkę ekspozycji, gdzie zaznaczył dzieła polskich artystów. Rozdawał ją wszystkim zwiedzającym. To był świetny, jak byśmy dziś powiedzieli, marketing dla sprawy polskiej, bo nasi malarze występowali wtedy jako obywatele państw zaborczych: Rosji, Niemiec i Austro-Węgier.

Trawińskiemu należy się więc tablica w Paryżu, nawet jeśli nie uratował Luwru?

Bezwzględnie. To był wybitny Polak, Francuz i obywatel świata. Czy ktoś wie, że to Trawiński jest głównym autorem „Popularnego przewodnika po Luwrze”, przetłumaczonego na wszystkie chyba języki świata? Ta książka, wydana po raz pierwszy ponad sto lat temu, była bestsellerem, wznawianym do dzisiaj.

Pamiętajmy o Trawińskim. Był wyjątkową jak na swoje czasy postacią. Aby go cenić, nie potrzeba wymyślać mitów.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

MIROŚŁAWA SIKORSKA (ur. 1960) jest historyczką sztuki, autorką książki „Florentyn Trawiński – Zbawca Luwru. Fakty i mity” (wyd. Zakład Narodowy im. Kopernika). Reżyserka i scenarzystka, autorka filmów dokumentalnych m.in. o Romanie Wilhelmim i Kazimierzu Kutzu. Obecnie pracuje nad książką i filmem o Izabelli Cywińskiej.

Spory o komunę (paryską)

PRZED ROKIEM 1889 w Polsce przedstawiano ją jako pierwszą rewolucję proletariatu i zapowiedź triumfu komunizmu. W tym roku minęła 150. rocznica Komuny Paryskiej – i nad Sekwaną odżyły dawne spory o jej ocenę. Czy była to walka ludu paryskiego o jego prawa? Czy też wyniszczająca wojna domowa? Przy okazji okrągłej rocznicy znów ścierają się te dwie interpretacje. Ruch komunardów zaczął się wiosną 1871 r. jako protest przeciw kapitulacji Francji, która w 1870 r. poniosła klęskę w wojnie z Prusami. Do wybuchu doszło w chwili, gdy zachowawczy rząd chciał rozbroić tysiące paryżan, którzy w czasie wojny byli ochotnikami Gwardii Narodowej. Odmówili złożenia broni i stawili opór, a na ich stronę przeszła część regularnej armii. Tak zaczęła się trwająca ponad dwa miesiące Komuna (18 marca – 28 maja 1871 r.).



Komunardzi przy obalonej kolumnie Napoleona I, Paryż, 1871 r.

Władzę w Paryżu przejęli radykałowie, a konserwatywny rząd przeniósł się za miasto do Wersalu (stąd jego stronników nazywano wersalczykami). Wśród komunardów byli ludzie o różnych poglądach: od zwolenników dalszej walki z Prusami przez antyklerykałów, anarchistów i socjalistów różnych barw aż po członków Pierwszej Międzynarodówki (zrzeszającej lewicowych intelektualistów i działaczy, założonej kilka lat wcześniej). Łączyło ich pragnienie radykalnych – jak na ówczesną epokę – zmian. Falszywą, jak się teraz okazuje, pogłoskę o udziale Florentyna Trawińskiego w Komunie [patrz wywiad z Mirosławą Sikorską – red.] można tłuma-

czyć tym, że wśród komunardów było faktycznie wielu cudzoziemców, zwłaszcza Belgów i Polaków. Dokładna liczba tych drugich nie jest znana, według historyków waha się od 200 do 600 osób. Ważniejsza jednak od liczebności była rola militarna Polaków. Największą odegrali rolę Jarosław Dąbrowski (do dziś wspominany jako bohater przez francuską lewicę), Walerj Wróblewski i August Okołowicz. Badacz Komuny Olivier Peynot pisze, że Polacy – mający doświadczenie np. udziału w powstaniu styczniowym – cieszyli się reputacją znakomitych żołnierzy, dlatego komunardzi powierzali im funkcje

wojskowe. Z drugiej strony wersalczyki oskarżali Polaków o całe zło Komuny. Przychylny Wersalowi dziennik „Le Figaro” piętnował w 1871 r. „wszystkich Polaków spod ciemnej gwiazdy (...), którzy dwa miesiące panowali nad najpiękniejszym i najszlachetniejszym miastem świata”. Konflikt ten cechowało okrucieństwo po obu stronach. W walkach poległo 4-5 tys. ludzi, potem w wyniku represji z rąk wersalczyków zginęło wedle różnych szacunków 10-20 tys. komunardów. Z kolei bojownicy Komuny dopuszczali się egzekucji ludzi, których wzięli jako zakładników (w tym arcybiskupa Paryża). W ostatnich dniach buntu, świadomi nadchodzącej klęski, komunardzi stosowali taktykę „spalonej ziemi” i podpalali zabijki, uznane za symbole „reakcji”. Historyk Jacques Rougerie pisze, że w czasie tej wojny domowej jedna trzecia Paryża została zniszczona. Odbudowa zajęła wiele lat.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

NOBLE 2021

Podstawy nauki o klimacie, ważne receptory w skórze,
nowa metoda syntezy związków.
Nagrodzone odkrycia kojarzą się ciepło. Na dobre i złe.

Głębokie czucie

BARTOSZ KABAŁA

David Julius i Ardem Patapoutian otrzymali nagrodę w dziedzinie fizjologii i medycyny za odkrycia receptorów temperatury i dotyku.

UKŁAD NERWOWY ŁĄCZY NAS ZE ŚWIATEM ZEWNĘTRZNYM. Jedną z jego części jest układ sensoryczny, który odpowiada za odbiór bodźców zewnętrznych i wewnętrznych. To dzięki nim posiadamy zmysły. Przypisane im narządy i receptory przybierają wiele form, ale największym z odbiorców tych bodźców jest bez wątpienia skóra.

Receptory tam obecne rejestrują dotyk, nacisk, vibracje, ból, ale też ciepło i zimno. Pozwalają odróżniać przedmioty i ich tekstury, uniknąć wysokiej temperatury i poparzenia, czuć zimno i ciepło potraw, a w przypadku osób pozbawionych zmysłu wzroku – czytać alfabetem Braille’a.

Mechanizm działania zmysłu czucia intrygował badaczy od dawna, co obrazują poprzednie Nagrody Nobla. W 1932 r. lau-

reatami zostali dwaj Brytyjczycy – Edgar Adrian i Charles Sherrington, którzy opisali funkcje neuronów, w tym neuronów czuciowych, które wysyłają informacje o bodźcach do rdzenia kręgowego i mózgu. Dwanaście lat później Nobla otrzymali Joseph Erlanger i Herbert Gasser za odkrycie różnych rodzajów włókien nerwowych, co pozwoliło przypisać określone funkcje konkretnym nerwom i receptorom. I tak: znajdujące się w tkance podskórnej ciała Paciniego odbierają vibracje i przy pomocy włókien A β przesyłają je do rdzenia, a wolne zakończenia włókien C przewodzą sygnały o bólu i temperaturze.

W języku neuronów

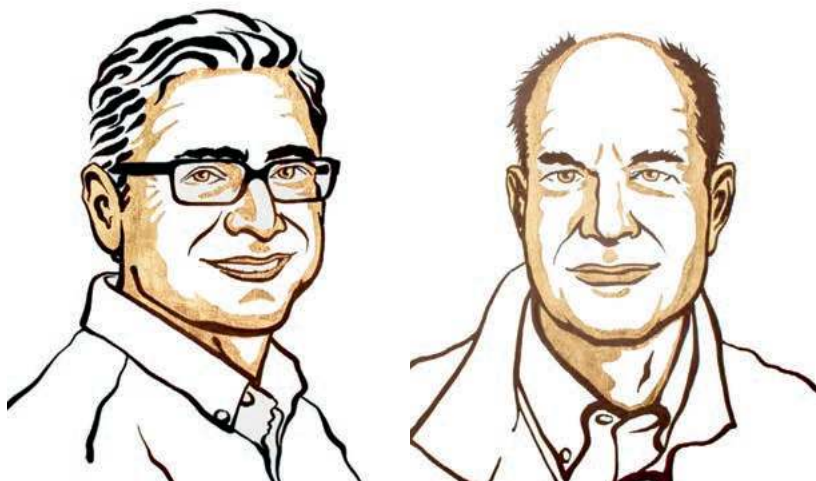
Skóra podzielona jest na pola recepcyjne, czyli obszary unerwiane przez pojedyncze włókna. Od ich wielkości zależy rozdzielczość czucia, która największa jest na opuszkach palców. Dzięki opuszkom możemy z niezwykłą dokładnością rozpoznawać przedmioty i określać ich powierzchnię.

To jednak, w jaki sposób bodziec w postaci trzymania kubka, uścisku dłoni albo uderzenia gorącego powietrza zmienia się w sygnał elektryczny, który jest językiem układu nerwowego, pozostawało tajemnicą rozwiązana dopiero przez badania tegorocznych laureatów.

David Julius z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco w 1997 r. odkrył receptor reagujący na kapsaicynę, związek odpowiedzialny za pikantność np. papryczki chilli. Wraz ze współpracownikami stworzył linie komórek, zaopatrując je w geny, które w neuronach podejrzewane są o udział w odczuwaniu dotyku i temperatury. Po wielu próbach udało się zidentyfikować odpowiedni receptor reagujący na kapsaicynę – TRPV1. Jest to kanał jonowy, którego aktywacja związana jest z odczuwaniem palącego bólu.

Po lewej: laureaci Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny: Ardem Patapoutian oraz David Julius.

Po prawej: Giorgio Parisi, Syukuro Manabe oraz Klaus Hasselmann – laureaci Nobla w dziedzinie fizyki.



Okazało się, że nie tylko kapsaicyna powoduje otwarcie (czyli aktywację) kanału. Ta sama reakcja pojawiała się w temperaturze powyżej 43 stopni Celsjusza – to wyjaśniało, dlaczego ostre jedzenie wywołuje wrażenie ciepła i pobudza potliwość. Wkrótce potem zidentyfikowano inne kanały jonowe. TRPV3 i TRPV4 aktywowane są przy niższych temperaturach, TRPM8 jest zaś receptorem zimna wrażliwym na temperaturę poniżej 25 stopni i mentol, znany z maści chłodzących i miętowych cukierków.

Tego ostatniego odkrycia niezależnie od siebie dokonali obaj tegoroczni laureaci. Ale nie za nie Ardem Patapoutian, libański naukowiec ormiańskiego pochodzenia, otrzymał nagrodę.

Szturchnięta komórka

Patapoutian wraz z zespołem w Scripps Research Institute w Kalifornii odkrył linię komórek wrażliwych na dotyk. Po dotknięciu komórki przy pomocy mikropipety odczytywany był potencjał elektryczny. By znaleźć konkretne receptory, stworzono listę potencjalnych genów kodujących białka receptorowe oraz te o nieznanym celu. Następnie usuwając jeden z tych genów sprawdzano, czy komórka po szturchnięciu mikropipetą zareaguje. Lista obejmowała 72 potencjalne kanały jonowe, a poszukiwany – PIEZO1 – był na niej ostatni.

Wkrótce odkryto również drugi kanał PIEZO2, który okazał się kluczowy dla zrozumienia odczuwania dotyku. Grupa badawcza Patapoutiana dowiodła, że po usunięciu genu PIEZO2 myszy przestają odczuwać lekki dotyk, wibracje i propriocepcję, czyli czucie głębokie, które dotyczy mięśni i pozwala określać ułożenie kończyn w przestrzeni. Późniejsze badania potwierdziły odkryte funkcje – u osób z wrodzonym defektem tego genu pojawiają się podobne zaburzenia jak u genetycznie zmodyfikowanych myszy.

W późniejszych pracach Patapoutian pokazał, że odkryte mechanoreceptory występują również w narządach wewnętrznych i odgrywają tam równie istotną rolę. U myszy usunięcie genu PIEZO2 w neuronach trzewnych prowadzi do zaniku odruchu Heringa-Breuera, który odpowiada za zakończenie wdechu i rozpoczęcie wydechu powietrza z płuc.

Komitet Noblowski nagrodził naukowców za odkrycia z zakresu fizjologii człowieka, choć mają one również zna-

czenie medyczne. Mutacje tych genów wywołują choroby – malformacje limfatyczne, wrodzoną anemię hemolityczną czy też dziedziczny syndrom napadowego bólu, który pojawia się w reakcji na zimno i głód. Lepsze zrozumienie mechanizmów odpowiedzialnych za ból i czucie pozwala również na doskonalsze terapie, w tym leczenie przewlekłego bólu. ©

Wyłuskać wiedzę z chaosu

TOMASZ MILLER

Syukuro Manabe, Klaus Hasselmann oraz Giorgio Parisi otrzymali nagrodę w dziedzinie fizyki za przełomowe badania nad układami złożonymi.

OD CZASÓW GALILEUSZA FIZYCY POSŁUGUJĄ SIĘ IDEALIZACJAMI: punktami materialnymi, gazem doskonałym, ciałem doskonale czarnym... Choć takie proste modele często działają bardzo dobrze, to przyroda pełna jest zjawisk, których w ten sposób opisać się nie da. Układy złożone, jak sugeruje nazwa, nie są prostą sumą swoich części. Ich zachowanie to chaotyczny taniec gigantycznej liczby zmiennych, uwikłanych w gęstą sieć wzajemnych zależności i nieoczywistych sprzężeń.

Sztandarowym przykładem skomplikowanego układu fizycznego, w którym wszystko jest ze sobą powiązane, a drobna zmiana jednego parametru może mieć dramatyczne konsekwencje dla całości, jest ziemski system klimatyczny, ale z tego typu sytuacją spotykamy się niemal wszędzie: od pojedynczych komórek biologicznych, przez różnego rodzaju sieci: neuronowe (biologiczne i sztuczne), energetyczne, komputerowe, aż po systemy ekonomiczne i ekologiczne. Ujęcie tego wszystkiego we wzorach i modelach matematycznych, które z jednej strony będą realistyczne, a z drugiej strony możliwe do obliczeniowego zrealizowania – choćby i na superkomputerze – wymagało stworzenia nowych metod i narzędzi teoretycznych. I to właśnie postanowiła w tym roku uhonorować Komisja Noblowska.

→



Wiarygodność obliczeń

→ Pierwszą połowę nagrody podzielił pionierzy nowoczesnej klimatologii: fizyk atmosfery Syukuro Manabe oraz oceanograf Klaus Hasselmann, którzy w latach 60. i 70. stworzyli pierwsze realistyczne modele ziemskiego klimatu i jego zmian. Choć fizyka leżąca u podstaw procesów pogodowych i klimatycznych była wówczas dobrze znana – efekt cieplarniany i rolę, jaką odgrywa w nim dwutlenek węgla opisywano już w XIX wieku! – to ze względu na złożony charakter wzajemnych oddziaływań atmosfery, hydrosfery, kriosfery i biosfery trudno było określić rzeczywiste konsekwencje rosnących emisji CO₂. Dopiero w 1967 r. Manabe, we współpracy z nieżyjącym już Richardem Wetherhaldem, przedstawili przełomowy, numeryczny model pionowego przepływu ciepła w atmosferze, z którego jednoznacznie wynikało, że dwukrotny wzrost stężenia CO₂ doprowadzi do wzrostu średniej temperatury przy powierzchni Ziemi o ponad 2 stopnie Celsjusza. Model ten był wciąż stosunkowo prosty, ale jak pisze historyk nauki Spencer Weart, „po raz pierwszy obliczenia dotyczące efektu cieplarnianego uwzględniały wystarczająco dużo istotnych czynników (...), aby eksperci uznali je za wiarygodne”. To właśnie od modelu Manabego-Wetherhalda rozpoczął się dynamiczny rozwój coraz precyzyjniejszej klimatologii obliczeniowej.

Kolejny przełom był zasługą Klause Hasselmanna, który pod koniec lat 70. wzbogacił modele klimatyczne o... pogodę. Jak wiadomo, pogoda potrafi być nieprzewidywalna, a ignorowanie jej chaotycznego charakteru w symulacjach było poważną skazą na ich długoterminowej wiarygodności. Aby temu zaradzić, Hasselmann sięgnął po tzw. analizę stochastyczną – zaawansowany dział teorii prawdopodobieństwa zajmujący się procesami losowymi – i umiejętnie wplotł pogodowy „szum” w równania klimatologów. Dzięki temu udało się zrozumieć, jak klimat i pogoda mogą wpływać na siebie nawzajem oraz dlaczego modele klimatu mogą być zasadniczo stabilne mimo meteorologicznych fluktuacji. Ale stochastyczne podejście Hasselmanna przyniosło jeszcze jeden przełomowy skutek. Dostarczyło mianowicie narzędzi pozwalających systematycznie wyizolować wkład różnych czynników wywołujących obserwowane zmiany klimatu. W tym wyodrębnić dominujący (jak dziś wiemy) wkład antropogenicznych emisji dwutlenku węgla.

Szklą spinowe

Drugą połowę nagrody otrzyma włoski fizyk teoretyk Giorgio Parisi, który pod koniec lat 70. zrewolucjonizował badania nad innym typem układów złożonych. Mowa o tzw. szklach spinowych, które pierwotnie stanowiły model pewnych amorficznych stopów metali. Substancje te można sobie wyobrazić jako swoiste przeciwieństwo kryształu. O ile atomy w sieci krystalicznej tworzą regularny, powtarzający się wzorec, o tyle w szkle spinowym panuje jeden wielki bezład – atomy poustawiane są względem siebie zupełnie losowo. Ze względu na brak jakichkolwiek regularności matematyczny opis szklą spinowego – np. jego własności magnetycznych – przez lata wydawał się beznadziejnie skomplikowany. Parisi znalazł jednak sposób, jak ten nieporządek okiełznać i wywieść z niego ściśle przewidywania. Opracowane przez niego metody były na tyle głębokie i ogólne, że wkrótce

znalazły zastosowanie w fizyce ciała stałego, genetyce, neuro-nauce, sztucznej inteligencji, a także... klimatologii.

Choć przyznawano już Nagrody Nobla związane ze zmianami klimatu (pokojową w 2007 r. oraz pół ekonomiczną w 2018 r.), to jest to pierwszy Nobel z fizyki za badania w tej dziedzinie. Na pytanie dziennikarki, czy Komisja pragnie w ten sposób coś zakomunikować światowym liderom, którzy za kilka tygodni zjadą na szczyt klimatyczny w Glasgow, Göran Hansson z Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk odpowiedział: „Kwestia globalnego ocieplenia stoi na twardym naukowym gruncie. Taki jest przekaz”. ©

Zielona synteza

MARIUSZ GOGÓL

Benjamin List i David W.C. MacMillan otrzymali nagrodę w dziedzinie chemii za rozwój asymetrycznej organokatalizy.

W 1835 r. JACOB BERZELIUS NAZWAŁ „KATALIZĄ” OBSERwowany od wieków proces: przyspieszanie zachodzenia reakcji chemicznych pod wpływem określonych związków. „Siłę katalityczną” można było zobaczyć w kielkujących nasionach, które wydzielają coś, co przekształca skrobię w cząsteczki glukozy. Dostrzeżono również, że srebro rozkłada nadtlenek wodoru na tlen i wodę. Z biegiem lat enzymy i metale stały się dwoma głównymi filarami katalizy. Każdy z nich ma jednak swoje ograniczenia.

Jak działa enzym

Enzymy to głównie cząsteczki białek. Te zbudowane są z tzw. reszt aminokwasowych, połączonych w łańcuch się w przestrzeni łańcuchy. Większość z „ogniw” stanowi rusztowanie dla zaledwie kilku aktywnych w procesie katalizy. Te szczególne reszty aminokwasowe znajdują się w zagłębieniu cząsteczki. Nazywamy je katalitycznymi. Działają jak nanoskopowe dłonie, które m.in. potrafią zonglować elektronami. Odbierając je lub przekazując cząsteczkom, pomagają im przekształcić się w pożądaną produkt.

Stosowanie enzymów ma wiele zalet, np. daje możliwość połączenia reakcji w sekwencje – cząsteczka wytworzona przez jeden enzym zostaje później przekształcona w następną, pod wpływem innego enzymu. Inną korzystną cechą jest brak zanieczyszczenia produktami ubocznymi. Ponadto wiele enzymów zdolnych jest do selektywnego tworzenia cząsteczek asymetrycznych, tzn. mających się do siebie jak lustrzane odbicia. Często tylko konkretny wariant przestrzenny cząsteczki ma preferowaną własność, np. leczniczą, podczas gdy „lustrzana cząsteczka” może być śmiertelnie niebezpieczna. Jak ważna jest ta cecha, ilustruje tragiczna historia talidomidu. Jedno z jego „odbić” ma działanie przeciwbólowe i przeciwydmiotne, a drugie prowadzi do poważnych uszkodzeń płodu.

Stosowanie enzymów ma jednak swoje ograniczenia – uzyskanie ich często nie jest łatwe ani tanie, a przyspieszane

przez nie reakcje mogą być podatne na czynniki zewnętrzne. Podobne właściwości mają niektóre metale. Są co prawda świetnymi katalizatorami i mają zdolność tymczasowego gromadzenia i przekazywania elektronów w reakcjach chemicznych, lecz używając ich, trzeba zatroszczyć się o beztlenowe i wolne od wilgoci środowisko. W skali przemysłowej nie zawsze jest to możliwe. Ponadto metale ciężkie są toksyczne.

Biorąc pod uwagę te wszystkie ograniczenia, a także trudności z tworzeniem wielu ważnych związków, naukowcy szukali nowych metod – asymetrycznej organokatalizy.

Historia organokatalizy nie rozpoczęła się wraz z odkryciami tegorocznych noblistów. Termin „katalizatory organiczne” zawdzięczamy Wolfgangowi Langenbeckowi, który w 1928 r. opisywał pewne aspekty przyspieszania reakcji przez tego typu cząsteczki. Przez lata z mniejszymi lub większymi sukcesami wymyślano rozmaite reakcje, w których tworzone asymetryczne cząsteczki. Od lat 70. rozumiano już całkiem dużo, ale wiedza ta nie była usystematyzowana.

Krytyczna weryfikacja

Przełomowe okazały się publikacje z 2000 r. Pierwsza z nich to odkrycie Lista, któremu głowę zaprzętała wówczas natura enzymów. Zastanawiał się, czy podobną rolę do reszt katalitycznych mogłyby odgrywać same aminokwasy, niezwiązane z rusztowaniem białkowym. Za pomocą aminokwasu zwanego prolina przeprowadził reakcję łączenia atomów węgla pochodzących z różnych cząsteczek, m.in. acetonu i aldehydu izomasłowego. Lista zainspirował eksperyment opisany w latach 70. XX wieku. W nim również wykorzystano prolinę, ale w nieco innym kontekście. W swoim badaniu potwierdził zdolności katalityczne aminokwasu, wynikające z obecności atomu azotu, dzięki któremu cząsteczka żongluje elektronami potrzebnymi w reakcjach. List wykazał też, że prolina może być stosowana w katalizie asymetrycznej – czyli może dawać tylko wybrane formy cząsteczek.

Druga publikacja także była wynikiem krytycznej weryfikacji przeprowadzonych wcześniej badań. MacMillan, rozmyślając nad stworzonymi przez innych naukowców katali-



David W.C. MacMillan oraz Benjamin List – laureaci Nobla w dziedzinie chemii.

zatorami, zauważył, że nie przyjęły się w przemyśle. Jako przyczynę wskazał m.in. nietrwałość i kosztowność używanych do tego celu metali. Z prowadzonych przez niego badań wynikało, że w reakcji istotny jest zawierający atom azotu jon iminowy, który podobnie jak prolina może „żonglować” elektronami. MacMillan znalazł sposób, by wykorzystać ten fakt w opracowaniu nowej metody tworzenia związków, w której katalizatorem są trwałe i proste w produkcji związki organiczne. Wykazał też, że reakcja może być nastawiona na konkretne odbicie lustrzane cząsteczki.

Mimo długiej historii badań na temat asymetrycznej organokatalizy, przed rokiem 2000 nie można było mówić o stworzeniu ogólnej koncepcji tego, czym faktycznie jest to podejście. Metodologiczną koncepcję projektowania reakcji syntezy związków asymetrycznych podali dopiero tegoroczni nobliści.

To ich prace otworzyły możliwości projektowania nowych katalizatorów, które są bezpieczne dla środowiska, tańsze i wydajniejsze. Podobnie jak enzymy, mogą działać w szlaku, etapowo przekształcając daną cząsteczkę, bez konieczności izolowania i oczyszczania półproduktów. Pozwalają też na produkcję konkretnego odbicia lustrzanego cząsteczki. Oprócz farmacji nowe metody znajdują zastosowanie w rolnictwie, produkcji sztucznych materiałów czy ogniw słonecznych. ©

Sąd Rejonowy w Międzyrzeczu zawiadamia o toczącym się postępowaniu w sprawie o sygn. akt I Ns 298/20 z wniosku Marii Bosak o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Andrzeju Stasiaku, s. Józefa i Czesławy, zm. 7 lipca 2020 r. w Międzyrzeczu, ostatnio stale zamieszkałym w Międzyrzeczu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców wyżej wymienionego spadkodawcy, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 444/20, prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Grzeszczyku, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Siechnicach (55-011), przy ul. Świerczewskiego 38/3/3, zm. 16 stycznia 2011 r. we Wrocławiu. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: Połączeni



PRZYSYŁA MI „WASHINGTON POST” z Davidem Milibandem, dawnym ministrem brytyjskim. Jeszcze go nie przeczytała. Zaczęła czytać, ale przerwała, bo zawstydziła się.

Miliband mówi o uchodźcach. Zaczyna od siebie, od swoich rodziców. Byli uchodźcami. Byli Żydami polskimi. Gdyby wtedy nie udzielono im pomocy, nie byłoby i jego dzisiaj, Davida Milibanda.

„Wtedy” to lata czterdzieste ubiegłego wieku.

Pomogła im Wielka Brytania.

Do Stanów Zjednoczonych Żydów nie wpuszczano. W przeddzień wybuchu wojny dwie trzecie Amerykanów nie życzyły sobie obecności europejskich, żydowskich uchodźców, mówi Miliband. I tyle samo Amerykanów nie chce dzisiaj uchodźców muzułmańskich.

Nasze patrzyenie na uchodźców jest komentarzem do naszych systemów wartości, mówi DM.

Na tym świecie wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni, mówi. Każdy człowiek powinien choć raz w życiu stanąć z uchodźcą twarzą w twarz i wysłuchać jego historii.

Władek Kornblum spędził parę lat w niezbyt dużej i raczej ciemnej drewnianej szopie. W deskach szopy była szpara i Władek wysuwał przez nią rękę.

Oczywiście nie zawsze – nie byłoby to bezpieczne i gospodarze by się gniewali. Kiedy Władekowi robiło się już całkiem smutno i wysuwał przez szparę swoje sześciocy siedmioletnie palce, przychodził do niego pies. Sam

z siebie. Siadał przy szopie i lizał rękę Władka – przyjaźnie i współczująco. Jak w pobliżu pojawiał się ktoś obcy, pies odchodził. Kręcił się niedbale po podwórku udając, że nikogo nie ma.

Dobrzy ludzie, dobry pies, samotne dziecko... Jeszcze jedna historia o latach czterdziestych. Przypomniała mi się, bo kolega z domu dziecka, Władek Kornblum, był bliskim krewnym Davida Milibanda.

Zastanawia się, czy matka jej męża pamiętała o rocznicy World Trade Center. Mogła nie pamiętać, bo jest w Pensylwanii u młodszego syna, a syn nie ma telewizora. Ale mogła pamiętać, bo ma internet w telefonie. Na wszelki wypadek nie pyta o rocznicę, matka jej męża nie lubi pytań. Pamiętania też nie lubi.

Pisze mi o telefonie.

Że zadzwoniła w sprawie matki męża, którą przez czterdzieści godzin leżała na korytarzu. W pogotowiu, na kozetce, i co jakiś czas słała do niej rozpaczliwe smsy.

Zadzwoniła gdzieś i spytała, jak to jest możliwe.

Tak zaczęła rozmowę – z dyspozytorem czy lekarzem.

Jak to możliwe, pytała, że osoba, która przeżyła Holokaust, a następnie zesła z osiemdziesięciu dwóch pięter pierwszej wieży WTC, czyli z tysiąca ośmiuset czterech schodów – że taka osoba już drugi dzień leży na niewygodnej kozetce.

Pytanie nie brzmiało sensownie, bo co do kozetki mają schody albo Holokaust, ale zaraz po jej telefonie dali matce męża normalne łóżko w szpitalnym pokoju. Ciekawa była, co zrobiło większe wrażenie, te schody czy ten Holokaust, ale dała sobie spokój z telefonami.

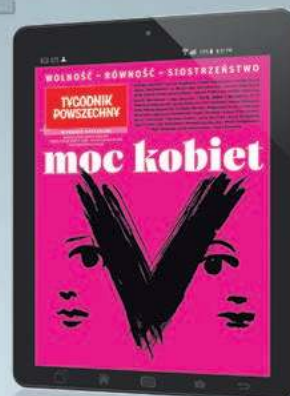
Pisze mi o synu.

Lubi, kiedy wszyscy są w domu – spokojny jest i pełen szczęśliwej zgody na cały świat. Kiedy kogoś ubywa – ma żal do całego świata.

TYGODNIK
POWSZECHNY

**Wolność, równość,
siostrzeństwo!**

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet



Ubył mąż, bo po pandemii wrócił do normalnej pracy. Uroczyście było.

Pracowników witał zespół muzyczny i była darmowa sałata, tylko że syn przez cały dzień powtarzał: *Dad home, dad home*, tata do domu – trudne to było do zniesienia. *Dad home*, jak zepsuta katarynka. Naprawdę trudne.

Pisze mi o Syberii, która topnieje i wydziela metan.

Przeczytała o Wierszynie, polskiej wsi, więc niepokoi się o Syberię.

Czy Wierszyna jest bezpieczna, zastanawia się i sprawdza na mapie – gdzie wieś i gdzie metan. Chyba się uspokaja.

W stanie Massachusetts najwięcej covidu jest w Provincetown.

Zawsze jest tam czegoś najwięcej.

Oprócz nieba, piasku i oceanu.

Kiedyś było najwięcej AIDS.

Wiem, zaprosili mnie na spotkanie pisarze i artyści, a na drugi dzień był pogrzeb. Umarł poeta, pasierb jednego z synów prezydenta Roosevelta. Jechałam z dziewczyną, która wiozła prochy poety. Prowadziła samochód i prosiła, żebym trzymała pudełko – zwyczajne, nieduże, takie jak po butach. Postawili je potem na stole, z kwiatami i zdjęciem, i opowiadali o zmarłym. Jaki koleżeński był i jak świetnie tańczył. Jak zachwycił się pomidorami – tymi z pola, bo szklarniowych nie brał do ust. Jak zawsze można było na niego liczyć i jak umiał smakować winogrona.

Rozsypali prochy z wiatrem nad Oceanem Atlantyckim. Był trzydziestym dziewiątym człowiekiem w Provincetown, który tamtego roku umarł na AIDS.

A teraz covid. Podobno za dużo było w lecie publicznych imprez i tłumnych eventów. Za dużo radości i bliskości.

Nie śpi. Czeka do drugiej, żeby zadzwonić do Francji. Córka wróciła na studia, więc syn chodzi po domu i mówi: *Amanda home, Amanda home*. Dwudziestego grudnia ma przyjechać. Zaznaczył w kalendarzu grudniową kartkę i co parę minut otwiera kalendarz – *Amanda home...* Uderza się po policzkach palcami, lekko, ale setki, tysiące razy, tworzą się od tego małe ranki. Opiekun programu przyjeżdża i pyta, co to za ranki i skąd się wzięły.

Jadą do Pensylwanii, matka męża jest u młodszego syna. Pobędą z nią, żeby młodszy syn mógł pójść do dentysty.

Matka prosiła o gołąbki.

Gotuje liście kapusty, bigos jest w słoikach, już zamrożony. ©

Tekst jest o Marii Hrabowskiej, jednej z dwóch bohaterek „Synaps Marii H.”. Właściwie jest suplementem do książki. „Synapsy” nie chcą się skończyć, to dlatego.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny”
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation





„NASZ NAJWIEKSZY SKLEP”

Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.

allegro

GOŚCIE:
PETRA HŮLOVÁ,
ALEX KOTLOWITZ, AOKO MATSUDA,
MARIEKE LUCAS RIJNEVELD,
REBECCA SOLNIT I HERVÉ LE TELLIER
PASMO POŚWIĘCONE GERDZIE TARO

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 42/2021

FESTIWAL
CONRADA
18–24.10.2021



**natura
przyszłości**

Festiwal Conrada, 18 – 24 października 2021



GRZEGORZ JANKOWICZ

Ważne są nie tylko tematy dyskusji, które umieściliśmy w programie tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, ale także sposób, w jaki będziemy o nich rozmawiać. Zależy nam na tym, by każde z zaplanowanych wydarzeń festiwalowych pomogło w neutralizacji opresyjnych ograniczeń, które każdego dnia spotykamy w przestrzeni publicznej, z którymi zderzamy się w naszej rzeczywistości społecznej. Myślę, że wszystkie i wszyscy dzielimy podobne doświadczenie. Przysłuchując się sporom – a w zasadzie kłótniom – toczącym się w sferze publicznej, można odnieść wrażenie, że cały świat jest czarno-biały. Narzuca nam się binarny sposób myślenia, komunikacji i działania. Ale przecież naszych myśli, przeżyć czy tożsamości nie da się wtłoczyć w takie ramy. Albo inaczej: jeśli w takie ramy je wepchniemy, to zbyt wiele cennych rzeczy zostanie na zewnątrz. Z codziennego doświadczenia wynika, że nasze myśli bywają złożone, przeżycia – niejasne, a tożsamości – płynne. Dlatego potrzebujemy języków i opowieści, które sprostają metamorficznej naturze naszej egzystencji.

Zaprosiliśmy na Festiwal Conrada pisarki i pisarzy, które i którzy walczą z binarnością, które i którzy nieustannie atakują rozmaite granice oraz pomagają w ich przekroczeniu. Oto kilka przykładów. Marieke Lucas Rijneveld opowiada o dziecku, które na własną rękę musi uporać się z utratą bliskiej osoby. Bohaterka powieści „Niepokój przychodzi o zmierzchu” nie może liczyć na pomoc dorosłych. Ci ostatni również przeżywają dramat, ale ich binarny system wartości, ich dwubiegunowy sposób myślenia nie pozwalają na swobodną rozmowę o emocjach, a właśnie tego – rozmowy i nieskrępowanej ekspresji – potrzebuje dziecko pogrążone w smutku.

Hervé Le Tellier w zabawnej, a zarazem niepokojącej powieści pt. „Anomalia” przedstawia zdarzenia, których nie sposób wyjaśnić. Konfrontując się z zaburzeniem, które wkradło się do rzeczywistości i zmieniło jej strukturę, musimy zakwestionować nasze wyobrażenia o roli i miejscu człowieka w świecie. Więcej: musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, jak funkcjonować w sytuacji, w której nasz głód poznania i rozumienia nie zostanie zaspokojony.

Wreszcie Aoko Matsuda nieustrudzenie domaga się – dla siebie i dla swoich bohaterów – prawa do bycia sobą, prawa do stanowienia o własnym losie, prawa do podejmowania decyzji, które są niezgodne ze skostniałymi hierarchiami wartości i obyczajowością. W jej opowieściach każda osoba może pielęgnować swą inność, nie narażając się przy tym na stygmatyzację. Jest, jaka jest, i tak jest dobrze.

Oby właśnie to – akceptacja, empatia i zaangażowanie – wyznaczyło trajektorię naszej przyszłości. Oby właśnie taka była jej natura.

© P GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



67

AGNIESZKA GRAFF

Poza zasadą prywatności



71

URSZULA CHOWANIEC

Pospępna natura dzieciństwa



75

AGATA BICE

Nieukładna



79

MICHAŁ SOWIŃSKI

Powstrzymać przemoc,
słuchając ludzi

82

ALEKSANDRA HUDYMAĆ

Skandalistka



85

TOMASZ SWOBODA

Niewyjaśnialne



88

RENATA KOPYTO

Zdjęcia, które miały
zatrzymać wojnę

REDAKCJA

Grzegorz Jankowicz

PROJEKT GRAFICZNY

Marek Zalejski

TP TYPOGRAFIA

Artur Strzelecki

FOTOEDYCJA

Edward Augustyn

Grażyna Makara

KOREKTA

Grzegorz Bogdał

Katarzyna Domin

Sylvia Frołow

Maciej Szklarczyk

OKŁADKA

Hakobo /

/ Marek Zalejski



www.conradfestival.com

Organizatorzy:



Zespół Festiwalu Conrada:

Dyrektor artystyczny

– Michał Paweł Markowski

Dyrektor programowy

– Grzegorz Jankowicz

Dyrektorka wykonawcza

– Urszula Chwałba

Partner strategiczny

Festiwalu Conrada:



Dofinansowano ze środków

Ministerstwa Kultury,

Dziedzictwa Narodowego

i Sportu pochodzących

z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Poza zasadą prywatności

AGNIESZKA GRAFF

Rebecca Solnit nie udziela porad, ale jej książki bywają czytane tak, jak czyta się poradniki. Z oczekiwaniem, że znajdziemy w nich życiową mądrość, przepis na szczęście.

Dla mileniów – tych myślących, czytających i lewicowych, rzecz jasna – jej nazwisko jest niczym marka. Kojarzy się z gniewnym odrzuceniem przemocy, nadzieją na lepszy świat i pewną ogólniejszą, dość nietypową w naszej narcystycznej epoce myślą: że społeczne zaangażowanie nadaje życiu sens.

Solnit pisze nieustannie, jest autorką dwudziestu książek, z czego dziewięć ukazało się po 2014 r. Trump (jego wybór, prezydentura i spektakularny koniec), ruch #MeToo, kampanie #NotAllMen i #YesAllWomen, kolejne odsłony zmagania z katastrofą klimatyczną, transfobia i związane z nią pęknięcie w feminizmie – na każdy z tych tematów znajdziecie w sieci esej Solnit, a pod nim setki komentarzy. Jak to się stało, że sześćdziesięcioletnia pisarka stała się głosem młodego pokolenia? Na czym polega fenomen Solnit?

#mansplaining

Sława przyszła do niej w 2008 r., gdy „Mężczyźni objaśniają mi świat” – esej napisany pod wpływem impulsu, w jeden poranek, za namową przyjaciółki – niespodziewanie dla niej samej podbił internet, stając się wiralem. Niezorientowanym wyjaśniam, że oznacza to miliony odsłon, lawinę udostępnień i niezliczone komentarze w mediach społecznościowych.

Punktem wyjścia „Mężczyzn...” jest anegdota, dziś tak powszechnie znana, że pełni funkcję legendy. Oto podczas rozmowy na przyjęciu mężczyzna streszcza, na podstawie przeczytanej recenzji, wartość pewnej książki. Tokuje, nie daje sobie przerwać i długo nie przyjmuje do

wiadomości, że właśnie rozmawia z jej autorką. W opowieści tej nie chodzi tylko o przemądrzałych panów, stanowiących zmore wielu imprez towarzyskich. Chodzi o kobiece doświadczenie znikania, milczenia, wręcz nieistnienia. O głęboko zakorzenione w kulturze przekonanie, że autorytet i posłuch przysługują mężczyznom, my zaś jesteśmy od tego, by słuchać i podziwiać.

Tekst trafił w czuły punkt, wyprzedzając o kilka lat ruch #MeToo, a Solnit zaczęła kojarzyć z neologizmem *mansplaining*, który ukuła anonimowa komentatorka tekstu. Słowo to oznacza skłonność mężczyzn do wyrażania się, także (a może zwłaszcza) wtedy, gdy nie mają pojęcia, o czym mówią, a słuchaczką jest obeznana w danym temacie kobieta. Hashtag #mansplaining do dziś funkcjonuje w mediach społecznościowych (klasyka gatunku to opowieści o mężczyznach wyjaśniających kobietom, jak działa cykl menstruacyjny). O polski przekład tego słowa toczono swego czasu boje – decyzją tłumaczki Anny Dzierzgowskiej stało się „panjaśnieniu”.

Nie tylko feminizm

Solnit jest feministką, to jasne. Ale jest też pisarką *non-fiction* o ogromnym dorobku, którego znaczna część nie dotyczy kwestii kobiecej, albo dotyczy jej marginalnie. Są tu erudycyjne prace na pograniczu krytyki sztuki i historii kultury; są teksty ocierające się o reportaż i manifest polityczny; są osobiste eseje i wspomnienia.

Drogę pisarską zaczęła jako krytyczka sztuki, a ciekawili ją artyści osobni, pomijani przez krytykę głównego nurtu („Secret Exhibition” – „Sekretna wystawa”).

Kolejna książka to obrazoburcza reinterpretacja historii Dzikiego Zachodu – bez lukru, bez nostalgii, łącząca ludobójstwo Indian z destrukcją przyrody i współczesną turystyką („Savage Dreams” – „Dzikie sny”). Ma też Solnit na swoim koncie feministyczną książkę dla dzieci („Cinderella Liberator” – „Kopciuszek Wyzwolicielka”), eksperyment literacki z pogranicza kilku gatunków („A Field Guide to Getting Lost” – „Przewodnik terenowy: jak się zgubić”) i niezliczone teksty o lewicowym aktywizmie: antywojennym, na rzecz środowiska naturalnego, przeciw broni atomowej, na rzecz praw rdzennej ludności.

O aktywizmie feministycznym i LGBTQ zaczęła pisać stosunkowo późno, skupiając się na kwestii przemocy wobec kobiet i swoim osobistym długu wobec społeczności *queer* w San Francisco. Zanim zasłynęła jako pogromczyni mansplainerów, była już znana jako autorka eseju „Nadzieja w mroku” (2004) i wydanej rok wcześniej biografii fotografa Eadwearda Muybridge’a „River of Shadows” („Rzeka cieni”), za którą zdobyła m.in. National Book Critics Circle Award. To właśnie o tej książce opowiadał mężczyzna na wspomnianym przyjęciu.

W Polsce dopiero zaczynamy ten bogaty dorobek poznawać. Wydawnictwo Karakter wydało dotąd cztery książki: „Mężczyźni objaśniają mi świat” (tłum. Anna Dzierzgowska, 2017), „Zew włóczęgi” (tłum. A. Dzierzgowska i Sławomir Królak, 2018), „Nadzieja w mroku” (tłum. A. Dzierzgowska i S. Królak, 2019) i „Matka wszystkich pytań” (tłum. Barbara Kopeć-Umiastowska, 2020). W przygotowaniu jest ostatnia, a zarazem →

→ najbardziej osobista książka Solnit „Recollections of My Nonexistence” („Wspomnienia z mojego nieistnienia”, 2020).

Głos Solnit

W niektórych jej tekstach aż gęsto od zdażeń, nazwisk, statystyk i cytatów. Taki jest „Zew włóczęgi” – erudycyjna i rewolucyjna zarazem historia „chodzenia” od spacerujących filozofów i poetów, aż po masowe demonstracje, od Sokratesa, przez Rousseau, po współczesne siłownie, gdzie do chodzenia służą maszyny. Nie jest to jednak ani akademicka historiografia, ani dziennikarstwo. Mamy do czytania z eseistyką – gatunkiem, którego sercem jest wyrazisty podmiot mówiący i jego (lub jej) szczególna relacja z czytelnikiem (lub czytelniczką). Esei (od francuskiego *essayer*) to próba – wysiłek przemyślenia czegoś gruntownie, swoista wędrówka po świecie myśli. Obcując z tym gatunkiem idziemy za głosem autora, zaprzyjaźniamy się z nim (lub z nią). Wypada więc spytać, jaki to głos? Czego od nas chce?

W przypadku Solnit jest to głos osoby, która zna się na rzeczy, ale jest też ciekawa wielu innych spraw, a poza tym – jeśli tylko się zgodzimy – gotowa na pewien czas zmienić temat. Domaga się od nas otwartości i zaangażowania, gotowości do pójścia za nią tam, gdzie akurat poniosły ją myśli. Można się od niej sporo dowiedzieć o świecie: o zachodnim wybrzeżu i San Francisco, z którym jest od lat związana, o polityce, sztuce i filozofii, o oszałamiającym krajobrazie zachodnich stanów, o dziwnych zwyczajach Indian Pit River (związanych z wędrówkami) i niemniej dziwnych obyczajach beatników (związanych z mizoginią). Jednak nie dla tej wiedzy czyta się Solnit, lecz dla szczególnego rytmu i tonu jej prozy. Jej głos jest ciepły i kobiecy, ale pewny siebie, pogodny, ale nieco zadziorny. Bywa wściekły, poirytowany, znużony. Bywa nieustępliwy, ale jest w nim jakaś ujmująca kruchość. Jest taki, jak publiczna twarz Rebekki Solnit – kto oglądał jej zdjęcia w sieci, kto słuchał jej publicznych wystąpień, ten wie, o czym mówię.

Roi się w tej prozie od pięknych zdań. To jasne, że nie powstały przypadkiem, że za każdym z nich kryje się namysł i praca redakcyjna. Są eleganckie, aż ma się je ochotę przepisać i oprawić. „O ile zdołałam ustalić, być kobietą oznacza wiecznie coś robić źle. A przynajmniej tak jest

■ Solnit zwraca uwagę na kobiece doświadczenie znikania, milczenia, wręcz nieistnienia, na głęboko zakorzenione w kulturze przekonanie, że autorytet i posłuch przysługują mężczyznom, my zaś jesteśmy od tego, by słuchać i podziwiać.

REBECCA SOLNIT (ur. 1961) – pisarka, historyczka i aktywistka. Autorka ponad dwudziestu książek z zakresu ekologii, feminizmu, zmian społecznych i amerykańskiej historii. Do tej pory w Polsce ukazały się cztery publikacje autorki: „Mężczyźni objaśniają mi świat”, „Zew włóczęgi. Opowieści wędrówne”, „Nadzieja w mroku” oraz „Matka wszystkich pytań”. 19 października w USA premierę będzie mieć jej najnowsza książka – „Orwell’s Roses” („Róże Orwella”). Publikuje na łamach „The Guardian”. Wchodzi w skład zarządu organizacji Oil Change International.

w patriarchacie” (to z „Matki wszystkich pytań”). „Zadaniem wielkiego opowiadacza historii jest uważnie przyglądać się opowieściom, stanowiącym podszewkę tej opowieści, którą nam przydzielono, wyciągnąć je na wierzch, a czasem wręcz nas od nich uwolnić” (to z „Call Them by Their True Names” – „Nazwij ich po imieniu”). A oto zdanie, które ociera się o kicz, ale dotyka centralnej dla Solnit kwestii – imperatywu nadziei: „Przeszłość odśladania się w blasku dnia i przemienić się może w pochodnię, którą nieś będziemy w noc, jaką jest dla nas przyszłość” („Nadzieja w mroku”).

To o nas

Solnit buduje z czytelnikami głębką więź, opartą na zaufaniu i wspólnotcie wartości. Dlatego od czasu do czasu może sobie pozwolić na patos. Wspólnie stawiamy czoło własnej beznadziei – wobec przemocy, okrucieństwa, autorytarnej władzy. Pakt autorki z czytelnikami

polega na uznaniu, że obie strony są podatne na zranienie, a świat, nasz wspólny świat – pogrążony w głębokim kryzysie. „To o mnie” – typowa reakcja na sposób, w jaki Solnit pisze o przemocy wobec kobiet i kobiecym gniewie. „To do nas” – tak jej słynny tekst o nadziei odbierają osoby, które szukają duchowego paliwa w beznadziejnej, wydawałoby się, walce ze zmianą klimatyczną, mizoginią, rasizmem czy homo- i transfobią.

Solnit z lekceważeniem wypowiada się o technikach „spontanicznego pisania”, z których słynął choćby Jack Kerouac. Nie przepada też za typową dla współczesnej literatury zwierzeniowej wylewnością. Jej twórczość jest zawsze o czymś, stanowi efekt niezliczonych lektur, namysłu, wysiłku i determinacji. Pisze też o własnej pracy – z szacunkiem, niekiedy z dumą, wspominając o przemocowym domu rodzinnym, z którego wyrwała się w wieku szesnastu lat. Chętnie oddaje hołd tym, którzy jej w drodze do siebie pomogli. Są tu artyści i artystki, przyjaciele i wydawcy, ważne miejsce zajmuje brat, aktywista, który wciągnął ją w działalność przeciw testom nuklearnym w Nevadzie. Do „własnego głosu” dochodziła powoli. Musiała pozbyć się wyuczonej w szkole dziennikarstwa hemingwayowskiej „prostoty”, ale też oczyścić swój styl z nadmiaru stylistycznych wygibasów, abstrakcji, erudycyjnych wycieczek, ironicznych gier – i nauczyć się pisać „od serca”.

„Pragnęłam języka, który będzie prosty i klarowny, gdy tego domaga się temat, ale czasem klarowność wymaga komplikacji” – pisze w „Recollections”. Musiała też zdobyć miejsce do pracy. „Własny pokój”, o którym pisze często przez Solnit przywoływana Virginia Woolf, to w jej przypadku mieszkanie w San Francisco, wynajęte na początku lat 80. Pisze o nim z czułością, opisując każdy kąt i oddając hołd pewnemu Czarnemu Mężczyźnie, który umożliwił jej niepełnie legalne zdobycie tej przystani. Pisze też przejmująco o biurku, przy którym powstają jej teksty. Ale dość o tym, nie chcę zdradzać zbyt wiele, by nie psuć polskim fanom lektury.

Przemoc i patriarchat

Nie sposób sprowadzić pisarstwa Solnit do feminizmu, ale absurdem byłoby ją czytać z pominięciem tego wątku. Jak sama chętnie przyznaje, jest to feminizm jednego tematu – szeroko pojętej →



JUDE MOONEY / MATERIAŁY PRASOWE

→ przemocy wobec kobiet. Chodzi o skalę zjawiska: od zaczepki, molestowania, po przemoc domową, gwałty i morderstwa. Chodzi też o jego niewidzialność: o łatwość, z jaką ofiarom przemocy odmawia się wiarygodności, o powszechne lekceważenie roli przemocy w codziennym życiu kobiet.

Nie, nie wszyscy mężczyźni są sprawcami. Tak, wszystkie kobiety są potencjalnymi ofiarami – zagrożenie przemocą to ekosystem, w którym żyjemy. Kształtuje nasz stosunek do świata i do samych siebie. Nie chodzi zatem tylko o to, że ktoś może cię zgwałcić w ciemnym zaułku, lecz o wpajany nam od dzieciństwa lęk i ostrożność. O poczucie, że przestrzeń (zwłaszcza miejska, zwłaszcza w nocy) nie należy do ciebie. W jednym z wywiadów Solnit żartuje, że wszystkie jej książki są „sekretnie” feministyczne. Istotnie, kwestia wszechobecnej i nieustannie lekceważonej przemocy rzuca cię na wszystko, o czym pisze: tożsamość, twórczość, aktywizm, wolność i prawo do swobodnej wędrówki.

Pewien mężczyzna spytał mnie ostatnio, na jakiej „metodologii” Solnit oparła swoją tezę o męskiej skłonności do objaśniania kobietom świata. Cóż, Solnit nie ma metodologii. Ma talent literacki i niesłychane wprost ucho do centralnych bolączek nurtujących nasze czasy. Jest też pewna swoich czytelniczek: „Każda kobieta wie, o czym mówię. Istnieje pewien rodzaj tupetu, który utrudnia kobietom działanie na wszelkich polach: powstrzymuje je przed zabieraniem głosu, a zarazem sprawia, że nawet jeśli odważą się go zabrać, ich głos pozostaje niesłyszalny, zmusza młode kobiety do milczenia, pokazując im (podobnie jak na przykład zjawisko molestowania na ulicy), że ten świat nie należy do nich. Tresuje nas w wątpleniu we własne siły i w samoograniczaniu się, pozwalając zarazem mężczyznom ćwiczyć się w niczym nieuzasadnionej nadmiernej pewności siebie” (tłum. A. Dzierżgowska). Tak, wiemy, o czym mówi Solnit, i naprawdę nie jest nam do tego potrzebna „metodologia”.

Co ciekawe, wiedzą to także coraz liczniejsi mężczyźni – zwłaszcza młodzi, bo to oni świadomie odrzucają patriarchy i pracują nad tym, by kobiet nie zagłuszać. Częścią tej lekcji jest konstatacja, że życie heteroseksualnej kobiety na-

■ Książki Solnit czyta się nie tylko dla ich erudycyjności, ale też dla szczególnego rytmu i tonu tej prozy. Głos pisarki jest ciepły i kobiecy, ale pewny siebie, pogodny, ale nieco zadziorny. Bywa wściekły, poirytowany, znudzony. Bywa nieustępliwy, ale jest w nim jakaś ujmująca kruchość.

prawdę nie musi być skupione na miłości romantycznej i dzieciach. W „Matce wszystkich pytań” Solnit rozprawia się z założeniem, że tylko macierzyństwo nadaje kobiecie życie sens, a w „Recollections” świadomie gra z konwencją romansu i miłosnego zwierzenia: tu i ówdzie wspomina o „moim ówczesnym chłopaku” (wygląda na to, że było ich wielu), ale nigdy nie podaje szczegółów. Nie chodzi tu tylko o dyskrecję, raczej o zaznaczenie, co jest w życiu naprawdę ważne.

Powrót do świata

Krytykom zdarza się narzekać, że brakuje im u Solnit introspekcji i psychologicznej głębi. Tu padają porównania z Maggie Nelson, autorką słynnych „Argonautów”. Istotnie, nawet w książkach wspomnie-

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **REBECCĄ SOLNIT** m.in. o tym, jak wygląda współczesny patriarchy i na czym polegają dziejące się na naszych oczach zmiany kulturowe. Dlaczego współczesny feminizm – i jej własna twórczość – jest tak mocno skupiony na problemie przemocy? Zapytamy o sytuację polityczną w Stanach Zjednoczonych po czteroletnich rządach Donalda Trumpa i możliwe kierunki, w jakich podążać będzie amerykańskie społeczeństwo. Spotkanie poprowadzi Agnieszka Graff.

niowych Solnit unika emocjonalnego ekshibicjonizmu, typowego dla amerykańskiej literatury zwierzeniowej i modnej ostatnio autofikcji. W jej pisarstwie „ja” jest wszechobecne, ale jest to „ja” uspołecznione, polityczne, zanurzone w świecie i światem zafascynowane. Oto centralny paradoks jej pisarstwa: wszechobecność autorskiego „ja” przy jednoczesnej odmowie udziału w kulturze terapeutycznego zwierzenia. Solnit nie pisze po to, by skierować naszą uwagę na swoje życie. Pisze o kwestiach publicznych, wspólnych nam wszystkim. Ale jej zaangażowanie ma charakter emocjonalny, jest zaangażowaniem m i ł o s n y m, nadającym sens istnieniu. W ostatnich latach krąży wokół koncepcji *public love* (miłości społecznej).

Solnit wie doskonale, że pisze dla pokoleń wychowanych w narcystycznej kulturze. Wszelkimi sposobami umacnia się nas w przekonaniu, że liczy się tylko prywatność, wewnątrz, starannie zaprojektowane „ja”, jego wybory i jego relacje z innymi, równie wsobnymi „ja”. Sensem życia ma być o s o b i s t e spełnienie, j e d n o s t k o w y rozwój, poszukiwanie i n d y w i d u a l n e g o przepisu na szczęście. W efekcie doprowadziliśmy świat na skraj przepaści, dopuściliśmy do steru ludzi pokroju Trumpa, a wielu z nas popadło w poczucie pustki, jałowości i beznadziei.

Solnit proponuje powrót do świata, do wspólnoty, zaangażowania, odpowiedzialności. W jednym z wywiadów mówi o tym otwarcie: „Chcę, żeby osobiste historie prowadziły poza sferę prywatności, chcę wyjść poza pułapkę pamiętnikarstwa. Dość już naczytałam się osobistych wspomnień, które brzmią jak coś, co można opowiedzieć terapeutce – ten szczególny rodzaj solipsizmu spod znaku »cały ja – cały czas« (...) Trzeba to przekroczyć, łącząc swoją osobistą historię z większymi opowieściami – uświadamiając sobie, że inni ludzie cierpią, że inne rzeczy dzieją się na świecie, że nawet przeżywając wielką osobistą tragedię, możesz zostać oczarowany przez coś fascynującego, coś, co przyjdzie do ciebie i cię porwie”.

Zdania te dotyczą „Field Guide to Getting Lost”, lecz sądzę, że oddają charakter całej twórczości Solnit. To pisarstwo zanurzone jest w indywidualnym doświadczeniu – jej własnym – ale prowadzi dalej, daleko poza prywatność.

Posępna natura dzieciństwa

URSZULA CHOWANIEC

Od Rijneveld dostajemy rodzaj pamiętnika, zapis osobistego, choć przetworzonego doświadczenia, opowieść o tym, jaką potężną traumą jest dzieciństwo i konfrontacja z całą gamą życiowych dramatów.

Ciężka kłapa jakby z ołowiu. Bohaterka otwiera ją z trudem, wchodzi do środka. Z całej siły kopie patyk podtrzymujący wieko zamrażarki. Zostaje w środku; jest ciemno, zimno, śmiertelnie.

Zmrożona jest też czytelniczka, gdy zamyka ostatnią stronę debiutanckiej powieści poetki Marieke Lucas Rijneveld „Niepokój przychodzi o zmierzchu”. Bo świat przedstawiony przez Rijneveld jest surowy. To realność farmy niepokojąco wyzbyta z emocji. Składają się na nią protestancka religijność, kult ciężkiej pracy oraz zbliżona do okrucieństwa powściągliwość. W końcu – jak mówi ojciec bohaterki – „nie jesteśmy po to, aby być szczęśliwi” (wszystkie cytaty z powieści w tłumaczeniu Jerzego Kocha).

Straszny to krajobraz, przerażający dom i smutna rodzina. A jednak tę czarną powieść czyta się świetnie, chce się poznać historię, zrozumieć ten świat, a wszystko dzięki uważnej i plastycznej narracji, która przypomina hiperrealistyczny obraz. Co decyduje o wybitności tego utworu? Przede wszystkim pomysł na narratorkę/bohaterkę: dziesięcioletnią dziewczynkę, która w dniu tragicznej śmierci starszego brata Matthiesa ubiera kurtkę, budrysówkę, stąd też jej przezwisko (w oryginale „Jas”, co po niderlandzku znaczy „kurtka”, która wedle polskiego tłumacza musiała być formą budrysówki – prostej kurtki do kolan z wełnianej tkaniny zapinanej na kółki i z kapturem).

Nigdy nie poznamy prawdziwego imienia Budrysówki, która uparcie otulając się kurtką ma nadzieję, że uchroni się przed rozpadem na kawałki w domu dotkniętym kataklizmem. Ale kurtka nie

pomaga, nie pomagają żaby, które chce ratować przed śmiercią, nie pomaga bycie grzeczną i wspieranie matki, która wpada w anorektyczną depresję. Nie pomagają alianse z coraz bardziej okrutnym drugim bratem Obbe ani nadzieja na ucieczkę z farmy, o której marzy wraz ze starszą siostrą Hanną. Narratorka pokazuje świat swojego dzieciństwa z punktu widzenia dziecka strauumatyzowanego, które wie, że będzie obwiniane za wszystko, co robi, i uwrażliwionego na każdy element rzeczywistości – wpatzonego w ludzi, zwierzęta, wsłuchanego w dźwięki i wyczulonego na zapachy.

Widmo samotności

Dziesięć narratorka zawsze jest osobliwa, niewiarygodna, rozszczępiona, bo wiadomo, że tylko udaje dziecko. Szukamy w tej opowieści śladów wiedzy dorosłej. Śledzimy potknięcia, które zdradzają, że jest narratorką jedynie rewizytującą świat dzieciństwa. Jasne jest, że ona już wie, jak skończy się powieść, posiada tę wiedzę, podczas gdy definiującą cechą dzieciństwa jest tworzenie wiedzy poprzez jednoczesną „kreację” samego „ja” dziecka. Bardzo trudno ten proces odtworzyć, trudno zrekonstruować ów poziom rozkwitającej i rozbrzęczanej dezorientacji, jak określił epistemologiczny stan dziecięctwa William James – autor klasycznego podręcznika psychologii. Mimo iż podręcznik Jamesa jest przestarzały, to jednak jego metafora *blooming* (kwitnącego) i *buzzing* (brzęczącego) stanu dziecięcego skonfundowania doskonale pasuje do narracji Budrysówki.

Rijneveld, choć tożsama z bohaterką, trochę udaje rolę stenografki, spisującej

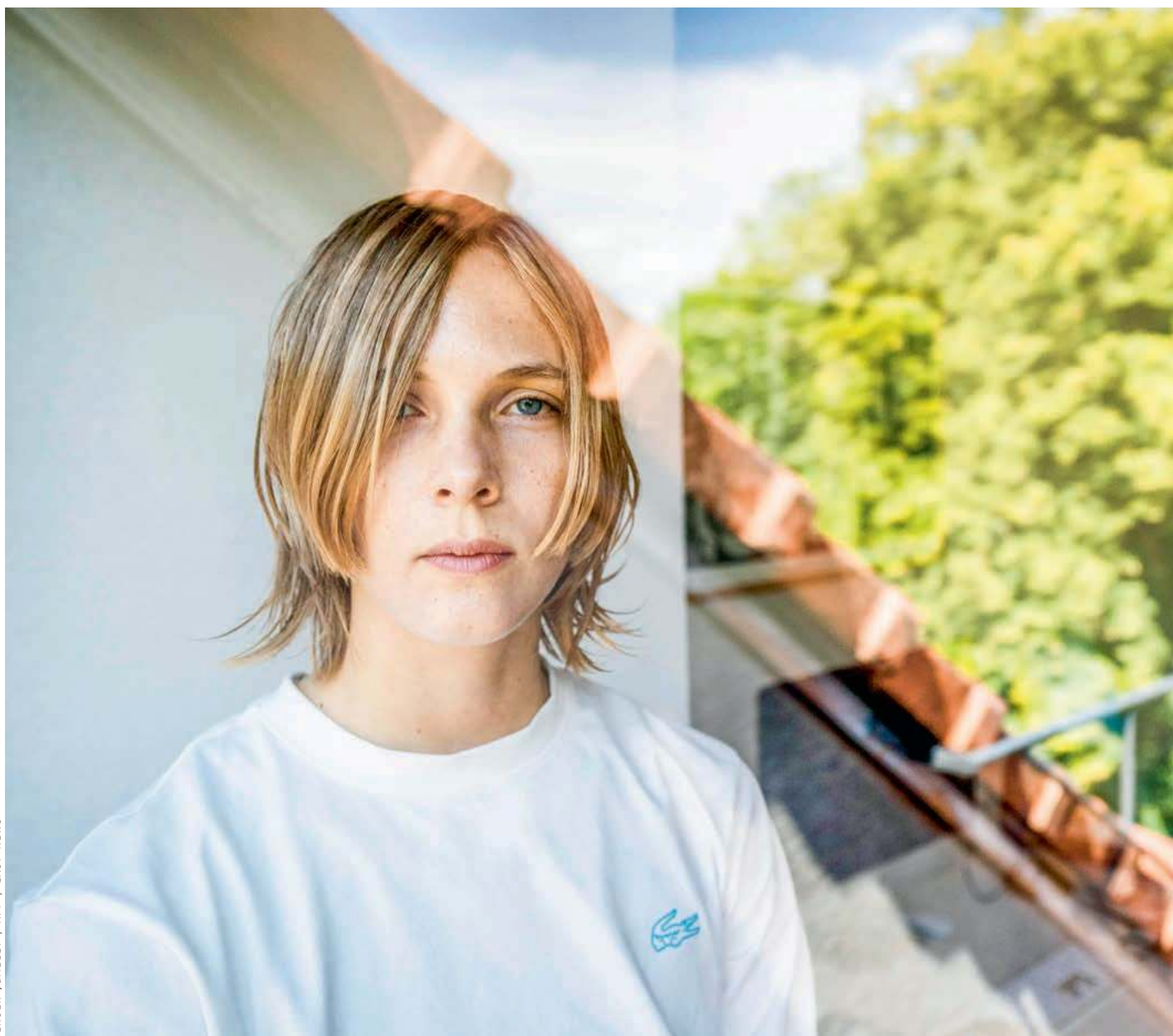
relację elokwentnej dziewczynki. Stąd powieściowe rozszczępienie: narratorka jest oczywiście kimś dużo starszym niż bohaterka, a jednak udaje jej się oddać stan skołowanej i nieszczęśliwej dziesięcioletki, rozpaczliwie szukającej sensu i sposobu na zbawienie domu od zła, choć ślady „grzechów” są wyraźne: śmierć Matthiesa, smutek matki, gniew Obbe, plaga, która spada na krowy, złość ojca...

Zatem dostajemy „pamiętnik”, zapis doświadczenia Budrysówki, pseudo-dziecięcą opowieść o tym, jaką potężną traumą jest dzieciństwo i konfrontowanie się młodego człowieka z całą gamą życiowych dramatów: z fizjologią, neurozami otaczających nas bliskich, agresją tych, których nauczono nas kochać, seksualnością, której nie rozumiemy, wreszcie ze śmiercią. Nade wszystko Budrysówka pokazuje dziecięce rozpoznanie wszechobecnego widma samotności.

„Mojego serca nikt nie zna. Jest głęboko ukryte pod kurtką, skórą, żebrami” – mówi bohaterka, choć jednocześnie zauważa kontrolującą funkcję bycia razem we wspólnocie religijnej, bo właśnie chodzi o to, aby nikt za długo nie został sam, gdyż w pojedynkę może zwątpić w dobro stworzenia. „Nikt we wsi nie zostawał długo sam ze sobą, mogło się wtedy zdarzyć, że plon zmarnieje, a znaleźmy tylko plon na polu, nie w sobie”.

Oskarżenie religii

Niewątpliwie śmierć i praca żaloby to centralny wątek powieści. W konfrontacji ze śmiercią bohaterka wymyśla sobie, że trzeba walczyć o zatrzymanie wszystkiego w sobie, nawet ekskrementów, dlatego skazuje się na bolesne zatwardzenia: „dumnie podciągnęłam



→ majtki i kombinezon, zapięłam kurtkę i zaciągnęłam zamek do samego końca, pod szyję. Byłam w stanie powstrzymać kupę. Od teraz niczego, czego nie chciałabym się pozbyć, nie będę tracić”. Tym desperackim próbom walki o utrzymanie samej siebie towarzyszy totalna atrofia rodziny i pogłębiająca się depresja matki, której wydaje się, że śmierć pierwotnego syna jest karą za potajemną aborcję. Przychodzi też śmierć chomika, problemy z ukrytymi w wiadrze żabami, lęk przed jakąkolwiek chorobą i przekonanie o ukrywających się w piwnicy Żydach, którym matka donosi jedzenie.

Ten postholokaustowy wątek jest bardzo wstrząsający: to nie tylko krytyka ku-

lawych, retraumatyzujących metod pedagogicznych pojawiających się w szkole na lekcjach o Holokauście i o pamiętniku Anny Frank, ale również symbol totalnej katastrofy. Żydzi ukrywający się w piwnicy są lustrem Budrysówki – ona też się ukrywa w oczekiwaniu na już wydany wyrok.

Może najlepszym wyjściem w tych okolicznościach jest zatrzaśnięcie kłapy zamrażarki w nadziei na odnalezienie umarłego brata? Bo tylko on jest naprawdę bliiski. Tylko pamięć o nim pozostaje święta, jak jego krzesło w kuchni, którego nie wolno ruszać. Matthies jest bohaterem, pozostaje nieskazitelnie dobry. A jednak w religijno-farmerskim świecie Budry-

sówki nie powinno się mówić o bracie, bo jak poucza ojciec: martwych się „wspomina, a nie rozmawia o nich”. To zaprzeczenie psychoanalitycznego sposobu na radzenie sobie z traumą utraty.

Pokrycie żałoby milczeniem to jedno z szeregu dziwactw świata Budrysówki: nie mówi się o zmarłych, wpycha szare mydło do jelit, aby wyleczyć zatwardzenie, smaruje tłuszczem, aby robaki nie podziurawiły skóry. Wszystko to w narracji dziesięcioletniej bohaterki najwzajemniej poraża czytelnika. Język powieści ślizga się po tej okrutnej rzeczywistości i przedstawia nam ją w szczegółowości, niemal bezwzględny (dziecięco zapalczywy) sposób.



■ Świat przedstawiony przez Rijneveld jest surowy. To niepokojąco wyzbyta z emocji realność farmy, na którą składają się protestancka religijność, kult ciężkiej pracy oraz zbliżona do okrucieństwa powściągliwość.

MARIEKE LUCAS RIJNEVELD

(ur. 1991) – niderlandzka poetka i prozaiczka. Do tej pory ukazały się dwa jej zbiory poetyckie: „Kalfsvlies” (2015) oraz „Fantoommerrie” (2019). Już pierwszy z nich przyniósł Rijneveld rozgłos. Zawierający motywy autobiograficzne debiut powieściowy – „Niepokój przychodzi z zmięzchu” (2018, wyd. pol. 2021) – został uhonorowany Międzynarodową Nagrodą Bookera. Prace nad książką trwały sześć lat. W 2020 r. ukazała się jej druga powieść „Mijn lieve gunsteling”.

Co nam chce powiedzieć ta trudna opowieść o religijnej purytańskości, braku akceptacji dla inności, o wyrzeczeniu się doczesnego życia dla życia po śmierci? Świat Budrysówki to szorstki świat dogmatycznej rodziny, która w swojej surowości i ascetyzmie zapomina o miłości i radości. Może tę radość odbiera żaloba, ale czujemy, że prawdziwym źródłem problemu jest surowa reformowana religijność. Czy o to chodziło? O oskarżenie religii tłamszącej uczucia dziecka, które potrzebuje troski?

Ta powieść jest nam naprawdę potrzebna, zwłaszcza dziś, gdy czujemy genderowy, religijny, narodowościowy i obyczajowy *backlash*. Potrzebujemy szorst-

kiej relacji Budrysówki, która pomoże nam przebudzić się z otępienia i uświadomić sobie, że mimo napastliwej polityki, mimo ekspansji homofobicznych, transfobicznych i ksenofobicznych dyskursów pasożytujących na naszych lękach możemy stawić czoło ojcom i odnaleźć szczęście.

Budrysówka tego nie robi – jest za słaba, zbyt samotna, za mało świadoma, kim jest, choć tak bardzo pragnie siebie zrozumieć. I jak pani na lekcjach geografii wbija pinezki w ważnych miejscach mapy, tak ona znaczy punkty na swojej emocjonalnej mapie, którą jest ciało: „Chciałabym kiedyś wrócić do siebie – mówię cicho i wbijam pinezkę w mię-

kie ciało pępka”. Potrzeba odkrycia samej siebie i rozpoznania własnej wartości jest ważnym przesłaniem Rijneveld dla dzisiejszego świata. Myślę, że da się jej książkę przeczytać jako subtelny głos przeciwko nowoczesnej fascynacji populizmem i konserwatyzmem oraz towarzyszącej im fobii wobec inności i migrantów.

Wszechobecny niepokój

Za „Niepokój...”, wydany po angielsku w przekładzie Michele Hutchison, Rijneveld otrzymała Międzynarodową Nagrodę Bookera, stając się jej najmłodszą laureatką. Zapewne dzięki temu prestiżowemu wyróżnieniu powieść tak szybko – w maju 2021 r. – ukazała się w Polsce w świetnym przekładzie Jerzego Kocha.

Wyróżnienie dla Rijneveld przyszło w trudnym czasie pandemii, w którym bezpieczeństwo stało się najważniejsze. Zaczęliśmy inaczej traktować przestrzeń domową, inaczej doświadczać życia w większych i mniejszych miastach, na wsi. Zostaliśmy skazani na pobyt w izolacji. To, co najbliższe, stało się niejednokrotnie źródłem poważnych problemów. Jury Bookera nie postawiło na opowieść gloryfikującą dom, choć wydawałoby się, że właśnie takiej historii wtedy potrzebowaliśmy. Jeśli powieść Rijneveld jest zwierciadłem, w którym odbija się teraźniejsza rzeczywistość, to widać w niej przede wszystkim mroczny aspekt naszych pandemicznych doświadczeń.

Historia dziesięcioletniej Budrysówki nie przynosi wiary ani w dom, ani rodzinę, ani dzieciństwo. Jest narracją niejako z innej epoki. Z jednej strony otrzymujemy w niej opis żaloby, której nie może przepracować dysfunkcyjna rodzina. Z drugiej mamy relację z procesu odrywania się dziecka od zawłaszczającego, toksycznego i destrukcyjnego środowiska rodzinnego, które na tragedię reaguje jeszcze większym usztywnieniem życiowych reguł.

Rijneveld przedstawia nam również powolny upadek rodziny, zanik więzi, które niegdyś łączyły należących do niej ludzi, uwięźd rodzinnej energii, która zmienia się w jakąś antyenergię – obezwładniającą, niszczącą wszystko siłę. Niepokój, który pojawia się w tytule, nie przychodzi jedynie o zmięzchu. On jest wszechobecny. Lęk, smutek, poczucie

→ winy, strach przed grzechem, niechęć wobec życia, trwoga przed matką, ojcem, przed agresją starszego brata... To są pasma egzystencji głównej bohaterki.

Debiutancka powieść Marieke Lucas Rijneveld wyrasta z jej życiowych doświadczeń. W notce biograficznej z ostatniej strony książki zamieszczono informacje, że autorka pochodzi z religijnej rodziny. Skłania to z pewnością do postawienia pytania, na ile ten utwór jest autobiograficzny. Zapytana o to autorka nie ukrywała, że opisała własne przeżycia, choć zmieniła wiele szczegółów, jak np. wiek bohaterów czy okoliczności śmierci brata (jej własny brat zginął po tym, jak został potrącony przez autobus w drodze do szkoły; pisarka miała wówczas trzy lata). Osobista tragedia przydaje jej opowieści autentyczności. Rijneveld tłumaczyła, że nie jest to książka, którą chciała napisać, lecz ta, którą napisać musiała. Czuła przymus opowiadania o śmierci brata, ale z różnych powodów nie chciała (nie mogła?) tego zrobić bezpośrednio. Potrzebowała medium – Budrysówki – które nie byłoby z nią do końca tożsame.

Polski czytelnik powinien po „Niepokoju...” oczekiwać przekładów wierszy Rijneveld, gdyż jest przede wszystkim poetką oraz laureatką kilku prestiżowych nagród, w tym C. Buddingh Prize za najlepszy debiut poetycki. Jako pisarka i jako osoba niebinarna została też wybrana do przetłumaczenia na niderlandzki wierszy Amandy Gorman, młodej, ale bardzo po-

■ Straszny to krajobraz, przerażający dom i smutna rodzina. A jednak tę czarną powieść czyta się świetnie, chce się poznać historię, zrozumieć ten świat, a wszystko dzięki uważnej i plastycznej narracji, która przypomina hiperealistyczny obraz.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **MARIEKE LUCAS RIJNEVELD** m.in. o polityce rodziny, o konieczności nowego języka, za pomocą którego można odnosić się do cielesności i seksualności, o religijnym przewrażliwieniu części społeczeństwa, o dojmującym rozczarowaniu dorosłością, o sposobach przeżywania straty przez dzieci, o znaczeniu niebinarnej tożsamości w dzisiejszej polityce oraz o potrzebie akceptacji. Spotkanie poprowadzi Urszula Chowaniec.

pularnej afroamerykańskiej poetki, która przyciągnęła uwagę światowej publiczności, gdy poproszono ją o przeczytanie wiersza podczas uroczystości zaprzysiężenia prezydenta Joego Bidena. Choć początkowo Rijneveld przyjęła zaproszenie, później – po protestach, które pojawiły się w Holandii – wycofała się, uznając, że jako osoba biała nie powinna tego robić. Uważała, że potrafi zrozumieć los Afroamerykanek i Afroamerykanów, ale obawiała się, że do jej tłumaczenia mogłaby się wkraść fałszywa nuta. Swoją decyzję, połączoną z wyjaśnieniem i przeprosinami, ogłosiła w formie wiersza, który w maju tego roku ukazał się na łamach „The Guardian”.

Marieke Lucas jest osobą niebinarną, czego wyrazem jest używanie przez nią dwóch imion: kobiecego i męskiego. W języku polskim trudno znaleźć odpowiednie – neutralne – formy gramatyczne, za pomocą których można by wyrazić niebinarność. Czasowniki, rzeczowniki, przymiotniki, zaimki, partykuły – posiadają rodzaj. Zapoznawszy się z polską gramatyką Marieke Lucas poprosiła, by w naszym języku używać w odniesieniu do niej formy żeńskiej. To doskonały przykład performatywnego aspektu płci, a także ograniczeń samego języka, który nie potrafi sprostać płynności życia i doświadczenia. Od tej sztywności mowy potrafią uciec wyłącznie poetki i poeci. Od niej ucieka bohaterka powieści i sama Rijneveld.

© URSZULA CHOWANIEC

Wspieraj Festiwal Conrada:

WYLICYTUJ NA ALLEGRO PIÓRO Waterman Carene Deluxe GT 18k z wygrawerowaną dedykacją od Festiwalu Conrada.

ROZWAŻ POZOSTAŁE OFERTY: książki nominowane do Nagrody Conrada z autografami autorek i autorów, archiwalne plakaty i katalogi festiwalowe, wizytę w mieszkaniu Czesława Miłosza, spacer z dyrektorem programowym Grzegorzem Jankowiczem oraz recenzję Twojego tekstu napisaną przez dyrektora artystycznego Festiwalu Michała Pawła Markowskiego.

KUP FESTIWALOWE CEGIEŁKI – cyfrowe „bilety dobrej woli” lub oryginalny plakat tegorocznej edycji – „karnet dobrej woli”.

Więcej na: [ALLEGRO.PL/ZOBACZ/CONRADFESTIVAL](https://allegro.pl/zobacz/conradfestival)



weź, licytuj!

Fundatorem nagrody jest marka **Waterman**
oraz sklep Twoje Pióro – www.twojepiopro.pl

Nieukładna

AGATA BICE

Japońska pisarka Aoko Matsuda pragnie być sobą i nie chce, by przypinano jej za to etykietkę „tej innej”. Skąd, pyta, bierze się nasza potrzeba wtłaczania wszystkich w sztywne ramy i kategorie?

Iak zwykle u Matsudy, zaczyna się zwyczajnie. Główna bohaterka wybiera się z wizytą do dziewczyny, która wkrótce bierze ślub. Po drodze snuje opowieść o ich wspólnym dorastaniu i latach przyjaźni. Narracja jest nielinearna i pełna dygresji – epizody z dzieciństwa mieszają się z fragmentami ich dorosłego życia. Im dłużej czytamy, tym bardziej jesteśmy zdezorientowani. Jak to spotkały się po raz pierwszy na studiach, skoro kilka stron wcześniej przeczytaliśmy, że znają się od gimnazjum?

Bezimienne dziewczyny, które wkrótce biorą ślub, zlewają się ze sobą i przeistaczają z koleżanki w klientkę, ze współlokalki w partnerkę, aż w końcu stają się również córką i matką głównej bohaterki. Każda może być każdą, a jednak narratorka nie potrafi stać się żadną z nich. Zresztą, czy kiedykolwiek faktycznie tego chciała? W „Dziewczyninie, która wkrótce bierze ślub”, podobnie jak w innych opowiadaniach z debiutanckiego zbioru Matsudy zatytułowanego „Układ(a)ne”, próżno szukać gotowych i jednoznacznych odpowiedzi. Urok kryje się w niedopowiedzeniach, w tym, co zostało jedynie zasugerowane. Podczas kolejnych spotkań z tymi tekstami przekonamy się jednak, że poszczególne elementy układanki z czasem wskazują na swoje miejsce.

Prawdziwa wolność

Kilka lat temu Matsuda nieomal sama stała się „dziewczyną, która wkrótce ma wziąć ślub”. Kiedy zaszła w ciążę ze swoim obecnym partnerem, poważnie rozważała małżeństwo. Decyzja, by pozostać osobą stanu wolnego, zyskała jej miano buntowniczkę. Tymczasem w najnowszym zbiorze esejów pt. „Nazywam się po swojemu” pisarka szczerze wyznała, że tak naprawdę bardzo chętnie

wyszłaby za mąż, jednak zniechęca ją do tego konieczność zmiany nazwiska (w Japonii małżonkowie nie mogą nazywać się inaczej, a tradycyjnie to kobieta przyjmuje nazwisko męża). Dlaczego, zastanawia się Matsuda, miałyby porzucić miano, które towarzyszyło jej przez tyle lat dotychczasowego życia?

Podobny sprzeciw wzbudził w niej komentarz, który usłyszała przy okazji rejestracji swojego nowo narodzonego dziecka w urzędzie miasta. Jedną z urzędniczek z podziwem w głosie określiła Matsudę jako kobietę „wyzwoloną”. Tymczasem zachowanie pisarki wcale nie było podyktowane chęcią burzenia murów. Daleko jej do aktywistki. Pragnie być sobą i nie chce, by przypinano jej za to etykietkę „tej innej”. Skąd, pyta Matsuda, bierze się nasza potrzeba wtłaczania wszystkich w sztywne ramy i kategorie? Tolerancja to przecież nie bierna akceptacja różnorodności, lecz poszerzenie definicji czynów i poglądów uznawanych za właściwe.

Dla japońskiej pisarki prawdziwe wyzwienie to możliwość bycia sobą i gwarancja, że nie zostanie się wykluczoną. Każdy powinien mieć prawo do życia w zgodzie z własnymi poglądami bez ryzyka, że gdy te poglądy okażą się odmienne od ogólnie przyjętych, przestanie być integralną częścią społeczeństwa. Zwłaszcza wtedy, gdy narzucanie ograniczeń legitymizuje się pustymi hasłami, takimi jak „odwieczna tradycja” czy „dobro ogółu”. Niestety, w japońskim społeczeństwie wolność tego rodzaju nadal pozostaje dla wielu niedostępna. Korporacyjny model egzystencji jest niewzruszony.

Pozorna jednorodność

Matsuda jest szczególnie wyczulona na mechanizmy gruntujące ów korpora-

cyjny system, gdyż zanim została pełnoetatową pisarką, przez jakiś czas pracowała dorywczo jako tłumaczka angielskiego w jednej z większych tokijskich firm. To nie przypadek, że akcja tytułowego opowiadania zbioru „Układ(a)ne” rozgrywa się właśnie w budynku typowej japońskiej korporacji.

Jedną z bohaterek utworu jest świeżo upieczona absolwentka uniwersytetu, która za wszelką cenę chce udowodnić szefowi, że potrafi perfekcyjnie wykonywać powierzane jej obowiązki. Ale przełożony okazuje się być orangutanem. Kiedy przemierza korytarze, jego długie włosy ciągną się za nim po podłodze, zaś instrukcje wydaje za pomocą pohukiwań i pisków. Zrezygnowana bohaterka godzi się z tym, że nigdy go w pełni nie zrozumie i nigdy nie zostanie zrozumiana przez swoich współpracowników. Okazuje się, że nikt nigdy nie oczekiwał od niej pełnego zrozumienia, a jedynie umiejętnego stwarzania pozorów.

Problemy z komunikacją mają również inni bohaterowie „Układ(a)nych”. Po części wynikają one z nieznamości biznesowego żargonu oraz kultury korporacyjnej. Jednak w miarę lektury czytelnik zdaje sobie sprawę, że przyczyny tkwią głębiej: chodzi o strukturę współczesnego społeczeństwa, w którym jednostki stają się ofiarami toksycznej mieszanki obyczajowych i instytucjonalnych nacisków. Tylko ci, którzy umiejętnie odgrywają narzucone role, żyją spokojnie.

Portretowane przez Matsudę postaci nieustannie borykają się z kryzysem tożsamości i próbują poradzić sobie z rozdźwiękiem pomiędzy tym, kim są, a tym, kim mają być. Świat, w którym się poruszają, jest tylko pozornie homogeniczny. Pod przykrywką jednorodności kryją się bowiem nierówności, seksizm i nietolerancja.



AOKO MATSUDA (ur. 1979)

– japońska pisarka, eseistka i tłumaczka. Jej debiutancki zbiór opowiadań „Układ(a)ne” był nominowany m.in. do nagrody im. Yukio Mishimy i nagrody Nomy. Przekładała na japoński prozę m.in. Karen Russell i Carmen Marii Machado. Jej teksty ukazywały się w tłumaczeniu na angielski w czasopismach „Granta” i „Monkey Business”. W 2020 r. ukazał się angielski przekład jej opowiadań pt. „Where the Wild Ladies Are”, za który otrzymała nominację do World Fantasy Award. Zbiór znalazł się też na liście 10 najlepszych książek według magazynu „Time” (w kategorii fikcja). Jej najnowsza powieść wydana w 2020 r. nosi tytuł „Jizoku kanōna tamashii no riyō” (Zrównoważony rozwój naszych dusz).

Wujaszkovanie

→ Najnowsza powieść Matsudy „Zrównoważony rozwój naszych dusz” również prezentuje środowisko korporacyjne. Narratorką jest Keiko – pracownica dużej firmy, która zgłasza szefostwu przypadek molestowania seksualnego. Sprawca nie zostaje pociągnięty do odpowiedzialności, za to Keiko musi szukać nowej pracy. Zamiast użalać się nad sobą, rozgorączkowaną Keiko ze zdwojoną siłą zaczyna walczyć o stworzenie nowego lepszego świata, w którym kobiety będą w pełni wolne i bezpieczne.

Tym razem – inaczej niż we wcześniejszych utworach, w których emancypacyjne żądania pozostawały utopijnymi postulatami – Matsuda ze szczegółami przedstawia nam futurystyczny świat, o który walczy Keiko. Główną narrację przeplatają fragmenty opisujące niedaleką przyszłość, w której młode dziewczyny niespodziewanie stają się niewidzialne dla „wujaszków”, czyli mężczyzn w średnim wieku. Zarówno w sferze publicznej, jak i prywatnej przestają być ofiarami lubieżnych spojrzeń i seksistowskich komentarzy. Podczas podróży w godzinach szczytu nie muszą tłoczyć się w specjalnie dla nich wyznaczonych wagonach, gdzie wcześniej mogły uniknąć obmacywania – zjawiska nagminnego w japońskich środkach publicznego transportu.

Mogłoby się wydawać, że Matsuda upraszcza, bo całą winą za stworzenie toksycznego środowiska zrzuca na jedną grupę społeczną. Jednak uważny czytelnik szybko się zorientuje, że „wujaszkiem” może być każda i każdy: nie tylko mężczyzna w średnim wieku, ale też nastolatek czy starsza kobieta. „Wujaszkovanie” to postawa i rodzaj zachowania polegający na traktowaniu innych w sposób protekcyjny i przedmiotowy. Utrata instrumentów społecznej kontroli przez „wujaszków” prowadzi do rozmontowania restrykcyjnych mechanizmów społecznych tłamszących osoby, które nie chcą się im podporządkować.

Fantastyka i satyra w stereotypy

„Zrównoważony rozwój naszych dusz” nie jest pierwszym utworem, w którym Matsuda komentuje realne problemy społeczne za pomocą fantastycznej konwencji. Zbiór opowiadań pt. „Tam, gdzie żyją dzikie panie” z 2016 r. to kolekcja no-

■ Za pomocą fantastycznych motywów Matsuda zwraca uwagę na bolączki, które trapią współczesnych Japończyków. Jednak, co ważne, daleko jej do moralizatorstwa. Jednym z jej najczęstszych zabiegów jest przedstawianie wydarzeń i zjawisk z niecodziennej perspektywy.

■ Dla japońskiej pisarki prawdziwe wyzwolenie to możliwość bycia sobą i gwarancja, że nie zostanie się wykluczoną. Każdy powinien mieć prawo do życia w zgodzie z własnymi poglądami bez ryzyka, że gdy te poglądy okażą się odmienne od przyjętych, przestanie być integralną częścią społeczeństwa.

woczesnych historii o duchach zainspirowanych tradycyjnymi japońskimi legendami. Ale czytelnik spodziewający się mrozących krew w żyłach opowieści, do których przyzwyczaili nas japońskie horrory pokroju „Kręgu” Hideo Nakaty, srogo się rozczaruje. Matsuda zmienia reguły gry i zamiast straszyć, oferuje swoim duchom nadzieję.

W jednym z opowiadań młoda kobieta wybiera się na ryby i niespodziewa-

nie wylawia z rzeki ludzki szkielet – pozostałość po ofierze brutalnego morderstwa sprzed ponad dwustu lat. Szczegóły zbrodni poznaje tego samego wieczoru, gdy duch zamordowanej przez odrzuconego zalotnika dziewczyny ukazuje się w jej domu. Opowiadanie oparte jest na tradycyjnej historii pochodzącej z japońskiego teatru komediowego *rakugo*. W wersji oryginalnej „zabawna” puenta oparta jest na homofobicznej grze słów. Tymczasem Matsuda opowiada tę fabułę jako homoseksualną historię miłosną ze szczęśliwym zakończeniem. W ostatniej scenie zakochane bohaterki wylegają się bez troski na kanapie przed telewizorem i zajądają chipsy.

W przeszłości japońskie historie z dreszczykiem rzadko prezentowały taki los kobiecych duchów, mimo że to właśnie one są głównymi postaciami tego gatunku. Przedstawiano je jako poczwary o odpychającej aparycji, nierzadko owładnięte szaleństwem bądź żądzą zemsty. Tym bardziej cieszy świeżość podejścia Matsudy, która ukazuje je w empatyczny i pełen zrozumienia sposób, powierzając im ważne zadania. W jednym z opowiadań duchy patrolują tokijskie metro i chronią dziewczynki przed obmacywaniem w zatłoczonych pociągach. W innym duch regularnie pojawia się w mieszkaniu samotnej matki pracującej na nocną zmianę, żeby sprawować pieczę nad jej córeczką.

Za pomocą fantastycznych motywów Matsuda zwraca uwagę na bolączki, które trapią współczesnych Japończyków. Jednak, co ważne, daleko jej do moralizatorstwa. Jednym z jej najczęstszych zabiegów jest przedstawianie wydarzeń i zjawisk z niecodziennej perspektywy nie tylko po to, by rozmieszyć, ale też wyrwać czytelników ze stanu bezmyślnego oświecenia i pomóc im w odrzuceniu schematów i nienaturalnych tendencji dominujących we współczesnym społeczeństwie.

Satyra jest jej ulubionym narzędziem. Doskonały przykład można znaleźć w opowiadaniu „Unikalnie męska wrażliwość”. Poznajemy w nim młodego pisarza, którego dzieło niespodziewanie okazuje się zalążkiem nowego trendu – powieści pisanych przez mężczyzn. Krytycy literaccy prześcigają się w rozprawianiu o „unikalnie męskiej wrażliwości”, która ma jakoby cechować ten rodzaj pi-

→ spod ręki mężczyzn są oczywiście zaliczane do jednej kategorii.

Jak można się domyślić, to satyra na tak zwane „powieści kobiece”. W Japonii do dziś w niektórych księgarniach można znaleźć podział na „literaturę” (pisaną głównie przez mężczyzn) oraz „literaturę kobiecą”. Matsuda wyznała, że na początku kariery jeden z wydawców jej również przykleił etykietkę „pisarki dla kobiet”. Stawiała wtedy pierwsze kroki w świecie literackim, więc postanowiła stłamsić w sobie oburzenie i nie protestowała.

Dziś Matsuda jest już pewna siebie i swobodnie wyraża wściekłość. Potrafi oddać swój gniew w sposób nie tylko dosadny, ale i obrazowy, jak w króciutkim opowiadaniu „Wiwisekcja mizoginii”. Akcja rozgrywa się podczas warsztatów w popularnym domu handlowym, gdzie prowadząca, na oczach pobladłych klientek, prezentuje, w jaki sposób przeprowadzić sekcję zwłok. Leje się krew, niektóre kobiety mdleją, część nie może powstrzymać obrzydzenia. Lecz prelegentka kontynuuje wykład. Im bliżej końca zabiegu, tym rozrywanie na kawałki tytułowej mizoginii staje się łatwiejsze. Wytrwałe słuchaczki są zapewniane, że każda z nich będzie w stanie poradzić sobie z ostatnim etapem. Ktoś jednak musi zacząć i przełamać szlaki dla innych. W ramach puenty Matsuda zostawia czytelnika z ofertą kupna noży do sekcji zwłok. Zachęca do skorzystania z zakupu, bo to prawdziwa okazja.

Zjedzmy wszystkie skostniałe zasady

Obydwa wymienione wyżej opowiadania pochodzą ze zbioru „Rok bez polnych kwiatów” z 2016 r., w którym pisarka pozwoliła sobie na swobodne eksperymenty z formą. W tomiku można znaleźć teksty napisane w konwencji *curriculum vitae*, kilka utworów przedstawionych z punktu widzenia japońskiego hymnu narodowego oraz historię, której narracja przeplatana jest botanicznymi definicjami różnych gatunków kwiatów. Niektóre z utworów składają się zaledwie z jednego lub kilku urwanych zdań, przez co bliżej im do poezji. Pojawia się też parę opowiadań zbudowanych z samych dialogów – formy bliskiej Matsudzie, przez wiele lat aktywnie działającej w grupie teatralnej, z którą związała się już na studiach.

■ Bez względu na tematykę poszczególnych utworów Matsudy, ich elementem wspólnym jest powracający motyw trudnego do opisanego uczucia niepewności ogarniającego bohaterów w momencie konfrontacji z otaczającą ich rzeczywistością.

■ Koncentracja na codziennym życiu jest cechą charakterystyczną pisarstwa Matsudy. Część krytyków zarzuca jej, że problemy, których dotyczy, nie są wystarczająco poważne. Niewzruszona Matsuda podkreśla, że zbyt często problemy kobiet są zbywane jako mało istotne, tym bardziej należy o nich dyskutować przy każdej możliwej okazji.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **AOKO MATSUDĄ** m.in. o tym, jak stworzyć świat bez restrykcyjnych mechanizmów społecznych, w którym ludzie mogą być po prostu sobą. Co musi się zmienić, żebyśmy mogli żyć w taki właśnie sposób? Jak mógłby wyglądać „zrównoważony rozwój jednostki”, gdyby położyć nacisk na jej indywidualne potrzeby, zwłaszcza potrzeby kobiet żyjących w społeczeństwie skonstruowanym i rządzonego przez mężczyzn? Spotkanie poprowadzi Agata Bice.

Jej pierwszy opublikowany utwór, „Stek wodoodpornych kłamstw” (włączony później do zbioru „Układ(a)ne” jako rodzaj interludium) miał postać stand-upu.

W wielu utworach Matsuda skupia się na krytyce komercjalizmu, którym przesyciona jest branża kosmetyczna. Wypomina koncernom kosmetycznym nastawione na zys kampanie marketingowe, w których wmawiają kobietom, że nie mogą one obyć się bez coraz to nowszych produktów. Metaforą braku transparentności stają się nieprzezroczyste tubki tuszu do rzęs. W innym tekście pisarka wyśmiewa stereotypowe określenia japońskich produktów do makijażu: przeznaczone dla „grzecznych dziewczynek” oraz „zbuntowanych uwodzicieli”.

Koncentracja na codziennym życiu jest cechą charakterystyczną pisarstwa Matsudy. Część krytyków zarzuca jej, że problemy, których dotyczy, nie są wystarczająco poważne. Niewzruszona Matsuda podkreśla, że zbyt często problemy kobiet są zbywane jako mało istotne, tym bardziej należy o nich dyskutować przy każdej możliwej okazji. W jednym z najnowszych opowiadań pt. „Najnudniejszy odcień czerwieni” opisuje doświadczenia menstruacyjne młodej kobiety. „Niewybaczalny dzień” to z kolei krytyka szkolnych strojów sportowych, które potęgują proces fetyszyzacji i seksualizacji ciał niepełnoletnich uczennic.

Bez względu na tematykę poszczególnych utworów Matsudy, ich elementem wspólnym jest powracający motyw trudnego do opisanego uczucia niepewności ogarniającego bohaterów w momencie konfrontacji z otaczającą ich rzeczywistością. Odczuwają dysonans, bo przychodzi im żyć w świecie zbudowanym przez pokolenie japońskiego cudu gospodarczego, które nie może lub też po prostu nie chce przyjąć do wiadomości, że realia świata uległy zmianie.

Być może jedyną szansą na poprawę jest podążenie za przykładem bohaterki surrealistycznego opowiadania „Pojemniki”, czyli wyjęcie z naszej uporządkowanej lodówki wszystkich kategoryzujących pojemników, rozmrożenie skostniałych zasad i wyobrażeń, a potem zjedzenie całej tej niechcianej zawartości. Tylko wtedy będziemy mogli sobie wszystko poukładać od nowa.

Powstrzymać przemoc, słuchając ludzi

MICHAŁ SOWIŃSKI

Istota dziennikarskiej działalności Alexa Kotlowitza polega na udzielaniu głosu tym, którzy inaczej nie mieliby szans zostać usłyszani. Tylko tak można przerwać zakłęty krąg przemocy trawiącej amerykańskie społeczeństwo.

W 2020 r. w USA zamordowanych zostało blisko 20 tysięcy osób. Uśredniając, przekłada się to na 56 osób dziennie. To więcej niż liczba żołnierzy poległych w Iraku i Afganistanie przez wszystkie lata wojny. Siedem razy więcej niż w jakimkolwiek innym tzw. rozwiniętym kraju na świecie. Jeżeli wziąć pod uwagę liczbę osób ciężko rannych w wyniku napadów, wynik należy pomnożyć kilkukrotnie.

Można też inaczej. Każde zabójstwo to strata od 10 do 20 milionów dolarów (uwzględniając zarówno koszty administracyjne i medyczne, ceny zniszczonej własności, jak również utracony potencjał zarobków zamordowanego, a więc i odliczanych od nich podatków). Dodatkowo władze amerykańskich miast wydają średnio 1 proc. rocznego budżetu na zapobieganie morderstwom.

Albo jeszcze dosadniej – w ostatnim półwieczu w Stanach od broni palnej zginęło ponad milion ludzi.

Statystyki związane ze śmiercią – szczególnie tą wynikającą z przemocy – to chwytliwy temat. Liczby można sumować, mnożyć, uśredniać, a potem zestawiać na różne, coraz bardziej spektakularne sposoby. Jednak o ile w Polsce czy Europie dane te wciąż budzą podszycie zgrozą zdumienie, o tyle w USA spowszedniały. Choć precyzyjniej byłoby powiedzieć, że dzisiejszym obywatelom tego kraju towarzyszą od zawsze, stanowią więc naturalny element rzeczywistości, kolejny suchy wskaźnik niczym stopa bezrobocia, poziom inflacji czy straty spowodowane sezonowymi huraganami.

Nie ma w tym nic dziwnego. Od pewnego progu ilościowego statystyki śmierci zamiast wzbudzać współczucie

i motywować do działania, robią z naszą wyobraźnią coś dokładnie odwrotnego – wprowadzają ją w stan zubożenia. To kalektwo empatii daje o sobie znać na każdym kroku: masowe zgony z powodu pandemii, krwawe żniwo drogowych zbrodniarzy podliczane przez policję po każdym weekendzie czy właśnie codzienne strzelaniny w „złych” dzielnicach największych amerykańskich miast. Zatrzymujemy się na chwilę przy tych doniesieniach, potem przewijamy nasz strumień wiadomości dalej. Czy można coś z tym zrobić?

Tu nie ma dzieci

Alex Kotlowitz, amerykański dziennikarz i aktywista, świadomie unika odpowiedzi na to pytanie. Tym samym omija szerokim łukiem koleiny, którymi zazwyczaj przy takich okazjach pędzą na złamanie karku różnej maści populiści i demagodzy, licytujący się na efektowne, ale nieskuteczne rozwiązania. W swojej najnowszej książce „Amerykańskie lato. Depesze z ulic Chicago” wybiera trudniejszą drogę: zamiast mędrkować, opowiada historie pojedynczych ludzi, którzy na różne sposoby stali się ofiarami wszechobecnej w ich świecie przemocy. Bez gotowych tez i stawiania diagnoz – po prostu słucha, a potem pisze.

Kotlowitz karierę dziennikarską zaczął od małego, niezależnego tygodnika w Michigan, później przeniósł się do Chicago i rozpoczął współpracę z najważniejszymi gazetami w kraju, jak „Wall Street Journal”, „The New York Times Magazine” czy „The New Yorker”, a także z Public Radio International. Od samego początku, czyli od drugiej połowy lat 80., koncentruje się na jednym temacie: plądze przemocy wśród biednych i wyklu-

czonych społeczności, przede wszystkim w Chicago, ale też w innych miastach regionu.

Rozpoznawalność przyniosła mu wydana w 1992 r. książka „There Are No Children Here: The Story of Two Boys Growing Up in the Other America” („Nie ma tu dzieci: historia dwóch chłopców dorastających w innej Ameryce”), w której opowiedział historię dwóch braci mieszkających w Henry Horner Homes, jednym z wielu nieudanych eksperymentalnych osiedli w Chicago, które szybko zyskało niechlubną sławę inkubatora przestępczości i patologii. To wnikliwa i jednocześnie napisana z niezwykłą empatią biografia dwóch młodych ludzi, których losy, choć wyrastali w tym samym środowisku, potoczyły się zupełnie inaczej. Starszy z nich, jak większość jego rówieśników, został członkiem ulicznego gangu, co błyskawicznie przekreśliło jego szanse na normalne życie. Młodszemu z kolei, wyjątkowo wrażliwemu i inteligentnemu, udało się wyrwać z tej pułapki, w dużej mierze za sprawą samego dziennikarza, który nieformalnie adoptował chłopca i pomógł mu zdobyć wykształcenie i pracę.

Książka odbiła się w całym kraju szerokim echem. Szybko na jej podstawie powstał film; wystąpiła w nim Oprah Winfrey, która wcieliła się w matkę głównych bohaterów. A to właśnie jej słowa stały się tytułem książki (potem filmu). „Tu nie ma dzieci”, bo nie można pozostać dzieckiem, gdy żyje się w takim miejscu. Ta prosta formalnie i oszczędna w środkach, a zarazem poruszająca historia stała się jednym z początków debaty na temat prawdziwych źródeł wszechobecnej na amerykańskich ulicach przemocy.



Dobre i złe adresy

→ Od tego czasu minęło 30 lat i wydawać by się mogło, patrząc choćby na same statystyki, że niewiele się poprawiło. Jednak w ostatnim czasie, co zresztą podkreślał Kotlowitz w licznych wywiadach towarzyszących premierze „Amerykańskiego lata”, pojawiło się wiele sygnałów dających nadzieję na zmianę, przede wszystkim w powszechnej świadomości samych Amerykanów. Udało się wykonać pierwszy i chyba najtrudniejszy krok na drodze do właściwego zaadresowania problemu: zaczęto uwzględniać kontekst strukturalnego wykluczenia, zarówno ekonomicznego, jak i rasowego. Przykładem tego mogą być choćby liczne i masowe protesty przeciwko brutalności policji, w których postulaty wyrównywania szans i sprawiedliwości społecznej odgrywają kluczową rolę.

Pozornie to sprawa oczywista – wszystkie liczby i inne dane statystyczne są od dawna na stole, wystarczyło odpowiednio połączyć ze sobą fakty. Należy jednak pamiętać, że przyznanie się do strukturalnych nierówności społecznych i wynikających z nich patologii to potężny cios dla liberalnej ideologii, na której zbudowano amerykańskie państwo, a która w ostatnim półwieczu wyniesiona została niemalże do rangi religii. Jednym z jej podstawowych dogmatów jest bowiem wolność jednostki, założenie szlachetne i słuszne, jednakże implikujące, szczególnie w tak ekstremalnym wydaniu, wyłącznie indywidualną odpowiedzialność zarówno za życiowy sukces, jak i porażkę. Jak sugeruje Kotlowitz – a z nim wielu dzisiejszych polityków, publicystów, ekspertów i pisarzy – rodzi się z tego zupełnie fikcyjne założenie o równości życiowych szans wszystkich obywateli. Dzięki niemu zaś klasa średnia (w większości biała) może, mniej lub bardziej świadomie, dalej wieść swoje dostatnie i pozbawione wyrzutów sumienia życie.

Ten model społeczny, choć coraz częściej poddawany krytyce, wciąż jest dotkliwie realny dla znacznej części mieszkańców USA i niesie za sobą szereg długofalowych konsekwencji. Najtragiczniejszą z nich jest właśnie wszechobecna przemoc. Kotlowitz we wstępie do „Amerykańskiego lata” opisuje jeden, ale bardzo wymowny przykład, jak media wciąż formatują społeczne postrzeganie tego problemu. Kilka lat temu na okładce

■ Naga przemoc, w cieniu której dorastają kolejne pokolenia z ubogich dzielnic, jest mało widowiskowa i pozbawiona sensu. „Wojny gangów”, które zapełniają kolejne strony policyjnych raportów, to zazwyczaj przypadkowe strzelaniny nastolatków, którym zamiast edukacji dano łatwy dostęp do broni.

„Chicago Sun-Times” nagłówek głosił: „Morderstwo pod dobrym adresem”, a artykuł opisywał zabójstwo białego lekarza, mieszkającego przy jednej z bardziej ekskluzywnych ulic miasta. Jak gorzko zauważa Kotlowitz, było to jedyne z 467 morderstw dokonanych w tamtym roku w Chicago, które zyskało taki rozgłos. Zapewne dlatego, że nikt nie chciałby czytać o zabitych „pod złym adresem”.

Naga przemoc

A może jednak ktoś by chciał przeczytać, tylko nie ma okazji? Codzienne zabójstwa w „złych dzielnicach”, o ile w ogóle, kwitowane są jednym zdaniem jako „gangsterskie porachunki” albo „zatargi między dilerami”, jakby to wyjaśniało

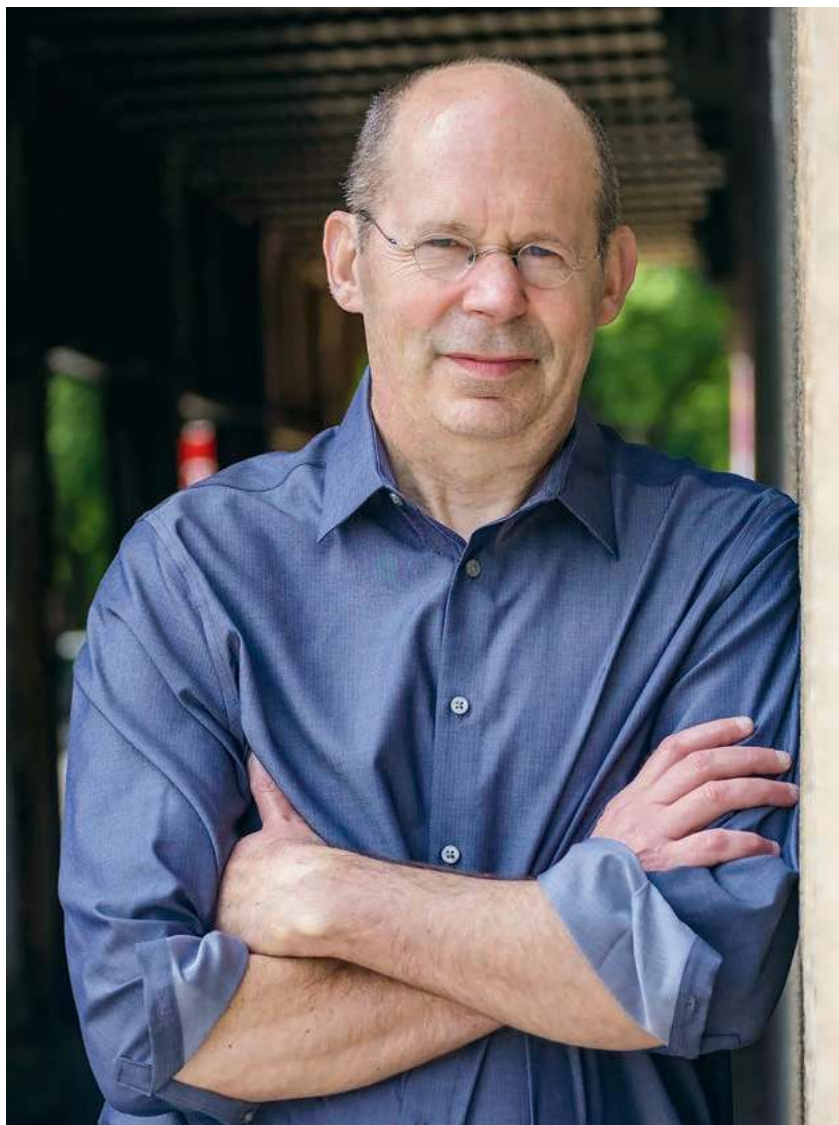
Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **ALEXEM KOTLOWITZEM** m.in. o systemowych przyczynach przemocy zalewającej Amerykę. Opisywana przez reportera nienawiść jest odpowiedzią na beznadziejną sytuację ekonomiczną i społeczną, na brak perspektyw życiowych. Każda z opowiedzianych przez niego historii jest bramą do świata, w którym jedyną alternatywą dla pustki bywa przemoc. Podczas spotkania zapytamy go, jak przeciwdziałać tej pierwszej, by zneutralizować tę drugą. Spotkanie poprowadzi Dionisios Sturis.

sprawę i zamykało problem. Kotlowitz nie godzi się na takie uproszczenia. I nie chodzi wyłącznie o to, że z praktycznego punktu widzenia tego typu stereotypizacja tylko pogłębia problem. Jego zdaniem ludzie, którzy zmuszeni są całe życie mierzyć się z przemocą i jej tragicznymi konsekwencjami, zasługują przynajmniej na uwagę. Ktoś powinien ich wysłuchać.

Tak zrodził się pomysł na „Amerykańskie lato”. Dziennikarz wybrał kilka przypadkowych miesięcy 2013 r. W tym okresie rozmawiał z ponad 200 osobami – wśród nich znalazły się zarówno ofiary przemocy (którym udało się przeżyć), jak i jej sprawcy, a także ich rodziny i najbliżsi. Powstało z tego 14 gęstych, zróżnicowanych historii, których wspólnym mianownikiem jest strach i obezwładniające poczucie beznadziei. Kulminacyjny moment wszystkich opowieści – śmierć lub trwałe okaleczenie – przypadł właśnie latem 2013 r. Jednak Kotlowitz sięga daleko w przeszłość swoich bohaterów, a czasem towarzyszy im także przez długi czas po tragedii. Dlatego pracował nad książką ponad pięć lat, co dobrze pokazuje, z jakim zaangażowaniem i pieczołowitością podchodzi do swojego fachu.

Z tego niewielkiego, ale reprezentatywnego wycinka rzeczywistości przepełnionej przemocą wyłania się obraz, który nie ma nic wspólnego ze skąpyimi doniesieniami medialnymi czy narracjami popkultury. Naga przemoc, w cieniu której dorastają kolejne pokolenia z ubogich dzielnic, jest mało widowiskowa i pozbawiona sensu. „Wojny gangów”, które zapełniają kolejne strony policyjnych raportów, to zazwyczaj przypadkowe strzelaniny nastolatków, którym zamiast edukacji dano łatwy dostęp do broni. Niemalże dziecinne spory, które w innych miejscach skończyłyby się w najgorszym przypadku zwykłą bójką, tam prowadzą do nakręcającej się w nieskończoność spirali nienawiści, krwawych porachunków, często trwających latami.

Filmy i muzyka, które opowiadają o gangsterskim świecie, przekonują nas, że istnieje w nim pewien porządek – surowa, czasem bezlitosna, ale jednak dająca poczucie sensu, a nawet względnego bezpieczeństwa struktura społeczna. W rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej. Gdy przemoc przenika każdy poziom międzyludzkich relacji, zaciera się granica między ofiarą i sprawcą. Popelnie-



KATHY RICHLAND / MATERIAŁY PRASOWE

ALEX KOTLOWITZ (ur. 1955) – amerykański pisarz, dziennikarz, filmowiec i wykładowca. Jest autorem czterech książek reporterskich i zdobywcą wielu nagród literackich. Publikował m.in. w „The Wall Street Journal”, „The New York Times Magazine”, „The New Yorker”, „The Washington Post”. Jest również współtwórcą filmu dokumentalnego „The Interrupters”, wyróżnionego Nagrodą Emmy, Independent Spirit Award oraz Cinema Eye Honors. Został laureatem m.in. Nagrody im. Carla Sandburga i Heartland Prize przyznawanej przez „The Chicago Tribune” za wydaną w 1999 r. książkę „The Other Side of the River: A Story of Two Towns, a Death, and America’s Dilemma” („Druga strona rzeki: historia dwóch miast, śmierci i amerykańskiego dylematu”). Jego najnowsza książka „Amerykańskie lato. Depesze z ulic Chicago” została wyróżniona J. Anthony Lukas Book Prize.

nie zbrodni staje się kwestią czasu, a nie wyboru, z fatum zaś nie da się walczyć.

Opowiadanie historii

Wszyscy rozmówcy Kotlowitza żyją w permanentnym strachu, mają też liczne symptomy zespołu stresu pourazowego, właściwego żołnierzom wracającym z wojny. Jednak w przeciwieństwie do nich, przedrostek „po-” nie ma tu zastosowania, gdyż traumatyczne doświadczenie trwa i nie można przed nim uciec w bezpieczne miejsce. Co więcej, dla większości z dwustu bohaterów i bohaterów książki spotkanie z dziennikarzem było pierwszą okazją do opowiedzenia o swoim życiu.

Samodzielnie zmierzyć się z traumą śmierci najbliższej osoby (albo traumą bycia zabójcą, o czym również przejmująco pisze Kotlowitz) udaje się jedynie nielicznym. Jedną z takich niezwykle postaci

jest Lisa Daniels, której syn Darren zginął z rąk swojego rówieśnika w wyniku błędnego sporu zakończonego strzelaniną. Podczas procesu Lisa wygłosiła mowę, która w wielu kręgach stała się już legendarna. Prosiła w niej o możliwie łagodny wyrok dla oskarżonego, bo 15 lat więzienia, których domagał się prokurator, nie zwróci jej syna, a chłopakowi zniszczy życie. Co więcej, stwierdziła, że wydarzenia tamtego tragicznego dnia mogły równie dobrze potoczyć się odwrotnie, a wtedy to jej syn zostałby zabójcą. „W ostatecznym rozrachunku jej postawa ma więcej wspólnego ze sprawiedliwością niż wybaczeniem. Z odczuciem słuszności. Z uczciwością” – komentuje Kotlowitz.

Po wyroku długo korespondowała z zabójcą swojego syna i obiecała mu pomoc, gdy wyjdzie z więzienia. Założyła fundację, która wspiera młodych ludzi zagrożonych patologiami oraz matki – zarówno

ofiary, jak i ich zabójców. Niedawno została członkinią komisji rozpatrującej wnioski o warunkowe zwolnienia więźniów. Trudno wyobrazić sobie lepszy przykład działania mającego na celu przezwyciężenie zakłętą kręgu przemocy.

Nieprzypadkowo to właśnie Lisa jest jedną z głównych bohaterek „Amerykańskiego lata”. Istota dziennikarskiej działalności Kotlowitza (sam siebie określa mianem „opowiadacza historii”) polega właśnie na udzielaniu głosu tym, którzy w innym przypadku nie mieliby szans zostać usłyszani. Nie chodzi jednak o surowy zapis. Wypracowywana przez lata reporterska wrażliwość, a także doskonała warsztat dziennikarski odgrywają tu kluczową rolę. To właśnie dzięki nim Kotlowitz potrafi przemieniać niewypowiedziane przez lata traumy w niezwykle opowieści, poruszające wyobraźnię innych ludzi. Rezygnuje ze stawiania prostych diagnoz, nie próbuje odpowiadać na natarczywie powracające w debacie publicznej pytania. Woli stawiać kolejne, a po nich następne i następne. Jest gotów robić to dopóty, dopóki nie otrząśniemy się z letargu, a nasza przebudzona empatia nie zacznie nas motywować do działania. Tylko takie dziennikarstwo daje nadzieję na lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Skandalistka

ALEKSANDRA HUDYMAČ

W przypadku Hůlovej pewne jest jedynie to, że nie sposób przewidzieć, w jaką stronę zaprowadzi ją rogata fantazja i przekorny pisarski temperament.

Pisarze chcą być kochani za to, że mówią ludziom nieprzyjemne rzeczy – wyznała w jednym ze swoich tekstów Petra Hůlová. Trudno znaleźć we współczesnej czeskiej literaturze kogoś, kto wkroczyłby na jej scenę z takim rozmachem jak ona. Zadebiutowała w 2002 r. powieścią „Paměť moji babičce” („Czas Czerwonych Gór”). Książka zdobyła najbardziej prestiżową czeską nagrodę literacką – Magnesię Literę – w kategorii „odkrycie roku”, a w ankiecie dziennika „Lidové noviny” została wybrana Książką Roku.

Bardzo dojrzały debiut bardzo młodej naówczas autorki sprawił, że stała się pisarką pod specjalnym nadzorem, i wywindował oczekiwania wobec jej kolejnych dokonań. Hůlová postanowiła im sprostać. W 2004 r. ukazała się książka „Přes matný sklo” („Przez matowe szkło”), a w 2005 r. „Cirkus Les Mémoires” („Cyrk Les Mémoires”). Dwóm późniejszym tytułom – wydanej w 2006 r. powieści „Umělohmotný třípokoj” („Plastikowe M3, czyli czeska pornografia”) i powieści z roku 2008 pt. „Stanice Tajga” („Stacja Tajga”) przyznano kolejno Nagrodę Jiříego Ortena oraz Nagrodę Josefa Škvořeckiego. W ten sposób Petra Hůlová zgarnęła wszystkie najważniejsze czeskie wyróżnienia literackie.

Nie zwolniła jednak tempa. W 2010 r. ukazała się powieść „Stražnici občanského dobra” („Strażnicy dobra obywatelskiego”), dwa lata później – „Čechy, země zaslíbená” („Czechy, ziemia obiecana”), w roku 2014 – „Macocha”. W 2018 r. światło dzienne ujrzała powieść „Stručné dějiny Hnutí” („Krótka historia Ruchu”), a w 2019 – „Zlodějka myho táty” („Złodziejka mojego taty”). We wrześniu 2021 r. Hůlová zadebiutowała jako pisarka powieści młodzieżowych, wydając „Liščí oči” („Lisie oczy”).

Twórczość czeskiej autorki od samego początku budzi ogromne emocje. Ma ona wierne grono odbiorców i odbiorczyń, są jednak również zdecydowani przeciwnicy tego rodzaju pisarstwa. W podobny sposób nastroje rozkładają się wśród krytyków i krytyczek literackich. Ponawiane raz po raz próby okiełzania jej twórczości, przypisania jej miejsca na pokoleniowej mapie i sformułowania prognoz dotyczących kierunku jej rozwoju nie prowadzą do rozstrzygających wniosków. W przypadku Hůlovej pewne jest jedynie to, że nie sposób przewidzieć, w którą stronę zaprowadzi ją rogata fantazja i przekorny pisarski temperament.

Zawrotne pisarskie tempo łączy z działalnością publicystyczną (na stałe współpracuje z Radiem Wave, czasopismami „Host”, „Respekt” i „Týden”) oraz – do pewnego momentu – z działalnością polityczną (w roku 2014 kandydowała do Parlamentu Europejskiego z ramienia Partii Zielonych). Nie ukrywa również swojej słabości do teatru. Dwie z jej książek – „Plastikowe M3” i „Macocha” – doczekały się adaptacji teatralnych. Sama zaś jest autorką sztuki „Buňka číslo” („Komórka numer”), której inscenizacja w trybie *work-in-progress* miała miejsce w grudniu 2016 r.

Kameleonka

Znakiem rozpoznawczym jej prozy jest pierwszoosobowa narracja. Hůlová przyznaje, że to intuicyjna strategia. Gdy zaczyna opisywać jakąś postać i snuć o niej opowieść, odczuwa niemal fizyczny przymus utożsamienia się z nią. Za każdym razem jest to niemałe wyzwanie, test, któremu prozaiczka poddaje siebie, rzeczywistość i czytelników. Hůlová wybiera bowiem dla siebie postaci marginalne, rzucające wyzwanie społecznym hierarchiom, sięga po tematy drażliwe, ma od-

wagę kwestionować rzeczy święte i objęte powszechnym kultem.

Najbardziej wyrazistym przykładem jest protagonistka (i narratorka) „Plastikowego M3” – ekskluzywna praska prostytutka, która bez pruderii i ze znakomitą wyczuciem ironii opisuje swoją rzeczywistość oraz tajniki zawodu. Demaskuje hipokryzję współczesnego świata i miejsce, jakie zajmuje w nim seks. Hůlová szokuje językiem (przykładowo – męskie i żeńskie narządy płciowe wymieniają się rodzajnikami – wagina to „wtykacz”, a penis – „raszpla”), ujmuje jednak (nie wszystkim – wielu uznało ją za skandaliczną i niegodną poważnej pisarki) umiejętnością odmalowania pejzażu wewnętrznego pracownicy seksualnej bez cienia oceny i potępienia. Oddaje jej po prostu głos.

Owo ustąpienie miejsca nie zawsze przyjmuje formy tak radykalne wyobraźniowo i językowo. Czasem jest to po prostu próba skrajnej empatii. Olga, bohaterka powieści „Čechy, země zaslíbená”, przybywa z Ukrainy do Pragi, by pracować jako sprzątaczką. Jest zaradna, determinowana, prosta, a czasem prostacka. Na swojej drodze do sukcesu – bo książka jest przewrotną i ironiczną czeską wersją amerykańskiego snu – poznaje każdy niuans goryczy, która staje się udziałem osoby obcej i niechcianej.

W jednym z radiowych wywiadów Hůlová przyznała, że jest trochę kameleonem – lubi zmieniać odcienie koloru swojej skóry i wtapiać się w tło świata, który powstaje w jej głowie. Robi to, bo tak jest trudniej, a pisanie powinno być wyzwaniem i przygodą. Czasem jednak do głosu dochodzi u niej również chęć eksperymentowania z samą sobą.

W „Czasie Czerwonych Gór” autorka mówi głosami pięciu współczesnych mongolskich kobiet: sióstr Dzaji, Nary, Ojuny, ich matki Alty i córki Dzaji – Do-

lgormy. Głosy te czasem łączą się harmonijnie, gdy odnalezione zostają miejsca wspólne, jak przywiązanie rodzinne, waga tradycji czy miłość matki do dziecka i definicja tego, czym jest dom. Najczęściej jednak słyszymy dysonanse, gdy pojawia się rywalizacja między rodzeństwem, różnica zdań na temat miłości czy zdrady, różne wizje godnego życia; gdy tradycja ściera się z nowoczesnością, a rzeczywistość znajduje kolejne sposoby na zadanie ciosu. Jest w tej emocjonalnej zonglerce czułość i siostrzeństwo. Hůlová obdarza nimi nie tylko postaci z dalekiej Mongolii, lecz również z Czech, np. podstarzałą autorkę romansów z problemem alkoholowym przeżywającą kryzys osobisty czy wręcz rozpad osobowości i utratę siebie („Macocha”) albo starzejącą się matkę alkoholika (i jego samego – książka jest bowiem dwugłosem), niemającą pojęcia, jak odbudować nieistniejącą od lat relację z synem („Přes matný sklo”).

Pisarskie metamorfozy Hůlovej są tak sugestywne, iż po wydaniu powieści „Strážci občanského dobra”, której narratorką jest zatwardziała marksistka i ksenofobka, zwolenniczka starego reżimu i osoba, dla której sukces aksamitnej rewolucji oznaczał życiową tragedię, dziennikarze pytali autorkę, czy nie boi się etykiety komunistki pogrążonej w nostalgii za światem sprzed 1989 r. W odpowiedzi raz jeszcze dała do zrozumienia, że komunikacja oraz porozumienie możliwe są wyłącznie wtedy, gdy daje się prawo do posiadania pewnych racji również tym, z których światem nie mamy nic wspólnego. I że czasem na historię spojrzeć trzeba z perspektywy pokonanych. Ta radykalna lekcja empatii była również reakcją na postępujący proces kanonizacji czeskich dysydentów i czeskiego undergroundu, kontrą wobec niewypowiedzianego zakazu innego spojrzenia na ten okres w historii Czech.

Na zakazy – te wypowiedziane i niewypowiedziane – autorka „Krótkiej historii Ruchu” reaguje w najlepszym razie z przekorą. „Ruch” – napisana z rozmachem dystopia – wywołał burzę. Bohaterka książki, Věra, jest pracownicą Instytucji, miejsca, gdzie mężczyźni poddawani są kompleksowej terapii. W nowej rzeczywistości, w której rządzi Ruch – organizacja skrajnie feministyczna – kobieta ma być obiektem miłości i pożądania ze względu na swoje walory wewnętrzne, a nie piękno zewnętrzne. To wymaga rewolucyjnej zmiany sposobu myślenia zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Terapia jest okrutna, nie stroni od radykalnych metod (elektrowstrząsy, w przypadku kobiet →



BRIGITTE FRIEDRICH / SZ-PHOTO / FORUM

PETRA HŮLOVÁ (ur. 1979) – czeska prozaiczka. Absolwentka mongolistyki i kulturoznawstwa. Publicystka, autorka tekstów scenicznych i adaptacji teatralnych. Jest laureatką wielu prestiżowych czeskich nagród. W Polsce ukazało się do tej pory pięć powieści pisarki: „Czas Czerwonych Gór” (2002, wyd. pol. 2007), „Stacja Tajga” (2008, wyd. pol. 2011), „Plastikowe M3, czyli czeska pornografia” (2006, wyd. pol. 2013), „Macocha” (2014, wyd. pol. 2017) oraz „Krótka historia Ruchu” (2018, wyd. pol. 2021).

→ – śpiączka farmakologiczna), a nasza narratorka jest oddaną funkcjonariuszką, racjonalizującą, ku zgrozie czytelników, wszelkie przemocowe metody prowadzące do zmiany świata na lepsze.

Socjolożka

Przygodę ze studiami Petra Hůlová rozpoczęła od socjologii. Tę wprawdzie szybko zastąpiło kulturoznawstwo i mongolistyka, ale wydaje się, że nigdy nie przestała być po trosze socjolożką. Nawet po bieżne spojrzenie na jej dorobek pokazuje, iż tematy intymne i społeczne pojawiają się tu właściwie naprzemiennie. Dla Hůlovej pisarka (i pisarz) to ktoś, kto obserwuje, wypuszcza w rzeczywistość sondy i podnosi alarm, gdy coś wzbudzi jej (jego) niepokój.

Po publikacji „Krótkiej historii Ruchu” pojawiły się pytania, czy autorka jest w ogóle feministką i czy pokazanie radykalnego feminizmu jako totalitarnej dystopii nie jest wizerunkową katastrofą. Książka rzeczywiście jawi się jako feministyczna i antyfeministyczna jednocześnie. W recenzjach powraca porównanie do pisarstwa Margaret Atwood, ale na wspak. Podczas gdy autorka „Opowieści podręcznej” przestrzega przed zaciskaniem się pętli konserwatyzmu, Czeszkę niepokoi radykalizacja ruchu feministycznego.

Zastawia przy tym na nas pułapkę. Nowa epoka (jasnoczas) walczy z uprzedmiotawiającym spojrzeniem na kobietę, które odbiera jej sprawczość, bazą tożsamości czyniąc wygląd zewnętrzny, walczy z imperatywem ciągłego chirurgicznego poprawiania swojej urody (kliniki chirurgii plastycznej są nielegalne) i przymysłem porno, postuluje ekstremalną równość płci. Elementem rewolucji kulturowej jest również radykalna zmiana podejścia do środowiska naturalnego – zakaz hodowli przemysłowej i ekologiczna gospodarka wodna. Słowem: rzeczy, z którymi trudno się nie zgodzić, rzeczy, których właściwie rozpaczliwie potrzebujemy – my i planeta.

I wtedy właśnie, jako czytelnicy, bez ostrzeżenia, wytrąceni zostajemy ze strefy komfortu. Rzeczy, których dowiadujemy się o nowym świecie, zaczynają nas niepokoić. Ruch, wraz ze swoją nowomową i kultem jednostki, niebezpiecznie prowadzi na myśl najmroczniejsze historie XX w., terapie męszczyn do złudzenia przypominają terapie konwersyjne, a wszelkie głosy krytyki duszone są w za-

■ Hůlová kreuje postaci marginalne, rzucające wyzwanie społecznym hierarchiom, sięga po tematy drażliwe, ma odwagę kwestionować rzeczy święte i objęte powszechnym kultem.

rodku. Zadajemy pytanie o granice radykalizmu, nie otrzymujemy jednak odpowiedzi, gdyż autorka nie ma w sobie ani krzty moralistki czy kaznodziejki. Jej zadanie kończy się w momencie, w którym zaczynamy podawać w wątpliwość nasze przekonania i przyzwyczajenia poznawcze.

Pisarskie obserwacje uczestniczące Hůlovej nie zawsze przy tym prowadzone są na tak szeroką skalę. Czasem mają wymiar bardzo intymny, rodzinny. Tak dzieje się w powieści „Złodejka mýho taty”, której narratorem jest dziesięcioletni Miki. Chłopiec bardzo źle znosi rozwój rodziców, odejście taty do innej kobiety uznaje za zdradę, nienawidzi swojej macochy i przybranego rodzeństwa. Wszystkim zainteresowanym funduje horror emocjonalny. Powieść rozgrywa się w niedalekiej przyszłości, w której tradycyjna rodzina jest instytucją niemal wymarłą, rzeczywistością rozwiedzionych rodziców i ich dzieci jest natomiast opieka naprzemienna. Podobnie jak w „Krótkiej historii Ruchu”, i tu trudno przyjąć perspektywę młodego narratora (przy jednoczesnym przyznaniu mu prawa do wielu niełatwych emocji), który z wyemancypowanego dziecka staje się dla swoich bliskich małym terrorystą.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **PETRĄ HŮLOVĄ** m.in. o pożytkach płynących z jej ironicznego i prowokacyjnego nastawienia wobec świata. Czy możemy sobie pozwolić na bezkrytyczne przyjęcie poglądów, które uznajemy za słuszne? Jak literatura może nam pomóc w wywołaniu zmiany społecznej? Spotkanie poprowadzi Aleksandra Hudymač.

Poetka

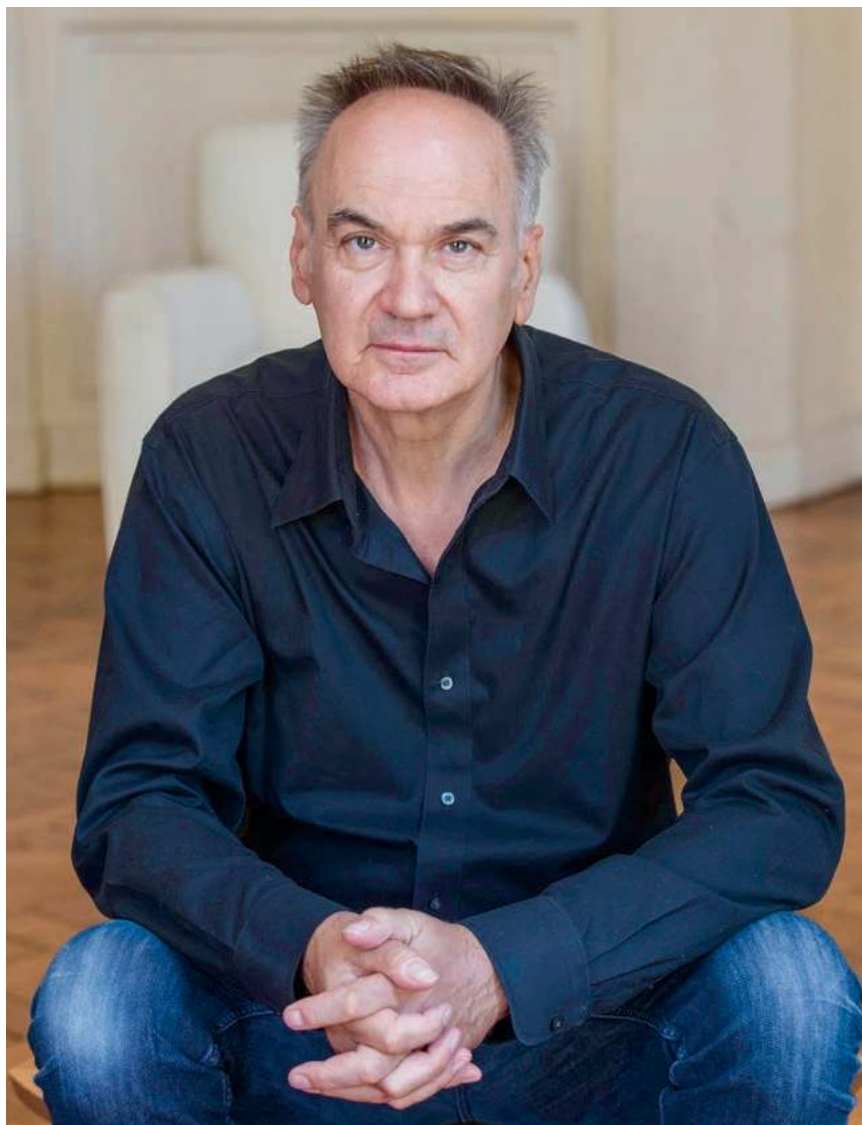
Zarówno wielbicielowie twórczości Petry Hůlovej, jak i jej zaprzysięgli kontestatorzy zgadzają się co do jednego – języka jej opowieści. Jego wrażliwej prostoty, autentycznej intymności, poetyckości, pomysłowości i innowacyjności nie da się porównać z niczym we współczesnej czeskiej literaturze. Przy czym poetyckość jej prozy związana jest często nie tylko z językiem, ale również z ogólną kompozycją utworu.

Na myśl przychodzą zwłaszcza dwie powieści – „Cirkus Les Mémoires” i „Stacja Tajga”. W obu przypadkach fabuła składa się z płataniny ludzkich losów (przeszłych i teraźniejszych), układanych obok siebie w rytm swobodnych skojarzeń i małych wyładowań na powierzchni pamięci. Obie książki to festiwal opowieści, drugorzędne znaczenie ma to, iż pierwsza rozgrywa się w napięciu między Czechami i Nowym Jorkiem, druga zaś – Danią i Syberią. Cyrkowa rozmaitość losów i narracja z wielu perspektyw przekształcają tu rzeczywistość w poezję.

Swoje prozatorskie ucieczki w dalekie krainy Hůlová tłumaczy potrzebą nabrania dystansu. Czasem Czechy ze swoimi problemami są zbyt blisko – wtedy autorka ma wrażenie, że jej czujność została uspiona. Potrzebuje więc spojrzeć na świat z szerszej perspektywy i w losach mongolskich kobiet, doświadczeniach fotografi Teresy i jej bliskowschodniego towarzysza Ramida („Cirkus Les Mémoires”), w imperatywnym nomadyzmie Humblunda i tęsknocie Mariane („Stacja Tajga”) czy też w ukraińskich wspomnieniach Olgi („Čechy, země zaslíbená”) zobaczyć uniwersalny konflikt kultur, pokoleń i cywilizacji, intymność codziennego życia i tęsknotę za czymś, co mogłoby być, a nie jest. Gdy jednak uważna obserwacja świata i rzeczywistości wokół – tej bliższej i dalszej – zaczyna budzić niepokój, czuła obserwacja uczestnicząca zamienia się w skandaliczny eksperyment, któremu poddani zostają, bez wyjątku, wszyscy.

Czasem niełatwo czytać Petrę Hůlovą. Jednak krzepiąca jest świadomość, że wywołujące dyskomfort prowokacje pisarki wyrastają z na wskroś autentycznego przekonania, iż literaturą dobrze się myśli, a ponadto – za jej pomocą można wywołać społeczną zmianę.

© ALEKSANDRA HUDYMAČ



FRANCESCA MANTOVANI / WYDAWNICTWO FILTRY / MATERIAŁY PRASOWE

HERVÉ LE TELLIER (ur. 1957) – francuski pisarz, lingwista i aktualny przewodniczący grupy literackiej OuLiPo. Jest autorem zbiorów poezji, opowiadań, relacji z podróży, erotyków i esejów, sztuk teatralnych i powieści. Regularnie współpracuje z „Le Monde”, w którym prowadzi kronikę satyryczną. W 2020 r. otrzymał prestiżową Nagrodę Goncourtów za swoją ósmą powieść pt. „Anomalie”.

Lionnais oraz Raymond Queneau, który studiował filozofię, w młodości żadnej pracy się nie bał, a skończył właściwie jako encyklopedysta i przy okazji jeden z najwybitniejszych pisarzy XX w. Aby tworzyć literaturę potencjalną, czyli proponującą rozmaite „przymusy” i matematyczne najczęściej formuły, które pozwalają komponować sporą, a bywa że i nieskończoną liczbę tekstów opartych na algorytmach oraz różnego rodzaju grach, warto być nie tylko poetą czy nawet szerzej – humanistą. Ponieważ – jak pamiętamy z „Życia instrukcji obsługi” Georges’a Pereca – do pisania utworów literackich przydaje się znajomość takich formuł, jak pseudoquenina czy bikkwadrat ortogonalny rzędu 10, członkami OuLiPo zostają niemal bez wyjątku autorzy, którzy z imponującą sprawnością poruszają się po świecie liczb i teorii, a wielu z nich odebrało po prostu dość gruntowne wykształcenie z zakresu nauk ścisłych.

2. Dlaczego OuLiPo przedstawia Le Telliera jako ofiarę Nagrody Goncourtów? Określenie to nie jest tylko czczym żartem. We Francji, chyba jednym z ostatnich krajów, w których literatura odgrywa jeszcze jakąkolwiek rolę i ma siłę oddziaływania, kraju – jak stwierdza narrator „Anomalii” – o niebywalej wręcz liczbie medialnych filozofów na kilometr kwadratowy powierzchni”, otrzymanie najbardziej prestiżowej z tamtejszych nagród literackich wiąże się z niemałym splendorem i wieloma przykrymi konsekwencjami.

Autor nagrodzony nieuchronnie staje się „medialnym pisarzem”, co nie wszystkim laureatom musi być w smak. W dobie dominacji portali społecznościowych mniej lub bardziej niszowy

Niewyjaśnialne

TOMASZ SWOBODA

Hervé Le Tellier zachowuje się jak powieściopisarz, scenarzysta i zarazem badacz. Sprawdza zachodzące reakcje, przykłada teorię do praktyki i chyba nieźle się przy tym bawi.

1. Francuski pisarz od bez mała trzydziestu lat należy do słynnej francuskiej grupy literackiej OuLiPo, a od 2019 r. pełni w niej funkcję przewodniczącego. Jest z wykształcenia matematykiem, doktorem językoznawstwa, dziennikarzem i specjalistą w dziedzinie literatury potencjalnej, m.in. autorem rozprawy o estetyce OuLiPo, od 30 listo-

pada 2020 r. zaś laureatem Nagrody Goncourtów, a raczej, jak głosi informacja na stronie internetowej OuLiPo: „ofiarą Nagrody Goncourtów za powieść »Anomalie«”.

Przynależność do OuLiPo zobowiązuje. Warsztat Literatury Potencjalnej (Ouvroir de littérature potentielle) założyli w 1960 r. matematyk François Le

→ twórca, mający swoich czytelników i niekoniecznie marzący o szerokiej rozpoznawalności, staje się własnością publiczną. On sam oraz jego utwory, nie tylko ten nagrodzony, lecz również twórczość wcześniejsza, a zwłaszcza ta przyszła, skazani zostają na nieuchronną klęskę, jak niemal wszystko, co trafia do popkultury, która, jak wiemy, nie znosi produktów z ubiegłego sezonu, a zwłaszcza utworów w ogóle opierających się etykietce „produkt”.

Hervé Le Tellier jest więc i będzie ofiarą Nagrody Goncourtów z powieścią „Anomalie” (która już niebawem zostanie wydana w Polsce), z dwudziestoma kilkoma wcześniejszymi książkami i wszystkimi, które 64-letni obecnie autor jeszcze napisze. Choć twierdzi, że jednego z bohaterów „Anomalii”, pisarza o nazwisku Victor Miesel, ulepił z sylwetek paru znajomych, w postaci tej nietrudno dopatrzeć się pokrewieństwa z samym autorem, jeśli weźmiemy pod uwagę ich pozycję w literaturze. Miesel jest twórcą dość cenionym przez krytyków i pozbawionym już złudzeń co do możliwości osiągnięcia sukcesu, a do tego laureatem jednej nagrody, „bardzo paryskiej, takiej, o której informacja na czerwonej opasce nie wywołuje pospolitego ruszenia do księgarni”.

Twórca „Anomalii” w 2007 r. otrzymał nagrodę dla najlepszej powieści miłosnej za „Je m’attache très facilement” („Bardzo łatwo się przywiązuję”), a w 2013 r. – nagrodę czarnego humoru za fikcyjny przekład „Płynnych opowieści” Portugalczyka Jaimego Montestrelia, którego dzieło i biografię zmyślił od początku do końca. Nagrody to równie cenne, co niszowe. Żadnego porównania z Nagrodą Goncourtów dla „Anomalii” – powieści nominowanej skądinąd również do nagród Renaudot, Médicis, Décembre, Fnac i Wepler. A wszystko to pomimo – trzeba przyznać – mało chwytliwej otoczki: autor należący do grupy dziwacznych erudytów z OuLiPo napisał jakąś skomplikowaną historię o podwójnym samolocie wspartą filozoficznym namysłem nad kształtem świata na podstawie złożonych algorytmów... Po takim anonsie naprawdę trudno uwierzyć, że powieść Le Telliera to klasyczny *page turner*, który tłumaczony jest już na kilkadziesiąt języków i który doczekał się nawet pastiszu – „L’anomalie du train 006” („Anomalia pociągu 006”) Pascala Fioretto – poprzedzonego wstępem Le Telliera.

3. We Francji słysząc głosy, że wyróżnienie „Anomalii” to – w naszym nie umniejszając wyjątkowości samego utworu – nagroda dla całego OuLiPo. Aż trudno uwierzyć, że ta najbardziej innowacyjna grupa we francuskiej literaturze drugiej połowy XX w., grupa, do której należy bądź należało tak wielu wybitnych autorów, i która dała tamtejszej literaturze szereg oryginalnych, wirtuozerskich, a do tego ważkich i głębokich tekstów, czekała na Goncourta aż do roku 2020. Czyżby szacownej kapitule zawadzała wielopłaszczyznowość tych utworów – to, że warto (trzeba?) czytać je na paru poziomach, nie tylko na poziomie intrygi, świata przedstawionego, konstrukcji bohaterów, ale i budowy samego tekstu, często utkanego z cytatów, nawiązań, żartów, gier słownych i opartego na matematycznych strukturach?

W twórczości Le Telliera zabiegi te dają rozbrajająco dowcipne, ujmując błyskotliwe rezultaty. Na przykład w „Joconde jusqu’à cent et plus si affinités” („Gioconda sto razy i więcej, jak się spodoba”) autor próbuje przeniknąć tajemnicę najsłynniejszego obrazu świata oczami stu obserwatorów: anonimowych i tych bardziej znanych (jak Karl Lagerfeld czy Papa Smerf), zamysłem kompozycyjnym nawiązując do „Ćwiczeń stylistycznych” Raymonda Queneau. Z kolei „Encyclopædia Inutilis” zawiera galerię portretów literackich dziwaków, tych prawdziwych i tych wyobrażonych, a cały tom opiera się na rygorystycznie przestrzeganej matematyczno-geometrycznej logice. Zasady i przymusy nigdy nie są tu celem samym w sobie, tak jak nie były nim w oulipijskim arcydziele, jakim jest bez wątpienia „Życie instrukcja obsługi”, gdzie – tak jak opowiadał o tym sam Perec – złożone algorytmy miały być wyłącznie rusztowaniem, niewidocznym w oddanej do użytku literackiej budowlu.

Podobnie jest u Le Telliera, który kończy powieść zmyślnym kaligramem, a wcześniej podrzuca czytelnikowi nawiązania do Mallarmégo („Rzut kośćmi nigdy nie zniesie odpadków”), Queneau (tytuły poszczególnych części pochodzą z jego wierszy), Itala Calvina („Kiedy zimą nocą 243 podróży”), Johna Ashbery’ego czy, oczywiście, Pereca, choćby kiedy Victor Miesel, noszący przy sobie czerwony klocek z dzieciństwa (nierzeczywisty puzzle), zastanawia się

wprost w odniesieniu do swojej twórczości, „po co kroczyć w cieniu Pereca?”. Jeśli zaś chodzi o konstrukcję utworu, to sam autor chętnie podrzuca w wywiadach ciekawą metaforę, jaką jest *scoubidou*, czyli plecionka z kolorowych sznurków, prze-myślnie powiązanych w jedną całość, mogąca posłużyć jako – dlaczego by nie? – breloczek do kluczy. Powieściowych, rzecz jasna.

Ale spokojnie – to tylko rusztowanie i literackie smaczki, bez których „Anomalie” nie byłaby może dziełem oulipijskim, ale wciąż pozostałaby atrakcyjną powieścią. I dowcipną. Nad losami bohaterów panuje narrator hojnie dzielący się z nami swoim *esprit*. Hojnie i subtelnie zarazem, gdyż komizm jest tu raczej flaubertowski niż molierowski, przejawia się raczej zdystansowaną ironią niż karykaturą, choć ośrodkiem intrygi jest osobliwe *qui pro quo*. Nie może to dziwić w przypadku pisarza, który jest stałym felietonistą wielu dzienników (w tym klasycznego „Le Canard enchaîné”), współzałożycielem Stowarzyszenia Przyjaciół Jeana-Baptiste’a Botula (fikcyjnego filozofa, autora znanego i u nas „Życia seksualnego Immanuela Kanta”) i ma na swoim koncie książkę zatytułowaną „Moi et François Mitterrand” („Ja i François Mitterrand”), czyli korespondencję niejakiego Hervégo Le Telliera z kolejnymi prezydentami Francji, stanowiącą wnikliwą interpretację zdawkowych formulek stosowanych przez prezydencką kancelarię.

4. Autor, nagroda, OuLiPo, struktura, aluzje, dowcip... No dobrze, ale o czym jest ta „Anomalie”? Przez parę miesięcy zmagali się z tym pytaniem francuscy krytycy i recenzenci. Jednak problemem nie jest to, o czym jest powieść, lecz to, jak wiele z jej intrygi można odsłonić czytelnikowi, który jest przed lekturą, żeby nie zepsuć mu przyjemności. Pomimo wspomnianych „smaczków” urok powieści Le Telliera zasadza się na zaskakującej intrydze, na tajemnicy (nie) do rozwikłania, na nieoczekiwanym przebiegu wydarzeń. Odnoszę wrażenie, że nawet informacja na stronie Filtrów, polskiego wydawcy, odsłania zbyt wiele, że odbiera czytelnikowi odrobinę rozkoszy o istic kryminalnej proweniencji (przestrzegam więc przed zaglądaniem na stronę wydawcy!).

O czym więc? W każdym z rozdziałów pierwszej części wkraczamy w życie jed-

nego z powieściowych bohaterów. Jest wśród nich Blake, wiodący podwójne życie płatny zabójca. Jest Lucie, piękna montażystka filmowa, i jej podstarzały partner, architekt André. Jest Sophia, córeczka amerykańskiego weterana. Jest Joanna, ambitna czarnoskóra prawniczka. Jest nigeryjski piosenkarz, ukrywający swoją homoseksualność. Są Adrian i Meredith, genialni matematycy (powieść oulipijska bez matematyków?). Jest wspomniany już Victor Miesel, jest też David, pilot boeinga 787 linii Air France, na którego pokład wszyscy wyżej wymienieni wsiadają 10 marca 2021 r., by udać się z Paryża do Nowego Jorku, w czym przeszkadza im obfitująca w turbulencje gwałtowna burza. Uważam, że komuś, kto powieść dopiero zamierza przeczytać, nie powinno się wyjawiać nic więcej.

Można za to powiedzieć, że to kilka powieści w jednej, szczególnie w wymiarze gatunkowym. „Nie chciałem napisać powieści gatunkowej – mówi autor w jednym z wywiadów – lecz całą serię, która byłaby połączeniem ich wszystkich: od kryminału przez powieść psychologiczną aż po fantastyczną”. To także powieść polityczna (drwina z Francuzów i Amerykanów jest tu przedniej jakości), naukowa, filozoficzna, obyczajowa i miłosna. Nie powiedziałbym, że totalna, gdyż ten epitet pasuje raczej do dzieła Pereca, „Anomalia” zaś jest w swojej strukturze lekka, zwiewna, bardziej, by tak rzec, serialowa (choć i z „Życia...” dałoby się wykreślić nie najgorszy serial). Zupełnie jakby Le Tellier miał w głowie słowa, które powieściowemu Victorowi mówi jego wydawczyni: „litości, to zbyt skomplikowane, stracisz czytelników, uprość to, skróć, przejdź do rzeczy”.

Bywa bowiem – szczególnie w drugiej części – że autor porzuca wartką fabułę na rzecz filozoficznych domysłów. Ale czyni to w stylu jednego ze swoich ulubionych pisarzy, Jorgego Luisa Borgesa, próbując wyczerpać wszystkie możliwości, posunąć do skrajności logiczne konsekwencje wstępnych założeń. Przeważnie jednak jest posłuszny wskazaniom fikcyjnej wydawczyni, sprawnie łącząc oulipijskie zasady z formułą telewizyjnego serialu. Z powodzeniem realizuje odwieczną zasadę dobrej sztuki – uczy bawiąc.

Czego uczy? „Kto wie – zastanawia się jeden z bohaterów – co właściwie robimy na tej cholernej planecie”. O tym właśnie jest „Anomalia”. Dość powie-

■ Utwór Le Telliera to powieść polityczna (drwina z Francuzów i Amerykanów jest tu przedniej jakości), naukowa, filozoficzna, obyczajowa i miłosna. Nie powiedziałbym, że totalna, gdyż w swojej strukturze jest lekka, zwiewna, bardziej, by tak rzec, serialowa.

dzieć, że powieściowe wydarzenia każą brytyjskiej topolożce z Princeton postawić takie choćby pytania: „Czy to, że nie lubię kawy, jest wpisane w mój program? A mój wczorajszy kac, kiedy zmieniłam się w gąbkę na tequilę, też jest symulacją? Jeśli jakiś program pożąda, kocha i cierpi, jakie są algorytmy miłości, cierpienia i pożądania? Czy jestem zaprogramowana, żeby się wściec na odkrycie, że jestem programem? Czy mimo wszystko mam wolną wolę?”. I dalej: „Czy Hitler i Szoa istnieją tylko w naszej symulacji, czy także w kilku innych, czy sześć milionów żydowskich programów zostało zamordowanych przez miliony programów nazistowskich? Czy podczas gwałtu to męski program gwałci program żeński?”. Rozważa się tu bowiem istnienie czegoś takiego, jak Kartezjusz 2.0: „Myśle, więc prawie na pewno jestem programem”.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **HERVÉM LE TELLIEREM** m.in. o tym, jak uporać się z sytuacją, w której nieprzewidywalnego zdarzenia nie można wyjaśnić, w jaki sposób może nam w tym pomóc literatura, a także – czym zastąpić nasz głód poznania i potrzebę rozumienia. Spotkanie poprowadzi Tomasz Swoboda.

5. Nad tym, co wydarza się w powieści, rozmyślają fizycy, matematycy, biolodzy, filozofowie i przedstawiciele największych religii. Ich ekumenicznie pomyślane konsylium, zwołane przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, ma zapobiec aktom religijnej nienawiści. Nie do końca się to udaje. Fanatyzm i głupota biorą górę, jak to w naszym świecie. Według sondażu to, co się wydarzyło, dla 44 proc. Amerykanów jest „znakiem końca świata”, 34 proc. z nich uważa, że koniec jest bliski, 25 proc. – że „bardzo bliski”, a 1 proc. – że koniec świata już nastąpił. „Szerzą się teorie spiskowe: cała afera to montaż, ta opowieść o symulacji ma ośmieszyć wszelką walkę, zarówno z kapitalizmem, jak i z ociepleniem klimatu”. Jak stwierdza narrator: „wolność myśli w internecie stała się pełniejsza, odkąd wiemy już, że ludzie przestali myśleć”.

Na dobrą sprawę w „Anomalii” Hervé Le Tellier przenosi w nasze czasy odwieczny topos teatru w teatrze, który od zawsze budził w nas potężny lęk. A co, jeśli jesteśmy tylko aktorami, poruszaniymi przez niewidzialne ręce kukiełek? Motto do powieści to cytat ze Zhuangzi: „A ja, który mówię, że śnisz, też żyję we śnie”. To, co było już przedmiotem tylu filmów, zyskuje w powieści Le Telliera zaskakującą świeżość. Tytułowa anomalia, od razu kojarzona dziś z towarzyszącą nam od półtora roku pandemią, staje się tu ogólną anomalią ludzkich losów. Hervé Le Tellier – matematyk, językoznawca, oulipijczyk – mógł napisać rozprawę o „Różnicy i powtórzeniu” Gilles’a Deleuze’a. Wybrał inną formę – bardziej chwytliwą, efektowną, wciągającą, niekiedy porywającą. Powieść o powtórzeniu.

„Temat, który mnie pasjonował – mówi – to zetknięcie się z samym sobą”. Obracając w dłoniach borgesowsko-oulipijską formułę „a jeśli?...”, francuski prozaik zachowuje się jak powieściopisarz, scenarzysta i zarazem badacz. Sprawdza zachodzące reakcje, przykłada teorię do praktyki i chyba nieźle się przy tym bawi. A że podobna reakcja zachodzi w czytelniku, pozwala to znów na moment uwierzyć w literaturę. I przy okazji w miłość. Bo, jak mówi jedna z bohaterek „Anomalii”, „dzięki miłości nie musimy przynajmniej szukać ciągle sensu życia”.

© TOMASZ SWOBODA



ROBERT CAPA © INTERNATIONAL CENTER OF PHOTOGRAPHY / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Gerda Taro. Hiszpania, 1936 r.

Zdjęcia, które miały zatrzymać wojnę

RENATA KOPYTO

Gerda Taro, jedna z najważniejszych fotoreportererek XX wieku, długo czekała na uznanie. Dziś jej fotografie odbierane są jako zapowiedź aktualnych zmian społecznych.

1. Pod koniec stycznia 2008 r. świat obiegła informacja – uznana przez międzynarodowe media za odkrycie stulecia – o znalezieniu w Meksyku około 4500 negatywów zdjęć wykonanych w latach 1934-1939, których autorami byli Robert Capa, Gerda Taro, Dawid Chim Szymin (znany później jako David Seymour) oraz Fred Stein. Większość fotografii, zdeponowanych w kilku kartonowych pudełkach, nazywanych odąd „meksykańską walizką”, została wyko-

nana podczas wojny domowej w Hiszpanii.

Wiadomość była sensacyjna ze względu na odnalezienie zdjęć Roberta Cappy, uważanych dotychczas za zaginione. Najślynniejszy wojenny fotograf, za którego uważany był Capa, uchodził też za najważniejszego dokumentalistę konfliktu toczącego się od 1936 r. na Półwyspie Iberyjskim. Wykonane przez niego i opublikowane w magazynie „Life” zdjęcie upadającego żołnierza przeszło do

historii fotografii jako ikona wojennego fotoreportażu.

Trzy lata po odkryciu „meksykańskiej walizki” nowojorskie International Center of Photography udostępniło publiczności odnalezione fotografie wraz z towarzyszącą wystawie dokumentacją, opracowaną przez badaczkę Cynthię Young. Analiza, której poddane zostały negatywy, pokazuje, że Robert Capa owszem, był legendarnym fotografem hiszpańskiej wojny, jednakże zdjęcia wykonane

przez Chima i Gerde Taro niczym mu nie ustępują.

2. Cała trójka poznała się w Paryżu, na początku lat 30., wszyscy byli emigrantami o lewicowych poglądach i mieli żydowskie pochodzenie. Wynajmowali wspólnie atelier z ciemnią fotograficzną przy rue Daguerre i często pracowali razem, przekazując sobie zlecenia lub wywołując zdjęcia.

Urodzony w Warszawie w 1911 r. Dawid Szymin, który we Francji posługiwał się skróconą formą swojego nazwiska, zapisaną zgodnie z regułami francuskiej wymowy – Chim – przeszedł do historii fotografii jako David Seymour. Z rodzinnego miasta wyjechał najpierw do Lipska, na studia w prestiżowej Staatliche Akademie für Graphische Künste und Buchgewerbe, którą później zmienił na paryską Sorbonę. Poprzez czasopismo „Regards”, gdzie zamieszczał swoje pierwsze fotografie, związał się z Association des Écrivains et Artistes Révolutionnaires (AEAR), stowarzyszeniem, do którego należało wielu postępowych pisarzy i artystów. Ważnym ośrodkiem także dla Capi i Taro.

Robert Capa przyszedł na świat w Budapeszcie w roku 1913 jako Endré Friedmann. Już jako uczeń gimnazjalny angażował się politycznie, biorąc udział w protestach przeciwko autorytarnym rządóm Miklósa Horthy’ego. Po aresztowaniu i krótkim pobycie w więzieniu zdecydował się na emigrację do Niemiec. Jako student berlińskiej Deutsche Hochschule für Politik rozpoczął współpracę z agencją Dephot. Jego pierwszym ważnym zleceniem był reportaż ze spotkania z Lwem Trockim, które miało miejsce w hali sportowej w Kopenhadze.

Niestety, dojście w 1933 r. Hitlera do władzy zmusiło Friedmanna do wyjazdu z Niemiec. Kolejnym przystankiem na jego emigracyjnej drodze był Paryż.

Gerda Taro, podobnie jak Szymin, przybyła do Paryża jako polska obywatelka. Jej rodzice pochodzili z Galicji – ojciec z Husiatyna, a matka z Buczacza. Choć cała rodzina Pohorylle, bo tak brzmiało nazwisko Gerdy, wyjechała do Niemiec w 1909 r., to po upadku monarchii austro-węgierskiej wszyscy automatycznie stali się polskimi obywatelami. Miało to dla przyszłej fotografiki ważne znaczenie, bo kiedy w 1933 r. została w Lipsku aresztowana przez SA (Sturmabteilung, oddziały szturmowe NSDAP), polski konsul po-

starał się o jej niezwłoczne uwolnienie. Irme Schaber w biografii zatytułowanej „Gerda Taro – Fotoreporterin. Mit Robert Capa im spanischen Bürgerkrieg” („Gerda Taro – fotoreporterka. Z Robertem Capą na hiszpańskiej wojnie domowej”) publikuje list, jaki wystosował do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych konsul, dr Tadeusz Brzeziński, protestując przeciwko zatrzymaniu polskiej obywatelki. Urodzona w 1910 r. w Stuttgarcie Gerta Pohorylle nie miała jednakże żadnego związku z polską kulturą ani językiem. W rodzinnym mieście obracała się w środowisku dobrze sytuowanej klasy średniej, którą później, po przeprowadzce do Lipska, zamieniła na kręgi lewicowo-komunistyczne. To tam poznała swoich przyszłych kochanków: Georga Kuritzkesa i Willy’ego Chardacka – protagonistów książki Heleny Janeczki pt. „Fotografka”.

Po uwolnieniu Gerty z aresztu obaj starali się ułatwić jej wyjazd z Niemiec. Kuritzkes namawiał ją do przyjazdu do Włoch, gdzie studiował. Chardack przekonywał do Paryża, pisząc, że bez trudu znajdzie tam pracę i będzie mogła kontynuować naukę. Gerta zdecydowała się na Francję, lecz mimo świetnej znajomości języka, niezłego wykształcenia i umiejętności pisania na maszynie trudno było jej zdobyć pracę dającą utrzymanie. Czynn timer za wynajęty pokój opłacała dzięki pomocy przyjaciół i dorywczym zajęciom (najczęściej zatrudniała się w charakterze maszynistki). Fred Stein, który – obok Capi – jest autorem zachowanych do dzisiaj portretów Gerdy Taro, wiele razy fotografował swoją lokatorkę nad maszyną do pisania. Jej przyjaciółka, Ruth Cerf, także pojawiająca się w książce Janeczki, próbowała sił jako modelka. Właśnie dzięki temu obie poznały Endré Friedmanna.

3. Związek uczuciowy i zawodowy Taro i Capi zaważył na karierze obydwójki. Gerta nie tylko doceniła talent Friedmanna, ale też postanowiła wesprzeć go w pracy. Nie była już wtedy amatorką. Mieszkając u Freda i Lilo Steinów, nauczyła się wywoływać zdjęcia, rozpoczęła też stałą pracę w agencji fotograficznej Alliance, kierowanej przez Marię Eisner i mającej liczne kontakty z zagraniczną prasą. Władając trzema językami, mogła nawiązać kontakty z wieloma wydawcami, współtwo-

rząc jednocześnie filary nowoczesnej agencji, skupiającej w swoich szeregach wielu znanych fotografów. Powstała po II wojnie światowej słynna agencja Magnum bazowała na doświadczeniu Alliance, a Eisner prowadziła później także jej paryskie biuro.

O początkach działalności fotograficznej Gerty wiadomo niewiele. Irme Schaber przytacza wypowiedź jednego z ówczesnych dziennikarzy, który pisał, że „wszędzie, gdzie tylko było możliwe pstryknięcie zdjęcia, pojawiała się mała postać z aparatem”. Posiadanie kosztownego naówczas sprzętu nie było powszechne. Gerta Pohorylle korzystała najprawdopodobniej z aparatów swoich kolegów fotografów. Pierwsze zdjęcie udało jej się sprzedać do francuskiego magazynu poświęconego modzie, a 4 lutego 1936 r. otrzymała legitymację prasową wydaną przez agencję A.B.C. Press Service z siedzibą w Amsterdamie.

Kilka miesięcy później para fotografów spotkała się z Marią Eisner, aby przedstawić jej odkrytego niedawno, a już sławnego amerykańskiego artystę Roberta Capę. Pomyśl z wymyśloną postacią fotografa i jego agentki zaczął świetnie funkcjonować. Szybko więc Gerta Pohorylle stała się Gerda Taro, a zdjęcia, jakie obydwie wykonywali, zaczęły być opatrzone podpisem „Credit Capa & Taro”.

18 czerwca 1936 r. w Hiszpanii generał Franco przeprowadził pucz wojskowy. Z kraju szybko zaczęły docierać wiadomości o ulicznych protestach i walkach z udziałem tworzonych przez partie polityczne i związki zawodowe oddziałów milicji. Decyzja Taro i Capi o wyjeździe była natychmiastowa i już pod koniec czerwca obydwie mieli potrzebne do tego dokumenty.

4. „Aby wojna mogła wyrwać się z własnego kontekstu i zwrócić na siebie uwagę międzynarodową, musi zostać uznana za wyjątkową i reprezentować coś więcej niż tylko sprzeczne interesy walczących stron” – pisała Susan Sontag w „Widoku cudzego cierpienia”. I dalej: „w hiszpańskiej wojnie domowej widziano opór stawiany faszystowskiemu zagrożeniu – próbę generalną przed nadchodzącą wojną europejską i »światową«”. Tak też postrzegali swoją pracę, polegającą na dokumentowaniu tego konfliktu, Capa, Taro i Chim, który do nich dołączył.

→ Fotografować historię znaczyło dla nich – jak pisze Irme Schaber – mieć wpływ na jej tworzenie. Zdjęcia, które cała trójka wysyłała do licznych gazet i czasopism, miały informować, wyjaśniać, wywierać wpływ na opinię publiczną i przedstawiciele władzy w demokratycznych jeszcze państwach. Ważne były więc nie tylko relacje z pola walki, ale także reportaże pokazujące cierpienia ludności cywilnej, w szczególności kobiet i dzieci, których najbardziej dotyczyły skutki wojennych działań. Gerda chętnie podejmowała takie właśnie tematy, ale fotografowała też kobiety w nowej roli, w jakiej obsadziła je wojna: jako zaangażowane w walkę milicjantki. Nie spotykane dotychczas zdjęcia umundurowanych kobiet z bronią w ręku podczas ćwiczeń na plaży w Barcelonie obiegły prasę we Francji i Anglii, stając się symbolem toczącej się w Hiszpanii rewolucji.

W sierpniu 1936 r. fotoreporterzy wyruszyli na front aragoński. Zdjęcia, które wtedy powstały, portretują nie tylko żołnierzy z uniesioną do góry ręką i zaciśniętą pięścią, ale też chłopów i pastery podczas żniw. Miesiąc później oboje przenieśli się do Andaluzji, gdzie wielokrotnie towarzyszyli milicjantom w patrolach wokół frontu przebiegającego na południe od Kordoby. To tutaj właśnie powstała najsłynniejsza fotografia hiszpańskiej wojny zrobiona przez Roberta Capę i znana jako „Śmierć hiszpańskiego lojalisty” lub „Upadający milicjant”. W przypisie zamieszczonym w „Widoku cudzego cierpienia” Sontag pisze, że zdjęcie to „zostało po raz pierwszy opublikowane w »Vu« 23 września 1936 r. ponad drugim zdjęciem – wykonanym z tego samego miejsca i w tym samym oświetleniu – przedstawiającym innego padającego żołnierza armii republikańskiej, któremu karabin wypada z prawej ręki, w tym samym miejscu na zboczu. Tego zdjęcia nigdy nie opublikowano ponownie. Pierwsze wkrótce wydrukowano po raz drugi w gazecie »Paris-Soir«”.

5. Zarzuty, że fotograficzny symbol wojny był inscenizacją, pojawiły się 20 lat po śmierci Cappy. On sam podawał sprzeczne informacje dotyczące okoliczności powstania słynnego ujęcia. Pierwotnie utrzymywał, że fotografia powstała w czasie bitwy pod Cerro Muriano i dopiero liczne badania przeprowadzone m.in. przez biografę

■ Zdjęcia, które Gerda Taro wysyłała do licznych gazet i czasopism, miały informować, wyjaśniać, wywierać wpływ na opinię publiczną i przedstawiciele władzy w demokratycznych jeszcze państwach.

i opiekuna archiwum fotografa, Richarda Whelana, oraz odkrycie w 2006 r. przez Irme Schaber zdjęć kontaktowych wykonanych w tej samej lokalizacji przez Taro, podważyły podawane przez Capę informacje. Widać na nich wyraźnie bohatera zdjęcia Roberta oraz jego towarzyszy, którzy znajdują się na ćwiczeniach i nie strzelają ostrą amunicją.

Odnaleziona i zaprezentowana na pierwszej wystawie prac Gerdy Taro dokumentacja skłoniła hiszpańskich historyków do dalszych badań. José Manuel Susperregui dokonał komputerowego porównania zdjęcia Cappy z krajobrazem wokół Cerro Muriano i Kordoby. Stwierdził, że „Upadający milicjant” sfotografowany został w miejscowości Espejo. Kilukrotnie powiększenie fotografii pokazało też, że broń wypadająca żołnierzowi z ręki nie jest odblaskowa, co potwierdzałoby wersję, że były to ćwiczenia oddziały milicjantów.

Irme Schaber pisze, że zdjęcie zawdzięcza sławę kilku ważnym aspektom: dokumentuje nieuchwytny moment śmierci, który udało się zatrzymać w fotograficznym kadrze, pokazuje okrutne i prawdziwe oblicze wojny, czyli samotnie umierającego żołnierza, a także uświadamia niebezpieczne okoliczności, w jakich powstać musiało ujęcie. Obraz Cappy uznano za alegorię życia i śmierci, porównywano go do „Rozstrzelania powstańców madryckich” Goi z 1808 r.

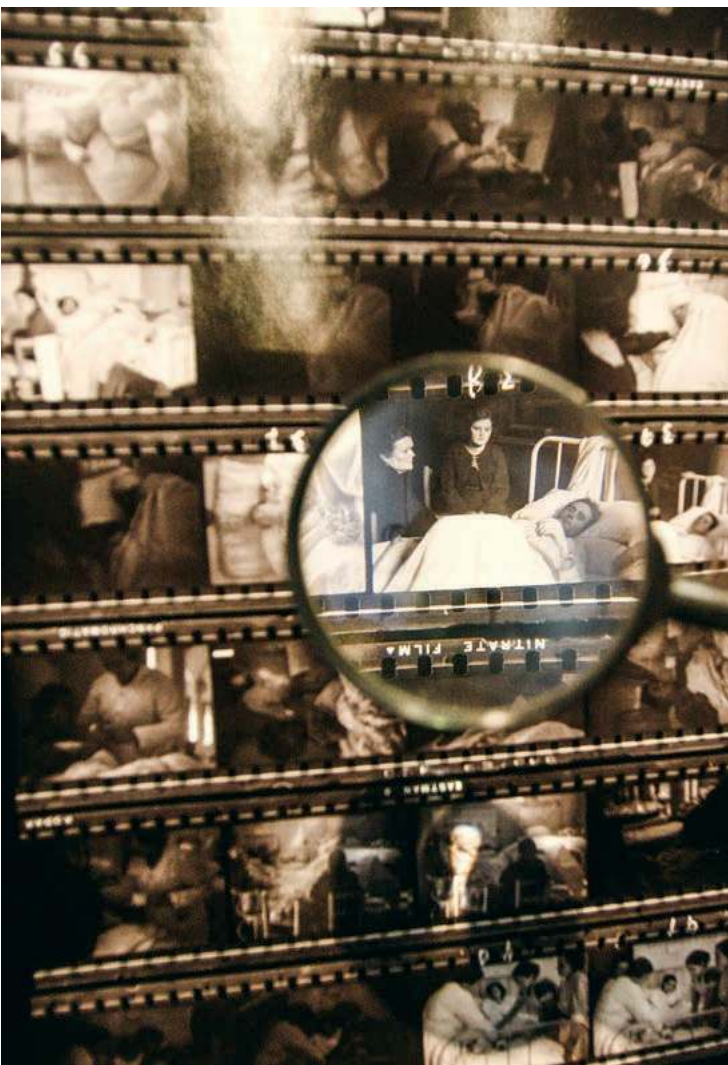
6. Wojna domowa w Hiszpanii przeszła do historii także jako pierwsze starcie medialne, w którym szczególną rolę odegrała fotografia. Materiały wizualne drukowane były, jak pisze Susan Sontag, głównie w dziennikach i tygodnikach: „obok popularnych

czasopism z końca XIX w., takich jak »National Geographic« albo »Berliner Illustrierte Zeitung«, które wykorzystywały zdjęcia jako ilustracje, pojawiły się wysokonakładowe tygodniki, zwłaszcza francuski »Vu« (w 1929), amerykański »Life« (w 1936) oraz brytyjski »Picture Post« (w 1938 roku), w całości składające się ze zdjęć, którym towarzyszyły krótkie, dopasowane do nich teksty, oraz historii obrazkowych – przynajmniej czterech-pięciu fotografii tego samego autora, za którymi szła opowieść jeszcze mocniej dramatyzująca obraz”. Takich opowieści dostarczali reporterzy działający w Hiszpanii.

W miarę jak front przesunął się w kierunku Madrytu, a siły generała Franco wspierane przez Hitlera i Mussoliniego zdobywały kolejne prowincje, w wojennych doniesieniach przeważały zdjęcia bombardowanych miast, uchodźców, rannych lub martwych żołnierzy, dzieci na barykadach lub w organizowanych naprędce sierocińcach. Wiele publikowanych wtedy fotografii Taro, które ukazały się m.in. w „Vu”, „The Illustrated London News”, „Zürcher Illustrierte” czy „Volks Illustrierte”, nie zostało podpisanych albo opatrzone je nazwiskiem Roberta Cappy. Te bezimienne przypisano mu później automatycznie. Nawet Sontag, przywołując najsłynniejszy i najczęściej publikowany portret Cappy z 1937 r., wykonany przez Gerde Taro, nie podaje nazwiska autorki.

Wpływ na takie potraktowanie spuścizny Taro miała z pewnością jej przedwczesna i tragiczna śmierć 27 lipca 1937 r. Dwa dni wcześniej fotografka namówiła amerykańskiego dziennikarza Teda Allana do wspólnej wyprawy na front niedaleko miejscowości Brunete w pobliżu Madrytu. Gerda wybierała się wkrótce do Paryża i chciała przywieźć nową porcję zdjęć z kończącej się tam właśnie bitwy. Wracając, obydwójce wsiedli do samochodu transportującego rannych. Kolumna wojskowa, w której się poruszali, została zaatakowana przez samoloty i jeden z czołgów w powstałym zamieszaniu stoczył się na sanitarkę, którą jechali Taro i Allan. Fotografka zmarła wskutek odniesionych ran następnego dnia.

Wiadomość o jej śmierci ukazała się we wszystkich gazetach i magazynach, a pogrzeb, który odbył się w Paryżu 1 sierpnia, stał się wielką polityczną manifestacją z udziałem dziesiątek tysięcy ludzi, w tym wielu ówczesnych intelektualistów.



W PROGRAMIE tegorocznej edycji Festiwalu Conrada znalazło się pasmo poświęcone twórczości fotograficznej **Gerdy Taro**, w ramach którego odbędą się m.in. następujące wydarzenia:

10.10.2021, godz. 18.00
Wojna, rewolucja, protest w kobiecym obiektywie

Wernisaż wystawy fotografii
Artystki: Gerda Taro,
Nadia Bużan, Lesia Pcholka
i Wolha Szukajta
Kuratorki: Iwona Demko
i Renata Kopyto
Czas trwania wystawy:
10.10.2021 – 24.10.2021
Miejsce: Galeria Domu
Norymberskiego,
ul. Skąteczna 2, Kraków

17.10.2021, godz. 16.30
Gerda Taro
– świadkini historii

Rozmowa z Fernando
Olmedą, autorem biografii
Gerdy Taro
Prowadzenie: Nina Pluta
Tłumaczenie symultaniczne

z języka hiszpańskiego
Miejsce: Instytut
Cervantesa,
ul. Kanonicza 12, Kraków

17.10.2021, godz. 18.30
W ogniu walki

Dyskusja z udziałem
Heleny Janeczek, autorki
książki „Fotografka”,
i Irme Schaber, autorki
biografii Gerdy Taro.
Prowadzenie:

Grzegorz Jankowicz
Tłumaczenie symultaniczne
z języka niemieckiego
Miejsce: Pałac Potockich,
Rynek Główny 20, Kraków

Pełną listę wydarzeń z pasma
znajdą Państwo na naszej
stronie internetowej:
www.conradfestival.com

Stykówka zdjęć Gerdy Taro z reportażu „Kostnica i szpital”,
na wystawie „La Maleta Mexicana” („Meksykańska walizka”).
Miasto Meksyk, luty 2014 r.

stów i działaczy partyjnych. Nagrobek pochowanej na cmentarzu Père-Lachaise Taro wykonał, prawdopodobnie na zlecenie Louisa Aragona i Tristana Tzary, Alberto Giacometti.

7. Kiedy w 1940 r. niemieckie wojska wkroczyły do Paryża, Imre Weisz, fotograf i przyjaciel Cappy, postanowił uratować zdjęcia, które znajdowały się w atelier należącym do fotoreporterów. Spakowane i szczegółowo opisane negatywy opuściły Francję w poczcie dyplomatycznej i dotarły bez szwanku do Meksyku, gdzie przeleżały zapomniane przez prawie pół wieku. Odkrył je przez przypadek Benjamin Traver, filmowiec i kuzyn meksykańskiego generała, przeglądając rzeczy pozostawione mu przez wujka w spadku. Wiele kolejnych lat upłynęło na negocjacjach, po zakończeniu których „meksykańska walizka” trafiła do archiwum Roberta Cappy w Nowym Jorku. Wśród uratowanych zdjęć

było około 800 negatywów należących do Gerdy Taro.

Inaczej niż w przypadku Chima i Roberta Cappy, którzy po II wojnie byli współzałożycielami słynnej agencji fotograficznej Magnum, dbającej o prawa należących do niej fotografów, prace Taro uległy rozproszению i zapomnieniu albo zostały przypisane (świadomie lub nie) Robertowi Capie. Irme Schaber publikuje rewery niektórych jej zdjęć, gdzie pieczętka lub napis „Foto Taro” zostają przekreślone i zastąpione stemplem „Photo Robert Capa” lub „Capa/Magnum-Credit”. W recepcji twórczości Cappy, który zginął od wybuchu miny na wojnie w Indochinach w roku 1954, Taro pojawia się nie jako zawodowa partnerka, tylko jako przyjaciółka i ukochana, jedyna wielka miłość o tragicznym finale.

Okres zimnej wojny, a szczególnie era McCarthy’ego w USA nie sprzyjały afiszowaniu się z lewicowymi poglądami. Capa został więc zaangażowanym anty-

faszystą, a Taro walczącą komunistką. To także wpłynęło na zainteresowanie jej spuścizną na Zachodzie. Przełomem były wielka wystawa „Spanya 1936-1939” na weneckim Biennale w 1976 r., gdzie wśród prezentowanych zdjęć znalazły się także fotografie Taro, oraz kwerenda, jaką wykonał Richard Whelan, szukając materiałów do książki o Capie. Wertując paryskie archiwa natrafił na tak wiele publikacji, których autorką była Taro, że nie mógł ich zignorować.

Fotografia – jak pisze Sontag – najmocniej wbija się w pamięć, która działa na zasadzie stopklatki, jest jak cytat, jak przysłowie. Obok niedającego się zapomnieć zdjęcia „Upadającego milicjanta” Roberta Cappy warto zapamiętać także fotografię milicjantki, która w butach na obcasach i z rewolwerem w ręku celuje do niewidzialnego wroga.

Gerda Taro uchwyciła na niej nie tylko kawałek historii, ale także przewidziała przyszłość.

© RENATA KOPYTO

MYŚMY WSZYSTKO ZAPOMNIELI

KACPER POBŁOCKI:

Czas pańszczyzny to przemoc, której już nie znamy,
ale też wolność, której już nie mamy.
Drastyczność stosowanych przez panów kar
wynikała z tego, że ich władza
stała na glinianych nogach.

MICHAŁ OKOŃSKI: Raz jeszcze
przepraszam.

KACPER POBŁOCKI: Naprawdę nie ma
o czym mówić.

A moim zdaniem jest. Mieliśmy się
spotkać przed wakacjami...
...i rozchorowały się nam dzieci. Normalne rzeczy.

Niby normalne, ale kiedy mówiłem
w redakcji, że musieliśmy przetożyć
wywiad, uświadomiłem sobie, że
czuję się winny. I że to poczucie
winy może się wiązać z tematem
naszej rozmowy.

Chciał pan, jak pamiętam, szukać śladów pańszczyzny we współczesnym świecie.

I nieoczekiwanie znalazłem ją
w sobie. Znam moich szefów
i pracodawców od lat, uważam ich
za przyjaciół, a przecież czułem,
jakbym zachował się wobec nich
nie fair.

Ciekawe, że mówi pan: „pracodawcy”,
jakby oni coś panu dawali, byli pańskimi
dobroczyńcami... Przecież to pan pisze
teksty, robi dobre wywiady...

Czy ten będzie dobry, to się jeszcze
okaże.

Nie chciałem pisać w „Chamstwie”
o współczesności – czytelnik sam miał so-
bie dopowiedzieć, ile z piętna pańszczy-
zny przetrwało do dziś. Ale od premiery
upłynął już jakiś czas i ciągle słyszę opo-
wieści o tym, że ktoś się czuje, jakby pra-
cował w folwarku i był coś komuś winny.

Folwark wiecznie żywy?

Tak, choć tropienie śladów pańszczy-
zny nie jest proste. W dużej mierze mamy
przecież do czynienia z doświadczeniem
wirtualnym – takim, które trudno prze-
kazać z pokolenia na pokolenie. Wia-
domo, że pamięć rodzinna trwa zwykle
100-120 lat: ja wiem coś o moich przod-
kach żyjących pod koniec XIX w. Na po-
dobnej zasadzie ludzi mających kontakt
z doświadczeniem pańszczyzny spoty-

kano jeszcze we wczesnym okresie po-
wojennym. Ale dziś to świat tak odległy,
jak Łokietek czy Jagiełło.

**W Panu nic nie rezonowało podczas
pisania?**

Na świadomym poziomie nie, choć
pamiętam, że kiedy pracowałem nad
książką, przez media przetoczyła się ko-
lejna dyskusja o biciu dzieci.





KACPER POBŁOCKI jest antropologiem, pracownikiem naukowym Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych UW, wcześniej studiował i pracował m.in. w Central European University w Budapeszcie oraz w City University of New York. Opublikował m.in. „Kapitalizm. Historię krótkiego trwania” (2017) i „Chamstwo” (2021), będące pretekstem niniejszej rozmowy.

do stołu, nie siadała razem z nami, tylko wybierała taboret przy zlewie.

Teraz już Pan wie, dlaczego to robiła?

Kiedy pytałem o to ostatnio mamę, mówiła, że dla babci nie było miejsca przy stole, ale trudno mi to przyjąć: przecież jeśli się chce, to miejsce się zawsze znajdzie. Babcia była przez dziadka poniżana. Nie tylko babcia zresztą. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego uważał, że jest lepszy od innych. Sam przecież *de facto* był chłopem, jego ojciec przed I wojną światową stracił cały majątek, wraz z braćmi klepał biedę, ale poczucia wyższości się nie wyżył. Pamiętam, jak popisywał się rzekomą znajomością języków. „*To be or not to be, das is ein question*”, powtarzał.

Inna sprawa, że babcia potrafiła nam pokazać, co o tym wszystkim myśli: kiedy opowiadał jakieś niestworzone historie o tym, jak rzekomo był represjonowany w PRL-u, z wysokości swojego zydelka robiła minę i balon zostawał przekłuty.

Czyli nie bała się go.

Kochała go. Natomiast ja się go bałem. W przedpokoju wisiał bat, a on mógł go użyć.

To dlatego nie zdecydował się Pan przekazać jego nazwiska swojej córce?

Przyzwolenie na przemoc wobec dzieci to też piętno państwa?

Szerzej: patriarchalnego modelu porządku społecznego, w którym społeczeństwo trzymają w karchach różni „ojcowie”. Z tego, jak na mnie wpłynęła ta praca, zdałem sobie sprawę już po tym, jak oddałem „Chamstwo” wydawcy. Nie pisałem po to, by skonfrontować się z historią mę-

skiej przemocy w mojej rodzinie, ale teraz widzę, że ona i tak doszła do głosu. Moi przodkowie ze strony ojca należeli do kaszubskiej szlachty. Najsilniej odwoływał się do tej tradycji mój dziadek, który bił żonę. Kiedy byłem mały, zdarzało mi się spędzać u niego wakacje – dla mnie, wychowanego w robotniczej rodzinie z Bydgoszczy, było kompletnie niezrozumiałe, dlaczego babcia po tym, jak podała nam

→ Tak, chciałem, żeby związana z nim przemocowo-szlachecka tradycja się skończyła – córka nosi nazwisko żony.

Tak naprawdę chciałem posłuchać Pańskiej opowieści o Julii Iwanowicz, Aldonie Bulińskiej i Ewie Pobłockiej. O kobietach, które – jak Pan pisze w dedykacji do „Chamstwa” – nauczyły Pana słuchać i mówić.

Moja prababcia urodziła się w 1905 r. w Wilnie – i była wnuczką służącej na jednym z dworów Wileńszczyzny. Całe życie pracowała fizycznie. W trakcie I wojny światowej była dzieckiem ulicy, podczas II wojny samotną matką i uchodźczynią. Przeżyła prawie sto lat i jak byłem mały, a mama studiowała – po prostu mnie wychowywała. Była bardzo mądra i mogłem rozmawiać z nią o wszystkim.

Babcia z kolei była niezwykle ciepła i ciekawa świata. Obie z prababcią dużo czytały, choć z całego wykształcenia prababcia miała trzy klasy rosyjskiej szkoły, a babcia – urzędniczka w Społem – dopiero jako dorosła skończyła szkołę średnią. Jeśli dołożyć moją mamę, nauczycielkę po studiach, mamy tu opowieść o awansie społecznym.

O czym Panu opowiadały?

O życiu. Babcia była dzieckiem w czasie II wojny i wspominała, jak tamten świat wyglądał z jej perspektywy. Poczucie grozy i normalności równocześnie. Zabawy z innymi dziećmi nad jakimś wojskowym sprzętem, przypadkowo odpalony gaz bojowy, który powoduje, że wszyscy uczestnicy zabawy nagle zasypiają. Stan wiecznej niepewności. Ktoś znika, ktoś nagle ginie, jak mąż mojej prababci – zabity w Stutthofie, w sumie nie wiadomo dlaczego. Wspomnienie z wizyty na gestapo, które poinformowało o tej śmierci.

Kobiety opowiadają inaczej niż mężczyźni?

Kobiety opowiadają nieheroicznie. Mówią o przemocy i paskudnych rzeczach, a nie o oświeconych szlachcicach z dworku, którzy są panami życia. Kiedy wspominam opowieści o pradziadku, który przeżył cały majątek, mam poczucie, że to mógł być atrakcyjny wzorzec *bon vivanta* – miał przecież stanęta w białych rękawiczkach i karoce.

Nie pisałem po to,
**by skonfrontować się
z historią męskiej przemocy**

w mojej rodzinie, ale widzę,
że ona i tak doszła do głosu.

Ale ze wspomnień kobiet wyłaniał się człowiek mocno nieciekawym. Chyba już jako dziecko stanąłem po stronie kobiet i ich sposobu widzenia świata.

Wiem, że wielu czytelników po lekturze „Chamstwa” ma doła, ale pisząc w ogóle nie miałem poczucia, że to przynębiająca książka.

Ja też nie uważam jej za przynębiającą. Bo jednak spomiędzy obrazów świata przemocy i gwałtu wyłaniają się stale postaci jasne. I dochodzimy ostatecznie do jakiegoś katharsis. Pańszczyźniani chłopci nie są bierni, potrafią swoją traumę wyśpiewać, a nawet wytańczyć – i nie jest to taniec chocholi.

Tak to jest ustawione. Bardzo chciałem pokazać, jak kultura ludowa pomagała ludziom poradzić sobie w przemocowym świecie.

Najpierw jednak kazał nam Pan wejść pomiędzy szubienice...

...tak, ale nie musimy między nimi zostać. I już wtedy nie wszyscy zostawali. Z jednej strony to przecież prawda: choć Polska czasów pańszczyźnianych była, jak często szczycono się w historiografii, państwem bez stosów, to równocześnie była państwem pełnym szubienic. Z drugiej strony jednak drastyczność stosowanej przez panów przemocy wynikała tak naprawdę z tego, że ich władza opierała się na glinianych nogach. No i ludzie stale uciekali. Piszę sporo o czymś, co nazywam „bezpamiętstwem”: o życiu wolnych ludzi w lasach czy na terenach dzisiejszej Ukrainy. Oni wymiksowywali się z systemem i znajdowali wolność, której dzisiaj nie mamy.

Jak to?

Można by w skrócie powiedzieć, że taka właśnie jest konstrukcja książki: pierwsza część opisuje przemoc, której

już nie znamy, a druga wolność, której już nie mamy. Zaczął pan rozmowę od uwewnętrznionego przymusu pracy, a to coś, czego człowiek pańszczyźniany nie znał. Świetnie pokazywała to w swoich pracach o tzw. ludziach luźnych Nina Assorodobraj. Oni nie uważali, że sens życia ma się wyrażać przez pracę. Byli w ciągłym ruchu, żeby się zbyt mocno nie przywiązywać. Latem znajdowali jakieś dorywcze zatrudnienie, zimą zajmowali się zębractwem, które nie było nacechowane tak negatywnie – a wszyscy uważali, że należy im pomóc. Podobnie chłopci: uprawiali polećka i ogrody, żeby mieć co jeść, ale w czasach pańszczyźnianych praca nie była drogowskazem ludzkiego życia.

Kiedy czytałem „Chamstwo”, to był jeden z momentów, w którym chciałem stanąć po stronie tradycyjnego historyka i zapytać o statystyki. Obraz luźnych ludzi jest inspirujący, ale na ile było to zjawisko powszechne?

To było od kilku do kilkunastu procent społeczeństwa, w zależności od regionu. Proszę jednak pamiętać, że statystyki nie mówią wszystkiego. Odsetek więźniów w naszym społeczeństwie jest niewielki, ale sama świadomość istnienia więzień na nas oddziałuje. Podobnie się miała rzecz z tamtymi szubienicami. Nie każdego wieszano.

Oczywiście pisząc zastanawiałem się, jak często bito. Kazimierz Deczyński, którego cytuję, twierdzi, że był to element codzienności: wspomina swojego ojca wracającego z dworu z wyrwanymi włosami i podbitymi oczami.

Pisze Pan, że na hasło „Pan idzie” wszyscy uciekali.

Roman Rozdolski policzył, jak wielka była kwota odszkodowań, o które w zaborze austriackim mogli występować chłopci za niesłusznie wymierzone kary. A przecież ilu z poszkodowanych ani myślało znosić skargi na złe traktowanie? Ale kluczowy wydaje mi się strach, w którym trzeba było żyć. To, że cały czas trzeba się było oglądać za plecy. Czy nie spadnie uderzenie. Wspomnienia pańszczyźnianych chłopów i ich potomków są tego pełne, podobnie zresztą jak ludowe piosenki.

Wie pan, niektórzy mi zarzucają, że to jest książka rozedrgana.

Ona jest zbyt sprawnie napisana,
żeby ją uznać za rozedrganą.
Ale emocjonalna jest na pewno.

Bo ja nie uważam, że prawda leży pośrodku. Nie można opisywać przemocy tak, jak się opisuje budowę pantofelka. Uważam, że kiedy się o niej pisze, do przyjęcia są możliwe tylko dwie perspektywy: albo ofiary, albo sprawcy.

**Większość aktów przemocy
w tamtym świecie odbywała się
przy świadkach.**

I ten bierny, niemy tłum ma kluczowe znaczenie dla rozwoju wypadków. Kiedy się śledzi historię niewolnictwa, widzi się wyraźnie, że niewolnicy zawsze są mniejszością, że socjologicznie niemożliwe jest utrzymanie pod butem zbyt dużej populacji. W starożytności w niewolę mogły popaść różne osoby, czasami na skutek wypadku losowego: jeńcy wojenni, dłużnicy, nawet osoby niegdyś bogate. Ci ludzie pełnili dla pozostałych rolę straszaka – tak jak w Polsce pańszczyźnianej straszakiem dla tłumu były wspomniane szubienice.

**Pana zdaniem tłum miał wybór,
po której stronie stanąć?**

Na końcu rozdziału o szubienicach opowiadał o dwóch chłopach, którzy ukradli kilka snopków zboża z dworskiego pola. Dziedzic zwołał gromadę i w jej obecności kazał ich powiesić. Gromada stanęła za nimi: błagała pana o litość, całując jego stopy. Pomogło. Karę zamieniono na bicie, a pan wołał do karbowych: „Lepiej bijcie, bo i wy będziecie bici”. Dla niego szubienica była po to, by można było karę odwołać. Darując życie, przejąc je na własność. I dać komunikat nie dwójce „winowajców”, ale całej wsi.

**Nieunikniona reakcja czytelniczka
jest i taka: po której stronie byli
moi przodkowie?**

Wiele osób zna odpowiedź na to pytanie. Ale niektórzy konfrontują się z niewiedzą. A może pracowali na dworze? Byli karbowymi? Uczestniczyli w systemie przemocy? Nie jest łatwo skonfrontować się z tym pytaniem – i ja tą trudnością tłumaczę część reakcji na „Chamstwo”.

**Wiele osób powtarza raczej
opowieść o tym, że panowie,
którzy rządzą, byli tak naprawdę**

Dekoracje się zmieniły,
**prezes Kaczyński
nie nosi kontusza,**
ale mechanizm się zgadza.
Żyjemy w folwarku.

**dobrzy. Nawet jeśli czasem surowi,
to sprawiedliwi wobec chytrych
i leniwych chłopów.**

Spółeczeństwo oparte tylko na biciu nie byłoby w stanie funkcjonować. Obok przemocy musi być pomoc, która skleja to, co rozbiła przemoc. No i trzeba pamiętać, że „dobry pan” stoi na tyle wysoko w hierarchii, że już nie musi bić – ma od tego innych. Jak Jarosław Kaczyński, który swego czasu mówił w Sejmie: „Tak, jesteśmy ludzkimi panami”. Niech pan zwróci uwagę: o PiS-ie często się mówi, że jest partią ludową, reprezentującą prowincję, ale przemieszanie przemocy i pomocy, niewiara w moc instytucji, klientelizm i obsadzanie wszystkiego swoimi ludźmi (często członkami rodzin) to nie są ludowe strategie.

**Kaczyński jako dobry pan?
Nie powiedziałbym.**

A ja bym powiedział. Kiedy przywołuję tę figurę, widzę inteligenta z Żoliborza, odtwarzającego dawny model funkcjonowania polskiego społeczeństwa, czelny i zrozumiały niejako na poziomie trzewi. Dekoracje się zmieniły, prezes nie nosi kontusza, ale mechanizm się zgadza. Żyjemy w folwarku.

**Czytał Pan recenzję „Chamstwa”
w prawicowych mediach?**

Mam wrażenie, że wielu czytelników o poglądach konserwatywnych po prostu tę książkę wypiera, podobnie zresztą jak inne publikacje z nurtu zajmującego się ludową historią Polski.

**No nie, ja raczej słyszę, że tu nie ma
nic nowego. Antologia znanych
cytatów i podążanie za modą.**

Ależ w tym nie ma nic modnego! Na świecie książki o podobnej wrażliwości są w totalnym mainstreamie i w tym sensie moje pokolenie badaczy nadrabia tylko wieloletnie zaległości. Reakcje prawicowych mediów są mocno rozczarowujące.

Trochę epitetów, typu „stek bzdur”, i trochę przypisywania mi niecných intencji – prof. Andrzej Nowak np. mówi, że chodzi o afirmację chamstwa i zniszczenie wspólnoty. Gdzie konkretnie te bzdury, to już nie bardzo wiadomo, podobnie jak nie wiadomo, czy ta wspólnota obejmowała klasy ludowe.

**Może z okien dworku nie wszystko
widać.**

Trafiłem ostatnio na komentarz jednej z czytelniczek „Chamstwa”, który świetnie oddaje ten dysonans między perspektywami dworu i wsi. Przeczytać panu?

Poproszę.

„Kiedy czytałam o dziejach ziemianstwa wielkopolskiego, Twardowszczyk z Kobylnik byli ukazani jako wzór cnót, patrioci, gospodarni, uczciwi. Miałam okazję rozmawiać w latach 90. z ludźmi wychowywanymi w ich majątku i ich wspomnienia różowe nie były. Dziewczyna poparzona przy parowaniu ziemniaków konała trzy doby. Nie stać ich było na zapłacenie lekarzowi, żeby chociaż zminimalizował ból. Płacili ludziom nie pieniędzmi, a tym, co zbywało. Przez jedną zimę ich robotnicy jedli głównie kapustę, bo pan płacił za pracę kapustą. Wybudował szkołę dla dzieci, ale dzieci do szkoły nie chodziły, bo matki bały się puszczać zimą bose dzieci”.

To oczywiście opis rzeczywistości z okresu międzywojennego, ale pamiętajmy, że folwarki zlikwidowano dopiero w 1944 r. Dopytałem i okazało się, że kustoszka ludowej pamięci o tamtym świecie była Eleonora Kwiatek z wielkopolskiego Szczuczyna. Więc znów mamy przekaz kobiecy, który tak bardzo różni się od oficjalnych opracowań na temat dobrych panów.

**„Myśmy wszystko zapomnieli
/ mego dziadka piłą rżnęli”, stało
w „Weselu”. I faktycznie: myśmy
wszystko zapomnieli, ale nie
przemoc chłopów wobec panów
w czasie rabacji. Raczej odwrotnie.**

Ale trudno się temu zapomnieniu dziwić. Po pierwsze, sprawca przemocy zawsze będzie ją minimalizował. Po drugie, bycie ofiarą jest niewygodne, upokarzające, a czasem wstydlive. Doświadczenie przemocy rzadko jest werbalne, ono jest raczej ucieleśnione. O tym, co się dzieje w ciele, mówi się trudno. O tym, jaką

→ postawę przyjmuje ciało krzywdzone. Jak się zamraża i zamyka. No i, jak wspominałem, nie ma już ludzi, którzy przekazaliby opowieść o tamtych traumach następnym pokoleniom. W okresie PRL-u umarli ostatni świadkowie pańszczyzny, a szkoła, owszem, niby przekazywała obraz chłopca w dybach, ale wyprany z kontekstu. Szlachetnie opowieści były bardziej nobilitujące i miały siłę przyciągania.

Wracam do tego, że odbiorcą aktu bicia nie byli ci, których uderzał kij karbowego, ale ci, którzy się temu przyglądali. Oni mówili: dobrze, ja nie chcę być bity. Może pójść na służbę do dworu i nie będę musiał dzięki temu odrabiać pańszczyzny. Może zostanie wykonawcą pańskich poleceń. Najlepszym sposobem zagwarantowania sobie tego, że nie będziesz bitym, było zostanie bijącym.

Cena pójścia na służbę też była straszliwa. Pokazuje Pan los kobiet, które trafiały do dworu. To był świat przemocy seksualnej.

Jestem antropologiem, a antropolog pyta zwykle, co to znaczy w danej kulturze być człowiekiem. Mam wrażenie, że w kulturze pańszczyźnianej pełnoprawnym człowiekiem jest tylko pan. Gdyby wyobrazić sobie drabinę społeczną i spróbować zbudować w niej hierarchię, uwzględniając różne odcienie tożsamości, to mężczyzna – chłop pańszczyźniany – stał na niej dużo wyżej niż dziewczka z biednej rodziny oddana na służbę do dworu. Ona nie miała absolutnie nic, nawet swoim ciałem nie mogła dysponować. Józef Ignacy Kraszewski pisze o tym otwartym tekstem w „Ulanie”, ta rzeczywistość jest znana i opisana, tylko empatii wobec ofiar brakowało.

Ale są i inne powody tego, że „myśmy wszystko zapomnieli”.

Na przykład?

Na przykład swoisty pakt między przedstawicielami szlachty (czy też inteligencji) a chłopami mającymi już ziemię na własność, do jakiego doszło po zniesieniu pańszczyzny. U Jakuba Bojki w często przeze mnie cytowanej książce „Dwie dusze” mamy zarówno opis świata pańszczyźnianego, jak i wyrażone wprost przekonanie, że trzeba o tym zapomnieć. Otworzyło się okienko społecznej mobilności, chłopcy mogli mieć ziemię – mogą niekiedy stać się panami. Przywódcy klasy ludowej uznają wówczas, że to, co

Chłop pańszczyźniany
stał i tak dużo wyżej
w hierarchii niż dziewczka
oddana na służbę do dworu.
Ona nie miała absolutnie nic,
**nawet swoim ciałem
nie mogła dysponować.**

zyskują, jest ważniejsze od rozdrapywania starych ran. „Chłopi nie po to mają oczy z przodu, żeby patrzeć wstecz”, powiada Bojko. Trudno tego pragmatyzmu nie rozumieć.

No to czemu Pan wraca do tamtego świata?

Mówiłem już: bo wszyscy do tego wracają. Bo dziwnym trafem ciągle się o tym mówi. Mam 40 lat, debatę publiczną śledzę pewnie ze 20 lat i ciągle się w niej pojawiają tematy mentalności folwarcznej czy piętna pańszczyzny.

Wie pan, jak to się wszystko zaczęło? Większość edukacji odbyłem za granicą, ale w 2011 r. dostałem ofertę pracy na polskiej uczelni i z niej skorzystałem. Wylądowałem w Zakładzie Etnologii Polski na poznańskim UAM. Siedziałem w pokoju ze starym profesorem i zapytałem go, czy mógłby mi polecić książkę, która opisuje życie codzienne chłopca pańszczyźnianego. Zdębiał. Nie dość, że nie było takiej książki, to nie przyszło mu do głowy, że można by ją napisać. Nawet w PRL-u, który rzekomo traktował ów temat jako ideologicznie słuszny. Uderzył mnie ten dysonans: wszyscy mówią, że ta pańszczyzna nas ukształtowała, ale nawet nie wiadomo, czym ona *de facto* była. Jak wyglądała na co dzień.

Dwie nieobecności w Pańskiej książce mnie zastanawiają. Pierwsza to Żydzi.

Będą w drugim tomie, o mieście. Ten pierwszy jest o relacji pany–chamy, na trzeci element, Żydów, zwyczajnie nie starczyłoby miejsca.

No bo to jest pytanie o antysemityzm klasy ludowej. O jego skalę i przyczyny.

W paru miejscach tego dotykam. Był np. bunt chłopski na ziemiach Radziwiłłów w XVIII w., totalnie antysemicki. Ale to jest tak wielki temat, że wstawienie go do „Chamstwa” rozsądziłoby książkę.

Drugi nieobecny to Kościół.

Jestem wprawdzie osobą niewierzącą, ale traktuję religię jako niepomijalny element opisywanej rzeczywistości. Zwłaszcza że ma ona potężny potencjał emancypacyjny: pierwsze lewicowe ugrupowania w Europie i w Polsce chętnie się do niej odwoływały. Ale zmierzenie się z tematem Kościoła rozsądziłoby książkę, podobnie jak kwestia żydowska.

Ja sobie pomyślałem, że chodzi o tykające bomby, których bezpieczniej było nie rozbierać.

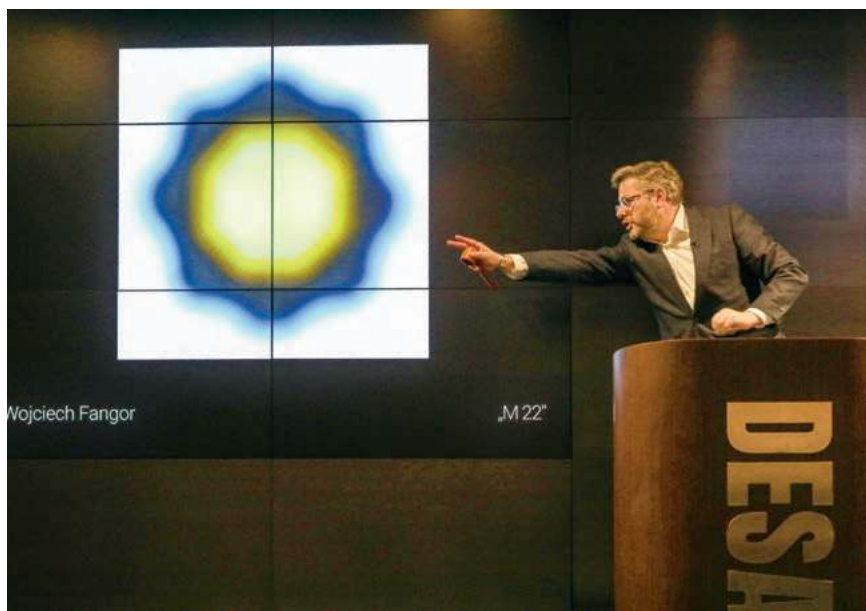
Może tak – i może właśnie to próbuje powiedzieć, mówiąc, że temat był zbyt obszerny. Wskazał pan dwa fundamentalne mankamenty tej książki i mam poczucie, że w normalnym kraju każda krytyczna recenzja byłaby właśnie o tym. Ale prawni krytycy jakoś na to nie wpadli.

Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi zarzucił Pan pedofilię: myślałem w tym kontekście, czy nie pytać o zmianę nazw ulic jego imienia. Wyznam, że sam chętnie zamieszkałbym przy ulicy Jakuba z Kalinówki, uczestnika opisywanego przez Pana synodu ariańskiego w Iwii, sprzeciwiającego się „teologii zniewolenia”.

Rozdział o synodzie jest dla mnie najważniejszy z całej książki. Pisząc go, utwierdziłem się w przekonaniu, że stosunek do przemocy już w tamtych czasach był tematem numer jeden i że już wtedy byli ludzie, którzy nie chcieli żyć w społeczeństwie opartym na ucisku. Co więcej: mieli kontrpropozycję teologiczną i polityczną.

Dla mnie to kluczowa sprawa: nie ma czegoś takiego, jak anonimowe siły historii. To, co my nazywamy historią, i z czym się musimy mierzyć, jest zawsze efektem ludzkich decyzji. Polska stała kiedyś na rozdrożu: można było pójść drogą folwarczno-patriarchalną, ale można było pójść drogą ariańską. To, że wybrano model folwarczno-patriarchalny, ma konsekwencje, które – jak pokazuje cała nasza rozmowa – są odczuwalne do dziś.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI



Obraz Wojciecha Fangora „M22”
sprzedano za kwotę 6,2 mln zł.
Warszawa, 3 grudnia 2020 r.

Gdzie znaleźć sztukę i po ile

PIOTR KOSIEWSKI

Silna obecność młodego malarstwa na polskim rynku sztuki pokazuje, jak sprawnie i szybko udaje się dziś promować nowe, zresztą bardzo ciekawe nazwiska. Ale może też świadczyć o swoistym konserwatyzmie kupujących.

PODCZAS TEGOROCZNEJ, JEDENASTEJ edycji Warsaw Gallery Weekend (od 30 września do 3 października) można było obejrzeć 33 wystawy specjalnie z tej okazji zorganizowane w 31 galeriach. Większość ekspozycji pozostanie czynna do listopada. To największa, jeżeli chodzi o skalę, impreza poświęcona sztuce współczesnej w Polsce.

Początkowo była pospolitym ruszeniem młodych marszandek i marszandów, by łącząc siły dotrzeć do szerszego odbiorcy. Z czasem coraz bardziej się profesjonalizowała i z demokratycznie zarządzanej inicjatywy stała się sprawnie działającą instytucją prowadzoną przez specjalnie w tym celu stworzoną spółkę. Na jej przykładzie dobrze widać też, jak zmieniło się życie artystyczne w Polsce i jego instytucjonalne otoczenie. Podkreślają to organizatorzy, wydając z okazji tegorocznej edycji Weekendu książkę pod

znamiennym tytułem-deklaracją „Tu jest sztuka”, przedstawiającą, jak mówią jej autorzy Ewa Borysiewicz, Łukasz Gorczyca i Adam Mazur, historię tworzenia rynku sztuki współczesnej, ale też budowanie dla niej nowej przestrzeni społecznej.

Budowanie rynku sztuki

Zręby rynku sztuki w wolnej Polsce budowały dwie krakowskie galerie: powstały w 1985 r. i początkowo nieprowadzący działalności komercyjnej Zderzak oraz stworzona w 1989 r. Starmach Gallery. I długo były jedynymi. Zmiana nastąpiła na początku obecnego stulecia. W 2001 r. rozpoczęły działalność Raster i Fundacja Galerii Foksal (FGF). W 2004 r. powstała Galeria Le Guern, a w kolejnym lokal_30. W 2007 r. utworzono LETO. Od tego czasu regularnie pojawiają się kolejne inicjatywy (nie wszystkie do dziś przetrwały).

Do najnowszych należą Gunia Nowik Gallery otwarta w 2021 r. i debiutująca we wrześniu tego roku Import Export założona przez Piotra Bazylkę, autora (z Krzysztofem Masiewiczem) cenionego i trzykrotnie wydawanego „Przewodnika kolekcjonera sztuki najnowszej” oraz osobę, która stała się symbolem współczesnego kolekcjonerstwa w Polsce.

Wszystkie te galerie działają w Warszawie. Wspólny dla nich jest autorski charakter, a także coraz większa profesjonalizacja obsługi zarówno artystów, jak i kupujących. Dziś galerie prywatne stały się sprawnymi narzędziami promocyjnymi, biorą udział w targach sztuki, również tych najważniejszych, jak Art Basel, Frieze London czy Frieze New York. A Polska, zwłaszcza Warszawa, wyróżnia się wśród innych krajów naszego regionu.

Przewartościowania czasów pandemii?

Wykorzystując swój formalny status – prowadzenie działalności gospodarczej – większość z galerii, inaczej niż wiele instytucji publicznych, mogła w miarę normalnie działać podczas kolejnych lockdownów. Jednak ograniczenia w podróżowaniu i odwołanie tradycyjnych targów sztuki, a co za tym idzie: widoczny także w wielu innych krajach zwrot ku lokalności, wymusiły rewizję wielu dotychczasowych założeń.

Pandemia, podkreśla Piotr Bazylko, „uzmysłowiła nam, że nic nie jest dane raz na zawsze, że nagle może wszystko się zmienić i to początkowo zmienić na gorsze”. Ale też, jak zwraca uwagę kierujący Piktogramem Michał Woliński, była „katalizatorem zmian, które już postępowały, np. przenoszenia części aktywności do internetu, rozwijania formatu *online viewing rooms*, platform internetowych, używaniem Instagrama, *e-commerce*. To doprowadziło do zwiększenia transparentności – ujawniania cen”.

Co więcej, dodaje, „pandemia nałożyła się na okres, w którym spadły stopy procentowe, pieniądź tracił na wartości, zniknęły formy inwestowania proponowane przez np. fundusze inwestycyjne. W związku z tym ludzie z zasobami gotówki zaczęli inwestować ➔

→ w nieruchomości, ale i w sztukę”. Jednak nie tylko o inwestycję chodzi. Ludzie zaczęli też „przywiązywać większą wagę do tego, w jakiej jakości otoczeniu przebywają”. Bo, jak dodaje Piotr Bazylko, „zamknęci w domach zobaczyli, jak puste i bezduszne są one bez sztuki. Mieli też więcej czasu, więc szukali. Ale nie fizycznie w galeriach, tylko w internecie. To wielka zmiana”.

Inny rynek sztuki

Wszystkie te zmiany wymusiły przemieszczenie funkcji galerii prywatnych, ich pozycji wobec instytucji publicznych, ale też rynku sztuki, w tym domów aukcyjnych. W Polsce szczególnie istotny jest stosunek do tych ostatnich, jak bowiem podkreślają autorzy książki „Tu jest sztuka” – „sukces pierwszej generacji galeryjnej zyskuje teraz potwierdzenie na rynku wtórnym”. Co więcej, w ostatnich latach wzrosło znaczenie domów aukcyjnych. Według danych artinfo.pl obroty na aukcjach w 2020 r. wyniosły 380 mln zł (z 467 aukcji – najwięcej w historii). W porównaniu z 2019 r. nastąpił wzrost o 29 proc. O 85 mln zł wzrosła wartość sprzedaży. Nigdy wcześniej polski rynek dzieł sztuki nie był tak silny i tak mocno zwyczajujący.

Nie mniej istotna była zmiana zainteresowań kupujących. Coraz więcej uwagi przyciąga sztuka powstała w drugiej połowie XX w. Najdroższą pracą w 2020 r. był obraz Wojciecha Fangora „M 22” z 1969 r., sprzedany za 6,2 mln zł (do wszystkich cen trzeba doliczyć opłaty aukcyjne). W pierwszej dziesiątce najdrożej sprzedanych znalazły się także: kolejne płótno Fangora (2,3 mln), jeden z „obrazów liczonych” Romana Opalki (3,1 mln) oraz rzeźba Igora Mitoraja (2,35 mln). Zmiana dotyczy także twórczości powstającej po 1989 r. Na wrześniowej aukcji Desy „Sztuka współczesna. Nowe pokolenie po 1989” obraz Agaty Bogackiej sprzedano za 120 tys. zł, Piotra Ukińskiego za 230 tys., a Rafała Bujnowskiego za 130 tys. zł.

Zmieniły się też same domy aukcyjne. Nie chodzi jedynie o ich pozycję na rynku – w 2020 r. Desa zajęła 8. miejsce wśród europejskich domów aukcyjnych pod względem wysokości obrotów. Z założenia stanowiły one bowiem, jak podkreśla Michał Woliński, „segment rynku wtórnego, czyli odsprzedawały np. spuściznę po zmarłym kolekcjonerze nieżyjących artystów. Obecnie bardzo aktywnie

Jeśli w Warszawie
rynek sztuki
**ciągle jeszcze jest
bardzo słabo rozwinięty,**
to na peryferiach
wręcz raczkuje
lub nie ma go wcale.

wchodzą w pole działania rynku pierwotnego, czyli galerii reprezentujących i ściśle współpracujących z artystami, dzielących się z nimi zyskiem bezpośrednio”.

Niestety, dodaje Woliński, „czasami taktyki stosowane przez domy aukcyjne przynoszą negatywne skutki dla żyjących, a zwłaszcza młodych artystów – np. podgrzewanie zainteresowania danymi nazwiskami powoduje niekiedy pompowanie baniek spekulacyjnych, zjawiska takie jak *art flipping* (skupowanie nisko wycenianych prac, tworzenie szumu medialnego i szybkie odsprzedawanie z zyskiem tych prac na aukcjach). To może zniszczyć karierę artystów, która rozwija się w oparciu o długofalowe budowanie reputacji, korelację ich pozycji z obecnością w instytucjach – na wystawach i w kolekcjach instytucjonalnych”.

Malarstwo przede wszystkim

Na przykładzie wystaw przygotowanych na tegoroczny Warsaw Gallery Weekend dobrze widać strategię przyjmowaną przez poszczególne galerie. W Rastrze otworzyła się pierwsza od dawna w Polsce wystawa Marcina Maciejowskiego, tym razem poświęcona naszemu dziedzictwu oraz... kobietom. W FGF niepokojące płótna Piotra Janasa zestawiono z najnowszymi rzeźbami Moniki Sosnowskiej; Sosnowska odeszła w nich od starannie wykonanych obiektów na rzecz bardziej nieuporządkowanych form, w których metal połączyła z kawałkami betonu, swym kształtem przypominającymi biologiczne struktury.

Malarstwo w ogóle było silnie obecne. Mocne obrazy Zuzanny Bartoszek znalazły się w Galerii Stereo. W Gunia Nowik Gallery pokazano prace Jakuba Glinńskiego, jednego z najciekawszych malarzy młodego pokolenia. Podobnego wy-

boru dokonał lokal 30, przygotowując obszerny przegląd obrazów przykuwającego coraz większą uwagę Jana Moźdzynskiego, a HOS Gallery wystawiła Konrada Żukowskiego, którego płótna zaludniają fantastyczne stwory jako zapis marzeń sennych, fantazji, lęków. Znacznie mniej miejsca poświęcono nowym mediom.

Nadal silny jest nurt przywracania pamięci o dorobku neoawangardy i innych ważnych zjawiskach w sztuce drugiej połowy XX w. Mająca swą stałą siedzibę w Gliwicach ESTA przygotowała przekrojowy pokaz twórczości jednego z najciekawszych twórców ostatnich dekad PRL-u Andrzeja Paruzela. Z kolei w Monopolu znalazły się prace Gabriele Stötzer, która należała do środowiska progresywnej sceny undergroundowej NRD. W niezwyklej wnętrzu warszawskiego klubu tanga Złota Milonga, mieszczącym się w pawilonie przy Przemysłowym Instytucie Elektroniki, przykładzie architektury późnego modernizmu, Zbigniew Libera przypomniał legendarny „zamknięty” gliwicki pokaz fotografii zorganizowany w 1959 r. przez Jerzego Lewczyńskiego, Zdzisława Beksińskiego i Bronisława Schlabsa.

Silna obecność młodego malarstwa pokazuje, jak sprawnie i szybko udaje się dziś promować nowe, zresztą bardzo ciekawe, nazwiska. Ale też może świadczyć o swoistym konserwatyzmie czy zachowawczości tych, do których adresowana jest galeryjna oferta, w tym przede wszystkim kupujących. Narzuca się pytanie, czy uda się szerzej zainteresować kolekcjonerów sztuką wideo i instalacjami. Coraz większym ograniczeniem może się też okazać skupienie się galerii przede wszystkim na krajowym podwórku.

Nasze podwórko

Warsaw Gallery Weekend wyraźnie pokazuje centralizację życia artystycznego w Polsce. Przez chwilę wydawało się, że ważnym miejscem na mapie, wraz z pojawieniem się grupy młodych artystów, m.in. grupy PENERSTWO, stanie się Poznań. Tym bardziej że tamtejsze młode pokolenie historyków sztuki zaczęło zakładać galerie. Cóż z tego, skoro najciekawsze z nich – działająca od 2005 r. Galeria Pies (jej twórca Dawid Radziszewski prowadzi dziś jedną z najważniejszych galerii w stolicy), założony 2007 r. Starter oraz w 2009 r. Stereo – ostatecznie przeniosły się do Warszawy.

Nie oznacza to jednak, że nie ma ważnych galerii poza stolicą. W Krakowie do Zderzaka i Starmach Gallery dołączyły m.in. Konkluzje. W Katowicach działa Szara, a Poznaniu m.in. założona w 2003 r. z inicjatywy Cezarego Pieczyńskiego Galeria Piekary oraz Rodríguez Gallery.

Lokalizacja większości galerii w stolicy – jak podkreśla kierującą tą ostatnią Agata Rodríguez – wpływa przede wszystkim na rynek sztuki współczesnej. „Jeśli w Warszawie ciągle jeszcze jest bardzo słabo rozwinięty, to na peryferiach wręcz raczkuje lub nie ma go wcale. Cierpią na tym także artyści, którzy chcąc związać swoją przyszłość ze sztuką współczesną bardzo często muszą przenieść się do Warszawy”.

„Sama sztuka – dodaje Rodríguez – na peryferiach prezentuje się dobrze, o czym świadczy ciekawy i oryginalny program lokalnych galerii publicznych, np. Galerii Arsenał w Poznaniu, Arsenau w Białymstoku, BWA w Zielonej Górze, Bydgoszczy itp.”. Jednak „dla pełnego, profesjonalnego rozwoju artystów i sztuki cenne jest, gdy instytucje i rynek sztuki działają razem i wzajemnie się dopełniają”.

Jest jeszcze jeden paradoks związany z rozwojem ruchu galerii prywatnych. Wraz z przekształceniem Weekendu w spółkę wycofały się z udziału w nim instytucje, dla których rynek nie jest głównym polem działania. Nastąpił wyraźny podział ról. Jednocześnie wiele galerii zajmuje się nie tylko opracowaniem dorobku artystów i jego popularyzacją. Na przykład w lokalu _30 od trzech lat są organizowane Seminarium Feministyczne, poświęcone związkowi feminizmu ze współczesną kulturą i sztuką. Galerie coraz większą rolę przykładają do kontaktów z publicznością (nie tylko z kolekcjonerami) i prowadzą działalność edukacyjną. Wreszcie to tam bywa pokazywana twórczość krytycznie odnosząca się do dzisiejszej społecznej czy politycznej sytuacji.

Być może nawet, jak podkreśla kierująca lokalem _30 Agnieszka Rayzacher w książce „Tu jest sztuka”, „rola warszawskich galerii ewoluuje coraz bardziej w kierunku tworzenia silnej, niezależnej sceny, skupiającej indywidualności”. I dodaje: że mogą one, „zachowując wszystkie proporcje, przejąć nawet role instytucji sztuki, jeśli zdarzy się tak, że wszystkie instytucje zostaną obsadzone przez Prawo i Sprawiedliwość”. © PIOTR KOSIEWSKI

ROMAN KOBENDZA / KAMPINOSKI PARK NARODOWY / MUZEUM WARSZAWY



Młode sosny wyrwane z korzeniami przez wiatr.
Kampinoski Park Narodowy, 1933 r.

Totalne zdziczenie

ADAM ROBIŃSKI

Urodzony w Kalkucie warszawiak opowiada o wizjonerach, którzy zasadzili las. Tym razem to nie stolica jedzie do puszczy, to puszcza gości na Starym Mieście.

POTRZEBA PARU CHWIL, ŻEBY ROZgryźć ten szkic. W oczu rzuca się przede wszystkim charakterystyczny pokrój sosny z wiechciową koroną. Pochyloną w lewo, co jest wymownym znakiem przyzwyczajenia wiatru. Ale jest też tło, które zbija z tropu: kropki przez trzy czwarte wysokości rysunku sugerują glebę lub piach. I wreszcie główna zagwozдка: pajęcza sieć korzeni, które strzelają z podstawy pnia drzewa, ale nie w dół, do wnętrza ziemi, tylko odwrotnie, ku niebu, jakby to był kandelabr. „System nowych korzeni o kierunku ujemnie geotropicznym” – fachowo oznajmia podpis. I jeszcze: „Rysunek wykonany na podstawie nieudanej fotografii”. I wiadomo już, że Roman Kobendza, botanik, dendrolog, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i ojciec parku narodowego w Puszczy Kampinoskiej, musiał być człowiekiem z poczuciem humoru.

Fotografii – udanych – zostawił po sobie masę. Świat jest na nich pełen

otwartych przestrzeni, a spękana gleba i wydymowe osuwiska od razu przywodzą na myśl oczywiste skojarzenia: oto otwarte rany ziemi pokiereszowanej przez pierwsze dekady XX wieku. Ale to będzie pójście na łatwiznę. Tak naprawdę na zdjęciach Kobendzy widać przede wszystkim coś o wiele potężniejszego: geologię. Spuściznę zlodowaceń, które uformowały krajobrazy centralnej Polski. Człowiek jest w tym wszystkim drobny i niepozorny: jak ubrana w kraciatą koszulę postać, która przycupnęła w okolicach Krzywej Góry, na zboczu wydmy wybebeszonej przez tory leśnej kolejki.

Czy może to być Jadwiga, żona profesora, geografka o imponującym dorobku naukowym? Podobno w teren zwykle chodzili razem. Razem studiowali zawiłe mechanizmy i relacje pomiędzy roślinami a glacialnym krajobrazem, ale każde z nich skupiało się na innych aspektach tego związku. Zresztą tylko ona żyła na tyle długo, by na własne oczy ujrzeć, jak ciałem



SAYAM GHOSH / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM WARSZAWY

Stacja meteorologiczna w Granicy, Kampinoski Park Narodowy.

→ staje się ich wspólne marzenie. Pracowali na nie przez kilka dekad. Lata 20. ubiegłego wieku to plany, szkice, wnioski do urzędów. Lata 30. – pierwsze rezerваты na północny zachód od stolicy. A potem, w czasach już powojennych, mozolna re-suscytacja lasu. Ostatecznie, gdy w 1959 r. ustanawiano Kampinoski Park Narodowy, tylko Jadwiga mogła przecinać wstęgi. Roman od czterech lat już nie żył.

Mosty i studnie

Jakim trzeba być wizjonerem, aby myśleć o drzewach i rezerwach, gdy płonie cały świat? To pytanie zdaje się punktem wyjścia do wystawy „Jak powraca las” Sayama Ghosha w nowej przestrzeni galerijnej Muzeum Warszawy. Tym razem to nie stolica jedzie do puszczy, to puszcza gości na Starym Mieście. Najważniejszy cel weekendowych wycieczek dla pokoleń warszawiaków i warszawianek sam wpada do miasta na spacer.

Jest w tym oczywiście element żartu, ale również obraz coraz powszechniejszego trendu bratania się pozornie odległych dziedzin. Uświadomiony antropocen to czas przerzucania mostów pomiędzy sztuką a historią naturalną. Uniwersa pozaludzkie albo – jeśli trzymać się definicji amerykańskiego filozofa Davida Abrama – więcej niż ludzkie, to głęboka studnia, w której świat sztuki, literatury i muzyki coraz częściej szuka paliwa i metafor.

Niezwykła jest w tym przypadku również osoba autora. Sayam Ghosh urodził się w Kalkucie, do Polski trafił osiem lat temu za pracę. Dla indyjskiego korporacyjnego giganta jako informatyk obsługiwał inne międzynarodowe firmy. Dziś, już z perspektywy Warszawy, gdzie założył rodzinę, buduje gry komputerowe.

„Jak powraca las” to efekt udziału w programie mentorskim fotograficz-

negu kolektywu Sputnik. Jego opiekunem był Adam Pańczuk, wystawiany na całym świecie fotograf. Kuratorem wystawy został inny z założycieli Sputnika, Jan Brykczyński.

Pytany o pierwszą wizytę w podwarszawskiej puszczy, Ghosh nie ukrywa, że to była randka. Do Palmir zabrała go koleżanka, przyszła żona. Zapamiętał miejsce o dwóch twarzach: przyrodniczej i historycznej, nośnik pamięci o tysiącach rozstrzelanych tam w czasie wojny warszawiaków. I niewiele więcej, bo płaskie jak naleśnik Mazowsze od początku za bardzo przypominało mu rodzinny Bengal. Sytuacja zmieniła się, gdy trafił na manifestację Młodzieżowego Strajku Klimatycznego.

– Studiowałem inżynierię w przekonaniu, że zawodowo zajmować się będę energią odnawialną. To miał być mój wkład w zmienianie świata na lepsze. Ale nic z tego nie wyszło, a ja trochę odetchnąłem, że wraz z Porozumieniami Paryskimi wreszcie coś zaczęło się dziać w kwestii redukcji emisji gazów cieplarnianych. Potem jednak, na początku 2019 r., po druzgocącym raporcie IPCC [Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu przy ONZ – AR] zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, że to wszystko takie pilne. Gorzej, nie wiedziałem też nic o ekologii i przyrodzie. Zacząłem dużo czytać na ten temat. W oko szczególnie wpadło mi chwytliwe angielskie sformułowanie *rewilding*.

Cele na przyszłość

Rewilding, czyli renaturyzacja albo po prostu ponowne zdziczenie. Odwracanie katastrofalnych dla świata naturalnego skutków rewolucji przemysłowej i rosnącej populacji ludzi. Problem w tym, że jest to często proces, dla którego punkt odniesienia pozostaje nieznanym lub dotyczy czasów, w których nikt nie prowadził badań naukowych. Zwykle więc z braku punktu zero sprowadza się go do usilnych starań o zwiększenie bioróżnorodności. Zwielokrotnienie liczby gatunków roślin i zwierząt, których obecność ma świadczyć o zdrowym funkcjonowaniu danego ekosystemu.

Obszar powtórnie zdziczały znalazł Ghosh właśnie w Puszczy Kampinoskiej, uznając ją za nośnik obszerniejszej narracji o naszych czasach. Kiedy stawała się parkiem narodowym, drzew było w niej dwa razy mniej niż dziś. Przez wieki kam-

pinoskie lasy traktowano jak każdy inny gospodarczy drzewostan (już w 1925 r. Stefan Żeromski pisał, że Puszcę Kampinoską trzeba odrodzić, a więc zasadzić na nowo). Po utworzeniu parku narodowego zaczęto wykupywać tereny okolicznych wsi i zalesiać dotychczasowe grunty orne. Było to możliwe, bo państwo polskie wyposażyło park w skuteczne narzędzia, m.in. specustawę i pieniądze na odszkodowania. Do połowy lat 90. większość puszczańskich wsi po prostu wyparowała. W efekcie Puszcza Kampinowska to na dużym obszarze las całkiem młody, starzejący się i dziczejący na oczach paru powojennych pokoleń. To dziczenie Ghosh pokazuje, choćby zestawiając zdjęcia satelitarne jednej z nieistniejących już wsi Ławy [pisaaliśmy o niej w „TP” 37/2017]. Choć obie fotografie dzieli jedynie szesnaście lat, postęp jest widoczny gołym okiem.

Studiując powojenną historię podwarszawskiego lasu, Ghosh tak naprawdę analizuje cele na przyszłość. Sprawozdając wizję małżeństwa Kobendzów, zdaje się mówić: róbmy to samo, co oni. A więc Puszcza Kampinowska jako prototyp albo zachęta do działania. Przy okazji odkrywa Romana Kobendzę jako utalentowanego fotografa, którego prace mają ogromny walor dokumentalny, ale i niemałą wartość artystyczną. Jest coś niezwykłego w zestawieniu dwóch otwierających wystawę kadrów, z których jeden pokazuje poniemiecką porębę, zgłiszczą lasu, drugi zaś tłum okutanych w kozuchy postaci z morzem sadzonek.

Ghosh mówi, by wędrując po Kampinosie czytać ten las jako zupełnie inną historię niż białowieska opowieść o lesie pierwotnym albo naturalnym. By przyglądać się zarówno wszędobyłskim korzeniom sosny, które drążą polodowcowy piach, jak i licznym gatunkom reintrodukowanym ręką człowieka: bobrom, łosiom czy dzwonecznikowi wonnemu, któremu szansę próbują dać w ostatnich latach pracownicy parku. Ghosh zgodziłby się więc zapewne z kulturoznawcą Piotrem Kubkowskim, który każe widzieć w podwarszawskim lesie coś na kształt fantazji o puszczańskości, teren popadający w pradawność dzięki stymulowaniu procesów wtórnego zdżyczenia przez naukowców i leśników.

– Widzę to jako rozłożony na dekady utopijny eksperyment przeprowadzony



Stacja monitoringu wody w Kampinoskim Parku Narodowym.

na niespotykaną w Europie skalę – tłumaczy Ghosh. – Porusza mnie perspektywa czasowa, którą operowali jego autorzy. W języku angielskim jest taki zwrot *cathedral thinking* na określenie myślenia długodystansowego. Katedry nie buduje jedno, lecz kilka pokoleń, jest jakiś plan, ale po drodze zmieniają się uwarunkowania, okoliczności, stan wiedzy, potrzeby. W przypadku puszczy niewiadomych jest jeszcze więcej, bo przecież mówimy po pierwsze o dynamicznych procesach naturalnych, po drugie o całej masie innych zmiennych: presji człowieka czy choćby zmieniającym się klimacie.

Granice dla nasion

To zapadające w pamięć spostrzeżenie – las jako Sagrada Familia w Barcelonie, przy czym architekci już dawno stracili pełną kontrolę nad projektem. Być może właśnie dlatego, że Ghosh zobaczył, jak trudne to przedsięwzięcie, udało mu się nawiązać owocną współpracę z pracownikami parku narodowego. Zdjęcia, których sam jest autorem, to często zabawa konwencją – za pomocą wizualizacji surowych danych ze skaningu lasowego pnia sosny proponuje autorską wizję wdrzewowstąpienia. Jako informatyk zainteresowany wysoką technologią zwraca uwagę na rurę do odkurzacza i kanister w funkcji stacji pomiaru opadów atmosferycznych. Albo na kilka cegieł, za pomocą których starą piwnicę zamieniono w pomieszczenie hibernacyjne dla nietoperzy.

Niczym uczeń na lekcji biologii zasuza na fotografii preparat z nawłocią ka-

nadyjską, która, jako roślina inwazyjna, spędza dziś sen z powiek parkowym botanikom. Przy okazji każe więc zastanowić się, czym jest w zglobalizowanym świecie bioróżnorodność. Czy powinniśmy wyznaczać granice dla nasion i migrujących ssaków? Za wszelką cenę walczyć o czystość gatunkową lokalnej przyrody czy uznać prawo organizmów obcych do dokonywania inwazji, których skutków dla ekosystemów zwykle nie da się przewidzieć? A może urodzony w Kalukie warszawiak pyta przy tej okazji o coś jeszcze?

Widz zadaje sobie także inne pytanie: jak wyglądałaby dziś Warszawa, gdyby nie przezorność Kobendzów i paru innych pasjonatów, którzy w wojennym mroku myśleli o drzewach? Którzy żyjąc w zrujnowanym mieście, wiedzieli, że wiele lat później potrzebować będzie ono zielonych płuc. I że tylko najwyższa forma ochrony zapewni tym płucom nietykalność. To wymowne, że złoty wiek polskich parków narodowych skończył się w latach 90. ubiegłego wieku. Od 2001 r., mimo paru projektów, nie powstał ani jeden nowy. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w realiach wolnorynkowego kapitalizmu kampinoski eksperyment po prostu nie miałby prawa się wydarzyć.

– Tak naprawdę fotograficzny projekt Sayama o wiele obszerniej opowiada o historii puszczy. Przygotowując wystawę, skupiliśmy się na samej renaturyzacji, zestawiając wysiłki powojenne z tymi dzisiejszymi – podsumowuje Brykczyński. – Chcieliśmy pokazać, jak wysoce technologiczny jest ten eksperyment. Ale tylko do pewnego momentu. W pewnym momencie i tak wszystko zostaje w rękach natury, którą mamy okazję podpatrywać tuż pod Warszawą.

A czasem i w jej centrum. Kto przez kilka jesienno-zimowych wieczorów trafi na rynek Starego Miasta, zobaczy wychodzącą z muzealnych okien kampinoską faunę – zarejestrowane przez parkowe fotopułapki wilki, borsuki, jelenie. Bo to, że łoś z krwi i kości czasem wałęsa się po ulicach Warszawy, mało kogo już tu dziwi. Dzięki sąsiedztwu puszczy miasto również trochę zdżiczało.

© ADAM ROBIŃSKI

Sayam Ghosh, **JAK POWRACA LAS**, kurator Jan Brykczyński, wystawa czynna do 30 stycznia 2022 r., Galeria Rynek 30, Muzeum Warszawy.

Osmalone gody

ANITA PIOTROWSKA

W tekstach kultury polskiej wesela kończą się zwykle ciężkim kacem, więc i tym razem przeznaczenie musiało się dopełnić. Pytanie, czy dzisiaj kaca poczują ci, którzy najbardziej go mieć powinni.

JUŻ W PIERWSZYCH SCENACH MAMY CZOŁowe zderzenie. Tuż przed ślubem ciężarna narzeczona odtwarza sobie filmik z położniczym USG, podczas gdy za ścianą jej sędziwy dziadek ogląda w telewizji drastyczne archiwalia z Holocaustu. Dalej będzie jeszcze bardziej na ostro: współczesna ślubna homilia o „nienarodzonych” i „tęczowej zarazie” przechodzi w antysemicką retorykę z przedwojennej ambony, kościelna ceremonia przenika się z żydowskimi zaślubinami, które rozpamiętuje zakochany ongiś w Żydówce senior rodu, wideo z wesela przeplata się ze zdjęciami nowej metody gazowania świń (ojciec panny młodej jest właścicielem zakładów mięsnych), a prząsne rytuały weselne przywołują wspomnienia nie tak znowu dawnych rytuałów przemocy.

Za sprawą dziadkowej demencji, mieszejacej ze sobą różne plany czasowe, przebiega w nowym filmie Wojciecha Smarzowskiego proces odpominania zbiorowej amnezji. Jak zwykle odbywa się to za pomocą siekiery, osinowego kołka oraz młotka – najważniejsze, że trafiają one celnie w rozmaite czułe punkty głęboko poukrywane w zbiorowym polskim ciele.

Ma się wrażenie, jakby twórca „Domu złego” zmapował i przeświecił ów chory organizm wyłącznie pod kątem rozmaitych dziedzicznych przypadłości. Bo-

haterami nowego „Wesela” są bowiem w większości „świniopolacy”, by posłużyć się alegorią Arta Spiegelmana z komiksu „Maus”, ogrywaną w filmie bez oglądania się na dobry smak. Ich nowym reprezentantem jest prowincjonalny przedsiębiorca Rysiek (Robert Więckiewicz), który z pompą wydaje córkę za mąż i równocześnie próbuje się odkuć w interesach. Z Niemcami w roli inwestorów i Rosjanami jako dostarczycielami nowej technologii uboju oraz z Ukraincami i Azjatami jako tanią siłą roboczą.

W ciągu weselnej nocy ożywają wszelkie możliwe upiory: chorobliwa chciwość i swojskie kręactwo, genetyczny antysemityzm i pospolite kibolstwo, „niewinne” rasistowskie wierszyki recytowane przez dzieciaki i wytatuowane na plecach swastyki. A do tego wódeczka lana szczodłą ręką i świeża kaszanka w darze dla księdza. No i na dokładkę sejf pełen brudnych pieniędzy schowany pod portretem JP II. Ulało się zatem sporo jadłowitego gniewu – na tę brzydką, acz zadowoloną z siebie twarz Polaka pograżonego w chronicznej niepamięci.

Ktoś powie, że wiele z tego już było w poprzednim „Weselu” z 2004 r. Szybko jednak okazuje się, że nowy obraz Smarzowskiego nie jest wcale poprawinowym sequelem, mimo fabularnych zbieżności i podobnych, grubo ciosanych postaci. Całość nie ogranicza się do prezentacji rodzimego buractwa i nie zostaje przykryta discopolowym kiczem. Niby wszystko kręci się wokół weseliska, zabieganego gospodarza i perypetii jego gości, ale historia co i raz zanurza się w Historii, a medium pomiędzy nimi stanowi wspomniany dziadek (w tej roli dziewięćdziesięcioletni Ryszard Ronczewski, zmarły na covid w trakcie zdjęć). To za jego sprawą ożywa na ekranie polsko-żydowska historia miłosna tudzież prze-



MATERIAŁ PRASOWY KINO ŚWIAT

szłość rodziny Wilków, rozpięta między dwoma totalitaryzmami. I naznaczona pewną kłopotliwą tajemnicą.

Stąd coraz płynniejsze stają się przejścia między wojennym wczoraj a weselnym dziś. Dziadek, niczym bohater filmu „Ojciec” grany przez Anthony’ego Hopkinsa, wnosi na ekran swoją dezorientację w przestrzeni i czasie. W jego głowie dawny sztetl i dzisiejsze miasteczko przy wschodniej ścianie Polski stają się jednym. Postacie z przeszłości, niczym zjawy w dramacie Wyspiańskiego, mieszają się z żywymi weselnikami. Niemieccy kontrahenci zaczynają przypominać hitlerowców, naoczny świadek (jakże nieprzypadkowy w tej roli Krzysztof Kowalewski) relacjonuje wojenne wydarzenia, sam zaś dziadek, oglądający zamążpójście wnuczki w paradnym mundurze, raz po raz przemienia się w dawnego chłopca (Mateusz Więclawek).

Lecz co tak naprawdę wydarzyło się latem 1941 r. i jaką rolę odegrał w tym młody Wilk? Dlaczego dzisiejszym gdom towarzyszą okrzyki pogromowe i w końcu – uwaga, spoiler – płonąca sto-
doła?

Smarzowski nakręcił film o osmaleniu Zagładą (określenie Irit Amiel), o polskim weselu na żydowskim cmentarzu i o melinie w żydowskim domu. Ciągłe jesteśmy niegotowi na takie kino. Dla większości społeczeństwa to kalandria mitu niewinności i polskiej ofiary, postępowe elity zaś chętniej podniecają się bezpardo-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



Kadr z filmu „Wesele”

nowymi rozrachunkami Radu Judego czy Ulricha Seidla, widząc u polskiego reżysera jedynie prowokację à la Patryk Vega.

„Wesele” przez swój bezpośredni i dosadny przekaz bywa więc nazywane publicystyką – wtedy, gdy rekonstruuje lincze na Żydach i gdy kreuje zohydzoną wizję obecnej Polski jako jednej wielkiej groteskowej chlewni. Albo kiedy w tle słychać trzykrotnie żydowską aranżację „Roty” autorstwa Mikołaja Trzaski – na skrzypce, klarnet i wreszcie w wykonaniu zespołowym. Bo nawet wtedy obce są Smarzowskiemu pięknoduchowskie ucieczki w kojącą nostalgię.

W „brudnym” smartfonowym formacie rejestruje co lepsze momenty z polskich godów, dworując sobie z obyczajów, wtop i fałszywych życzeń, tymczasem w retrospekcjach, stylizowanych chwilami na czarno-biały kronikarski zapis, odtwarza krok po kroku wymazany z pamięci koszmar. Tu nie chodzi o nieświeży bigos. Tym razem trzeba skonfrontować się na zimno z całą dramaturgią pogromu, ze szczególnym uwzględnieniem wcześniejszych i późniejszych sąsiedzkich relacji. W ten sposób wczoraj łączy się z dziś nie tylko w dziadkowej głowie.

„Wesele” sprzedawane jest jako dzieło wyklęte, za chwilę może nawet zakazane w Polsce, co z daleka pachnie marketingową strategią. Smarzowski zrobił jednak wiele, by tropiciele tzw. pedagogiki wstydu przeżyli podczas seansu swój mo-

kry sen. Odpominanie odbywa się tutaj bowiem gestem tak zamaszystym, że łatwo przewidzieć skalę i temperaturę zarzutów, zwłaszcza tych z prawej strony, a przez to zdyskredytować ten ważny film.

Wszak widz dostał do rąk gotowy pakiet tożsamościowy, z odkłamywaniem oficjalnej historii, z walką o prawa zwierząt hodowlanych, z napiętnowaniem antysemityzmu, klerykalizmu i macyzmu w różnych odcieniach. Na dodatek jedyna nadzieja tego kraju to młode, ambitne kobiety, czego przykładem harda panna młoda zagrana przez Michalinę Łabacz, która marzy o wyjeździe z Polski i staje się w finale ojcowskim sumieniem. Nic, tylko krzyknąć „hańba!”.

Kiedy patrzy się na filmografię tego reżysera, na wyniki frekwencyjne jego filmów i na to, jak od lat egzorcyzmuje tematy wstydlive („Pod Mocnym Aniołem”), niewygodne („Drogówka”), społecznie wyparte („Kler”) czy historycznie nieprzerobione („Róża”, „Wołyń”), widać żelazną konsekwencję. Można krytykować przegięty styl i polemizować z nadekspresywną retoryką, która czasem okazywała się przeciwnie skuteczna. Nikt jednak dzisiaj w polskiej kulturze (bo przecież nie tylko w kinie) nie wykonuje tak wielkiej i tak ryzykownej pracy u podstaw. ©

WESELE – reż. Wojciech Smarzowski.
Prod. Polska 2021. Dystryb. Kino Świat.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Niepamięć



Dramat, reż. Christos Nikou, Grecja/Polska/
/Słowenia 2020,
Cinemax,
18 X, 20.00,
19 X, 11.50

Jak wyglądałby świat dotknięty wirusem amnezji? Kim byłby człowiek z zaprogramowaną tożsamością? Grecki debiutant oszczędnym językiem opowiada o mężczyźnie, który utracił pamięć – i wiele wskazuje na to, że nie chce jej odzyskać. Złagodzona cierpkim humorem pandemiczna dystopia pyta również o sposób przeżywania traumy i żałoby.

2. Makala



Dokumentalny,
reż. Emmanuel Gras,
Francja 2017,
ARTE TV

Problemy pierwszego świata błędną wobec tej historii, osadzonej dziś w Demokratycznej Republice Kongo. Kamera bez pośpiechu śledzi młodego mężczyznę, który pokonuje 50 kilometrów, pchając rower objuczony węglem drzewnym. Zarobi w ten sposób kilka groszy, które chciałby przeznaczyć na budowę domu dla swej rodziny. Zastęzione nagrody na festiwalu w Cannes.

3. Początek



Dramat, reż. Dea Kulumbegashvili, Gruzja/
/Francja 2020, Nowe
Horyzonty VOD
Oto gruzińskie kino
w nowej, zaskakującej

odświeżeniu. Debiutująca reżyserka portretuje kobietę poddaną represji – seksualnej, domowej i, jako członkini społeczności świadków Jehowy, religijnej. Efektem jest ambitne „kino festiwalowe”, które jednych porusza i intryguje nawiązaniami do klasyków, a innych irytuje artystowską formą.

4. Być jak James Bond



Dokumentalny, reż.
Baillie Walsh, USA/
/Wielka Brytania
2021, HBO GO

To krótkie postscriptum do najnowszych przygód agenta 007 i przede wszystkim mocno sentymentalne pożegnanie z grającym go przez 15 lat Danielem Craigiem. Brytyjski aktor wspomina swoją pracę w rozmowie z producentami serii, a całość okraszona została materiałami z planów filmowych.

JAN

Klata:

Magdalenki Zuckerberga



PANIE MARKU, TEGO NIE ROBI SIĘ LUDZIOM. Zginęły wspomnienia, zginęły żywoty, zginęły ślady egzystencji, wszystko szczezło, wyparowało, wybyło. Niby na kilka godzin, ale zawsze. No, niewybaczalna rzecz się stała, nieludzka, istoty – te co

klikają i ziugają – straciły pamięć czego bądź. Urlopu w Grecji, ziarnka piasku w Hurgadzie, uśmiechu milusińskiego, podbrzusza kotka, pyszczka warana, skomlenia chihuahua, chi chi chi. Nie ma się z czego śmiać, kiedy znika kontent, który ludzkość w pocie czoła tworzy dla pana, panie Marku, proszę się nie śmiać, proszę naprawić serwery perpetuum mobile, i to *pronto*. Nigdy więcej awarii Facebooka!

Panie Marku, zapadł cień nad projektem, cień nieufności co do dalszych losów dzielenia się sobą, ciężkiej wielogodzinnej codziennej pracy miliardów jednostek w Pana korporacji. Ma Pan najwięcej pracowników na Ziemi, proszę ich nie zawieść. Może ich Pan na siebie napuszczać ile wlezie – to się klika. Może ich Pan uzależnić, otumanić, trzymać w coraz mniejszych bańkach wzajemnej adoracji i hejtu: zaprawdę, chcącemu nie dzieje się krzywda, zwłaszcza za darmo, widziały gały, co brały (no, może z wyjątkiem dzieci-samobójców z Instagrama). Może Pan być największym lobbystą na Kapitolu, stado gęsi nie podniesie larum, nie podniesie głowy znad ekranów – ale nie wolno przerwać dostaw, bo się wszystko posypie!

Panie Marku, robi Pan boską robotę, proszę nie przestawać ani na chwilę, proszę się nie przejmować jakimś krytycyzmem, wie Pan doskonale, że przesłuchują Pana ludzie, którym Pan płaci. Na komisjach wypada Pan przekonująco, troszcząc się o dobro i demokrację, prezentując starania, aby świat stał się dużo, dużo lepszy. Alternatywą jest amnezja. Wie Pan o ludziach wszystko, przecież ich Pan podtrzymuje przy życiu swoimi ciasteczkami. Bez magdalenek bezpamiętne jednostki umrą z głodu. Nie wolno do tego dopuścić. Panie Marku, niech Pan uszczelni serwery, na Boga, niech Pan nas nie skazuje na rzeczywistość! ©

Lektor:

Życie jako lektura



■ **CWIARTKA SZYMBORSKIEJ,
CZYLI LEKTURY NADOBOWIĄZKOWE**

Wybór Jacek Dehnel
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2021, ss. 508.

„ROŚLINY HULASZCZE,
rośliny napastliwe,
rośliny warowne
i rośliny nieobliczalne.
Zahamowane
i niepohamowane
w rozwoju... Androny
wyplatane przez naturę.
Banialuki bulwiaste.
Kwieciste brednie... Dziwy
nad podziw, dziwadła
dziwowe, dziwotwory,
dziwopłoty urodziwe...
Ośmiokilowe kwiaty.
Szyszki metrowej długości.
Grzyby świecące jak latarki.
Korzenie o sile ssącej do
153 atmosfer”.
Czy to jakaś
leśmianowska wizja
świata alternatywnego?

Nie, recenzyjka z książki
państwa Tałałajów
„Dziwy świata roślin”.
Czy jednak recenzyjka?
Gatunek, który Wisława
Szyborska uprawiała
przez trzy dekady
pod szyldem „Lektur
nadobowiązkowych”
to raczej, jak zauważa we
wstępie Jacek Dehnel,
felieton, w dodatku pisany
przez poetkę i skrywający
czasem pomysł na
wiersz albo nawet jego
rozwijający się już
zależek (przykłady też we
wstępie). Przypomnijmy,
że z bolesną dla niej
koniecznością ogłoszenia
mowy noblowskiej

Szyborska uporała
się, spożytkowując
pisany od dawna wiersz
o Kohelecie...

Czytelniczka
wszystkożerna, czytała
wszystko, od Eurypidesa
i Safony poprzez opasłe
dzieła historyczne,
popularyzatorskie prace
z różnych dziedzin nauki,
pamiętniki, biografie
i słowniki, po książki
kucharskie i poradniki
dotyczące dbania o urodę
i sprawność fizyczną albo
tapetowania mieszkań.
Literatura piękna
schodziła na plan dalszy.
Wybrana książka czasem
stawiała się, jak to nazywa
Dehnel, trampoliną, jak
w przypadku felietonu
o poradniku „Budujemy
altanę”, gdzie „sama
książka właściwie nie
ma okazji zaistnieć, jest
to błyskotliwy mini-
esej o scenie z ballady
»Czaty« Mickiewicza,
gdzie, jak wiadomo,
altana się pojawia, bo
bieży z niej wojewoda

zdyszany”. Autorka
była w „Lekturach...”
mocno obecna, więc
z tej góry tekstów, nawet
zredukowanych do jednej
czwartej, wyłania się jej
portret, mapa zachwytów
i zniecierpliwienia, spraw jej
bliskich i tych, do których
żywiła zdecydowaną
niechęć, jak choćby
bełkotliwy żargon
naukowy (patrz zaledwie
dziesięciowierszowa,
a mordercza nota
o podręczniku do
pedagogiki). Tło dziejowe
(od schyłku lat 60. do
początku nowego wieku)
też przebliskuje.
Książkę zilustrowano
niepublikowanymi
wcześniej wyklejankami
Szyborskiej, które
wysyłała do swojej
siostry Nawoi. I jeszcze
piękna okładka projektu
Oksany Shmygol
z wykorzystaniem
równie pięknego zdjęcia
poetki autorstwa Joanny
Helander. Całość tym
piękniejsza. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Ja też nie wiem



TRZYSTA DWADZIEŚCIA TON OŚMIORNIC ZJEDLIŚMY W zeszłym roku. Dziesięć razy więcej niż dziesięć lat temu. Ciekaw jestem, na ile oszałamiający trend wzrostowy ma coś wspólnego ze statusowym skojarzeniem, utrwalonym przez nie-szczesne kolacyjki spożyte przez paru polityków dawno temu w warszawskiej restauracji. No, może nie tak dawno temu, skoro większość aktorów tamtej podsłuchowej farsy dalej gra w pierwszym składzie – mniejsza jednak o to, nie będziemy wtykać kucharskich paluchów w młyny politycznej propagandy.

Dość powiedzieć, że podczas jednej z głośniejszych gastro-afer w kampanii przed brexitem „ujawniono” ze stosownym oburzeniem, jak to czołowi sztabowcy frontu proeuropejskiego dyskutowali strategię, pochylając się nad miską polenty z soczewicą... tyle że była to miska w ekskluzywnym lokalu korzystającym z ówczesnej mody na *cucina povera*. Za cenę tamtejszego „głodowego” posiłku jakiś prawdziwy *povero* mógłby wyżywić siebie oraz liczną działwę przez tydzień. Z tego właśnie aspektu sprawy tabloidy kręciły wówczas klasistowski bat na przeciwników wyjścia z Unii.

Polenta dobrze pasuje do ragout z ośmiornicy, zresztą znacie mnie – w żyłach mam sporo krwi polskiej, czerwonej jak maki w mazowieckim życie, ale cała reszta to polenta, wszczepiona przez weneckich przodków – a zatem jadłbym ją z czymkolwiek, nawet z bigosem. Ale to dygresja, zresztą nie wiem, czy jeszcze kiedyś ugotuję coś z ośmiornicy. Otóż wpadł mi w ręce raport organizacji Compassion in World Farming, który próbuje przestrzec opinię światową przed próbami stworzenia przemysłowych hodowli tych zwierząt, dotychczas pozyskiwanych w stanie dzikim, wyłącznie z polowów.

Spośród różnych problemów wyliczonych w raporcie, uwagę przykuwa punkt pt. „Nie istnieje naukowo potwierdzona metoda humanitarnego uboju ośmiornicy”. Dalej wylicza się różne obecnie stosowane sposoby: bicie pałką po głowie (miłośnicy komisarza Montalbano niech wspomną scenę z młotkiem...), krojenie mózgu, chłodzenie w lodzie. Ja jeszcze dodam – bo niestety pamiętam aż za dobrze z kuchni, gdzie kiedyś pracowałem – wrzucanie żywego zwierzęcia do wrzątku. Brak, twierdzi raport, dobrze potwierdzonych metod, które zapewniałyby ośmiornicy naturalną utratę przytomności.

Przytomności, dodajmy, fascynującej i wcale nie „prymitywnej”. Jeśli potrzebujecie naocześnie się przekonać, jak bardzo daleko rozwiniętą świadomość ma to zwierzę, to w serwisach streamingowych łatwo znajdziecie głośny w zeszłym

roku film „Czego mnie nauczyła ośmiornica”. W kinach za to, właśnie teraz, grają inny film, na który chciałbym was zaprowadzić – „Gunda”. Rzecz się dzieje w gospodarstwie w Norwegii, a osi tej spokojnej, pozbawionej ludzkich wstawek medytacji obrazowej są powoli płynące dni lochy Gundy i gromadki jej prosiąt. Maestrę reżysera znać po tym, że doprowadza nas jak najbliżej progu różnic gatunkowych – jesteśmy w stanie poczuć niemal empatię z różnymi emocjami tej bystrej, opiekuńczej świni. Nie ma tam nachalnej antropomorfizacji, nie czuję szantażu ewangelizatorów weganizmu. Nie czuję wstydu i winy, tylko zadaję sobie pytania, do jakiego stopnia jestem gotów wziąć na siebie sytuacje nieuniknione w hodowli zwierząt, nawet tej „wolnowybiegowej” i humanitarnej.

Po pierwszej sytuacji uboju. Jakąś pociechą dla mięsożernego widza jest wiedza, iż w przypadku świń znamy i stosujemy metody zabijania, które nie generują strachu i łagodnie pozbawiają świadomości przed pozbawieniem życia. W filmie jest inny emocjonalny wstrząs – rozerwanie więzi stadnych. Filmowa Gunda w pewnym momencie zostaje sama (jej potomstwo zostaje zabrane, niekoniecznie od razu pod nóż). Trudno z początku wziąć na siebie tę jej traumę, zwłaszcza gdy wcześniej sceny macierzyńskie generują w nas przypływ oksytocyny. Ale czy zerwanie więzi, utrata potomstwa, partnera, stada, nie jest czymś zwyczajnym u zwierząt, którym człowiek nie ingeruje w bytowanie? Czy odsunięcie utraty i osierocenia poza zasięg wzroku nie jest kłamstwem, które tworzymy na nasz ludzki użytek?

Nie wiem. Skoro sto razy mądrzejszy ode mnie człowiek w rozmowie na początku tego numeru odpowiada w ważniejszej moralnie kwestii podobnie: „po pierwsze, nie wiem”, to też mam do tego prawo. Wciąż zbyt ukrytą ceną jedzenia mięsa jest wzięcie odpowiedzialności za to, że ktoś – hodowca, rzeźnik – w naszym imieniu robi rzeczy, których nie umiemy prosto ocenić. Odpowiedzialność, choć ma ten sam źródłosłów, wcale nie oznacza, że znamy każdą odpowiedź. Ważne tylko, by nie zapominać o pytaniu. ©



A może chwila oddechu od pytań bez odpowiedzi i coś zupełnie wegańskiego ze składników, których transport nie zostawił wielkiego śladu węglowego? Bardzo dobrą „podkrętką” do wielu sycących sałatek warzywnych starczających za cały obiad jest pokruszony zimny falafel. Przyznam się, że czasem w maro-

kańskim sklepie na Kleparzu kupuję o kilka za dużo, ze świadomością, że będą czekać do jutra. Ostatnio w ten sposób wzbogaciłem białkowo połączenie, które już na sam widok napełniało energią. Upieczone w całości **małe podłużne buraki** obrałem i pokroiłem w cienkie talarki. Osobno w drobną kostkę pokroiłem **dynię hokkaido**, która została mi z robienia risotta na obiad (ale nieprzesadnie drobną kostkę, taką, by się nie rozpadła). Zmieszałem delikatnie, żeby burak za bardzo nie zafarbował dyni. Posoliłem, skropiłem **octem winnym** (nie balsamicznym, bo by przygasił pomarańczową barwę), poląłem **olejem orzechowym**, który genialnie się łączy z burakami. Na to pokruszyłem **falafele** – ale równie dobrze można np. zetrzeć na grubej tarce **oscypek** czy inny mocno **wędzony ser**.

PIERWSI CZYTELNICY

Kto z książek buduje zwodzone mosty, ulubionych bohaterów
całuje na dobranoc w papierowy nos i nawet w deszcz
pędzi na hulajnodze do księgarni? Przedszkolaki!

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

U PROGU PANDEMII ŚWIAT KULTURY ŻYŁ FANTAZJAMI O SZAN-sie, jaką zamknięcie w domach da niedokończonym i niezaczętym lekturom. Owszem, niektórym się to udało. Agnieszka Taborska dokumentuje przeczytanie 42 książek (samiych dobrych) i obejrzenie 34 filmów (głównie klasyki), a przecież jej intelektualny dziennik czasów zarazy, „Człowiek, który czeka. Pandemia na mansardzie” (wyd. Lokator), obejmował ledwie trzy miesiące 2020 roku. Strach myśleć, co było dalej! Fran Lebowitz, modę na którą wykreował serial Netfliksa i wydany ostatnio zbiór felietonów „Nie w humorze” (wyd. Znak), też ruszyła w maraton czytania. W wywiadzie dla „Vogue’a” chwali się, że w czasach zarazy wreszcie „znalazła przestrzeń”, aby przeczytać takie cegły jak tysięcstornicowy zbiór listów Cole’a Portera.

Dla większości pandemia przewidziała start w innej konkurencji – biegu z przeszkodami. Przystawianie się na pracę zdalną lub jakąkolwiek dającą możliwość utrzymania się na powierzchni, kierowanie domowym przedszkolem i wirtualną szkołą oraz opieka nad tymi, z którymi choroba uprawiała mieszane sztuki walki – to wszystko odbierało siły, by sięgać po książki o znacznym ciężarze gatunkowym. Zanim całkiem zzieleniałam z zazdrości, czyniąc porównania z intelektualistkami, którym od ambitnej literatury parują okulary w szylkretowych oprawkach, przyszło olśnienie. Lista moich pandemicznych lektur jest przecież równie długa, a niektóre przeczytałam kilkadziesiąt razy. Radość, którą sprawiałam mojej wiernej towarzysze spotkań z książką, jest zaś nieporównywalna z niczym.

Kiedy zaczęło się zamknięcie, moja córka miała dwa i pół roku, teraz ma cztery lata. W tym czasie pożegnałyśmy się z kartonowymi tomiszczami dla „najnajów” i powitałyśmy szeleszczące strony dwu- i trójarkuszowych książek dla przedszkolaków, rymowanki brzęczące dźwiękonaśladowczą frazą ustąpiły miejsca awanturniczemu perypetiom i rodzinnym sagom, a figuratywne rysunki stały w szranki z literackimi żartami. Książki to też obiekty materialne, z którymi nie obchodzimy się z nabożeństwem. Budujemy z nich wieże, budy dla psów, serwujemy na nich śniadania dla lalek albo zmieniamy w scenę dla ludzików Lego. Przede wszystkim jednak czytamy – za-

chłannie, docieklewie, zgodnie z konwencją i na opak. Ale jak długo to z nami zostanie, nie zależy już od pandemii.

Seryjni wielbicieli

Dzieci z upodobaniem sięgają po książki, które oddają im pole. Niezastąpionym przewodnikiem po wyobraźni są „dotykane” dzieła Hervégo Tulleta, na czele z bestsellerowym „Naciśnij mnie” (wyd. Babaryba, przeł. Marta Tychmanowicz). Zwyczajne kropki pod wpływem zakłębionych paluszków zmieniają kolory, wielkość, położenie. Równie szalone zabawy czekają w „Trzech kropkach” Asi Olejarczyk, rozrysowanych przez Dianę Karpowicz (wyd. Adamada). Z kolei w „Skarbie Straszliwego Zet” (wyd. Kropka) czytelnicy decydują o tym, jak potoczą się losy młodych poszukiwaczy przygód. Książka Sylvie Misslin w przekładzie Pauliny Błaszczukiewicz i z ilustracjami Amandine Piu zdecydowanie nie ugruntowuje cnót niewieścich (kto wie, czy nie trafi na indeks...) – jednym z piratów jest nieustraszona Mary, a i Straszliwy Zet okazuje się na końcu łebką dziewczynką.

Klasyka też się broni. Choć nie każda. Kiedy córka wydo była z biblioteczki babci i dziadka „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki” Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza, wiłam się jak wąż z pierwszych stron tej opowieści obrazkowej, jak z ośmiozgłoskowca zgrabnie usunąć słowo „murzynek”, by zachować rytm („chłopiec”, „chłopczyk” mają tylko dwie zgłoski). Wysiłki na nic się zresztą zdały, gdyż Goga-Goga, począwszy od imienia, cały jest zrodzony z kolonialnych stereotypów. Książkę schowałam głęboko.

Próbę czasu przeszły wiersze Juliana Tuwima (choć „Murzynka Bambo” nie polecam) i Jana Brzechwy, zwłaszcza te w niesztampowej oprawie graficznej. W kategorii „klasyka dla wybrednego smyka i jego rodziców” niepodzielnie rządzą dwa tomy wydawnictwa Wytwórnia, flirtujące z liberaturą i konceptualnie zilustrowane przez utytułowane twórczynie i twórców wizualnych (Brzechwę wciąż można kupić, nakład →

Park rozrywki „Świat Astrid Lindgren”, Szwecja.

"Fina lilla kruemelur, jag vill aldrig bli stur", sa de alla tre på en gång. Så var det gjort. Pippi tände taklampan.
"Härligt", sa hon. "Nu slipper man bli stor och få liktornar och annat elände."
- PIPPI LÄNGSTRUMP

"... man kunde tro att Emil var en riktig liten ängel. Men det skulle man bara inte ibilla sig. Fem år var han och stark som en liten ox, och han bodde på gården Katthult i Lönnberga by i Småland."
- Emil i Lönnberga

"Vad gör det att kvällen är mulen och mörk, vären känns i alla fall, det luktar vår, det är vår, tänk att det kan vara så härligt varenda gång! Låt det regna om det vill, det blir ändå bara ett värregn, tänker Madicken."
MADICKEN OCH JUNIBACKENS PIMS

Riddar Kato stod framför mig utan vapen och visste, att striden var slut. Då ror han upp sin svarta svärdsskabel över bröstet.

"Se till att du träffar hjärtat", skrek han. "Se till, du kommer mitt genom mitt hjärta av sten. Det har skett där in och gjort så ont."
- Mio min Mio

"Med socker på ett gån går det", sa Lotta och så tog hon och st socker på ett gån och åt upp det.
"Se upp", sa Lotta, "på'n mask på lövet" sa Jonas.
"Mask på'n mask på lövet", sa Lotta.

Det är nu pojkarna i maten var.
- Alla vi ha

Ull Vad man än leker, så i
oligt, men vi ska bara hålla

"Dina rörelser! Du slog! Rävungarna är sina egna, förtärr du det! Och de lever i närmans slog. Som också är rävungarna och fjöarna och släporna och vildhästarna slog. Och urens och ermrörelser och släporna och hästarna och gårdarna slog. Och
- Rapa Rönvett

"På fönsterbrädet i riddar Karos rum satt en grå fågel och hackade på rutan. Den ville veta komma ut. Jag hade inte sett fågeln förut. Jag vet inte var den har hållit sig gömd. Jag gick fram till fönstret och öppnade det, så att fågeln kunde flyga ut. Och den kastade sig upp i luften och drillade och var så glad. Den hade nog suttit i fångenskap länge."
- Mio min Mio

"Ja, jag har badat", sa Bertil.
"Badat", sa hans mamma. "Du har du då badat?"
"I den där", sa Bertil och pekade snickande på gelistålen, som stod på kordet fylld med gyll.
- Nils Karlsson Pysselung

Upp på Karlssons farstubro låg det tio stycken bullar i rad och såg mycket goda ut.

"Ärligt betalta också, varenda en, sa Karlsson. "Vi delar rättvist, du tar sju och jag tar sju."

"Det går väl inte", sa Lillebror. "Sju och sju blir fjorton, här finns bara tio bullar."

Karlsson skyndade sig att rabsa ihop sju bullar i en liten hög.

"Håll alla fall mina", sa han och la en knubbig hand över bullhogen.

"När har så befängt i skolorna nu för tiden. Men det ska inte jag behålla för, Vi tar sju var, och det här är mina."

Karlsson på TAKET.

"Nu nu blir jag arg", skrek Emil. "När jag inte har pengar, då kan jag inte dricka sockerdricka, och när jag har pengar, då får jag inte dricka sockerdricka. När i hundan ska jag då dricka sockerdricka!"
- Emil i Lönnberga

→ Tuiwima od dawna jest wyczerpany, sfatygowane egzemplarze są do upolowania na Allegro).

Przed wszystkim przedszkolaki lubią czytać o innych przedszkolakach. Najlepiej po wielokroć. Stąd (i z dobrego marketingu) zapewne wynika popularność cyklu o Puciu (wyd. Nasza Księgarnia). Jest prawie tak rozpoznawalny wśród kilkulatków jak Świnka Peppa czy Psi Patrol i stanowi temat pierwszych rówieśniczych rozmów o literaturze. Ilustracje Joanny Kłos cieszą oko, ale historie opowiadane przez Martę Galewską-Kustrę są raczej konserwatywne i nieco oderwane od rzeczywistości. Pucio ma starszą siostrę, młodszego brata, niepracującą mamę, utrzymującego dom tatę weterynarza i samotną ciocię Igę, nieporadną artystkę. Trójka dzieci zachowuje się tak grzecznie i rozważnie, że nawet wychowywane do królewskich zadań potomstwo księcia Williama i księżnej Kate wydaje się przy nich łobuziakami. Doskonali jest też Feluś, bohater książek Katarzyny Kozłowskiej i Marianny Schoett (wyd. Nasza Księgarnia), którego *mission impossible* jest uczenie maluchów dobrych manier.

Bez skrępowania mogą za to przybić piątkę z zabieganymi rodzicami braci z serii stworzonej przez Wiołę Wołoszyn i Przemka Liputa (wyd. Mamania). Chłopcy Jano i Wito z wdziękiem pakują się w kolejne tarapaty. Uśmiech na dziecięcej i dorosłej twarzy wywołuje również kilkuletnia Dusia, jej pluszowy towarzysz Psinek-Świnek i mający liczne słabostki rodzice (Justyna Bednarek i Marta Kurczewska, wyd. Nasza Księgarnia). Wszyscy przeżywają małe katastrofy, a mądrym komentarzem są ekscentryczne przygody pluszaka trafiającego w porze leżakowania do czerwonego czajnika (podejrzewam, że pisarka Justyna Bednarek jest fanką „Twin Peaks”).

Moje serce skradł jednak cykl o Szym Pansiku autorstwa Susanne i Maksa Langów (wyd. Papilon, przeł. Maria Szarf). Dotyka problemów, z których się nie wyrasta, np. że można być czasem w złym humorze i nie zawsze trzeba chcieć bawić się tak, jak inni. „Ty jak nikt kochasz tańczyć / A ja nie znam żadnych kroków” – śpiewa Mata w „Kiss cam”, przeboju tegorocznych wakacji. Otóż Szym Pansik ma ten sam kłopot i udaje mu się z ambarasu wybrnąć w zgodzie z sobą. Ta asertywna, acz marudna małpeczka bardziej przypomina charakterem znane mi czterolatki niż jakiekolwiek literackie dziecko w ulizanych kucykach.

Psychoczytanki

„Współczesny bajkopisarz pisze dla całych rodzin, a nie wyłącznie dla dzieci” – mówił Grzegorz Kasdepke w wywiadzie dla „Tygodnika”. Święta prawda. Dorośli szukają w literaturze dziecięcej nie tylko estetycznych wrażeń, mrugania do nich okiem czy sentymentalnych podróży w czasie. Próbuje różne sprawy sobie załatwić, a rynek wydawniczy ich w tym założeniu utwierdza. Trudno zliczyć tytuły o tym, jak pożegnać się z pieluchą, nie zalewając domu (polecam klasykę, czyli „Nocnik nad nocnikami” Alony Frankel), jak nie pozabijać szpadelkiem rówieśników w osiedlowej piaskownicy (np. „Max i królik. Babka ze złością” Astrid Desbordes i Pauline Martin) albo jak przetrwać pierwszy dzień w przedszkolu tradycyjnym, z leżakowaniem (np. „Pierwszy dzień w przedszkolu” otwierający cykl o Dusi i Psinku-Świnku), a jak w przedszkolu Montessori, bez leżakowania (np. „Ignacy idzie do przedszkola” Ady Olbracht i Zosi Dzierżawskiej).

Na półkach księgarskich królują niepodzielnie poradniki psychologiczne dla dzieci. Najmłodszy uczą się rozpoznawać i nazywać emocje, a przedszkolaki otrzymują instruktaż, jak sobie radzić w stresujących sytuacjach. Uczucia stają się atrakcyjnym tematem, kiedy można je zobaczyć i zmierzyć. Stąd sukces „Uczuciometru inspektora Krokodyla” Susanny Isern z tęczowymi rysunkami Moniki Carretero (wyd. Dwukropek, przeł. Barbara Bardadyn), do której dodana jest obrotowa miarka emocji. Na koniec dnia można zmierzyć, czy upłynął pod znakiem intensywnej radości, czy umiarkowanej złości. Dla przedszkolnych debiutantów warte uwagi są też książki o Kolorowym Potworze (wyd. Mamania, przeł. Zofia Raczek) – Anna Llenas stworzyła przestrzeń do rozmowy o niesfornych uczuciach i cudownie je zobrazowała kolażowymi, bajkowo-chropowatymi alegoriami.

Starszaków zaprasza się już na papierową kozetkę. Mają pozbyć się kompleksów, być asertywni i kreatywni. Te wyzwania zbiera „Jesteś ważny, Pinku! Książka o poczuciu własnej wartości dla dzieci i dla rodziców trochę też” Urszuli Młodnickiej-Kornaś i Agnieszki Waligóry (wyd. Sensus), niezmiernie popularna, dodrukowywana po zapytaniach zatroskanych mam i tatów. Z kolei *mindfulness* dla przedszkolaków to prężnie rozwijający się nurt *quasi-literacki*, którego flagowym produktem jest seria o uważności żabki Eline Snel (wyd. CoJaNaTo), czyli nauka medytacji dla współczesnych kilkulatków (powodzenia!).

O emocjach dla najmłodszych piszą też znani i lubiani: psycholożka Katarzyna Miller stworzyła cykl o problemach rudowłosej Kasi i jej przyjaciół (wyd. Dwukropek), a aktorka i celebrytka Olga Frycz wystartowała z wydawnictwem Blueness, które będzie się specjalizować w „lekkich, nieporadnikowych książkach, które przybliżają dzieciom różne emocje”. Pierwsza z nich jest już w sprzedaży – „Panią Wstyd” napisała Zuza Romuk-Wodoracka, pracująca w branży reklamowej i modowej. Oprócz książek będzie można nabyć akcesoria dla rodziców i ich pociech. Pełny pakiet. To dobrze, że o emocjach mówi się dziś do dzieci najczęściej wprost, a nie poprzez mroczne metafory tradycyjnych baśni. Jednak boom na psychologiczne poradniki dla parolatków wydaje się rozpaczliwą odpowiedzią kultury na presję, które sama wytworzyła.

Zgubieni autorzy

Presji czasu czytanie najmłodszym na szczęście nie poddaje się tak łatwo. Lubię obserwować oddające się lekturze dzieci i ich opiekunów. Zdarza mi się podglądać okładki i przysłuchiwać. Polacy czytają dzieciom nie tylko wieczorem, przed zgaszeniem światła, ale też w parku, w podróży, w poczekalni u lekarza, w restauracji, czekając na posiłek. Nie wiadomo, czy to jest efekt rozpoczętej dwadzieścia lat temu kampanii „Cała Polska czyta dzieciom”, czy raczej tego, że książeczki dla małych czytelników trafiły do oferty Biedronki i Lidla (czasem można tam upolować perełki, ale tylko z dużych warszawskich oficyn).

Czytanie książek wciąż jest stałym punktem programu, gdy w przedszkolu nadchodzi czas sjeści. Wiele dzieci od półtora roku nie może przynosić z domu pluszaków, które trudno zdezynfekować. W przedszkolu mojej córki zamiast przytulanki można mieć własną książkę. Jedyny kłopot polega na tym, że w dziecięcych szufladach czeka ich tyle, iż czytanie trwałoby od rana do podwieczorku – no chyba że z każdej

książki wybierze się jedną stronę. Wychowanie do fragmentyzacji przekazu? Pewnie tak, ale nikt nie czuje się pominięty.

Pominięci mogą za to czuć się autorzy dziecięcych lektur. Z moich ukrytych obserwacji wynika, że dorośli niezmiennie rzadko czytają dzieciom nazwiska pisarzy i ilustratorów, a o istnieniu tłumaczy nawet nie wspominają. Historie pozostają bezimienne, niczyje. Spadają chyba z nieba, a nie są owocem czyjejś wyobraźni i wrażliwości. Część odpowiedzialności za ten stan rzeczy ponoszą wydawcy. Nazwiska ilustratorów zwykle są podane mniejszą czcionką. Polskimi książkami, gdzie świetny tekst i uruchamiający wyobraźnię obraz żyją w twórczej symbiozie, a autorzy zostali po równo docenieni na okładce, są „Balonowa 5” i „Van Dog” (wyd. Egmont Art) – nazwiska ilustratorki Gosi Herby oraz pisarza i projektanta książek Mikołaja Pasińskiego są umieszczone obok siebie w kolejności alfabetycznej (na to „nowatorskie” rozwiązanie wydawcy decydują się rzadko).

Ktoś powie, że dziecko nazwisk autorów i tak nie spamięta. Przeciwnie – bywa, że zapamięta pewne sprawy mocniej, niż byśmy tego oczekiwali. Pierwszą książką, której lekturę zaczynałam od wskazania twórców (a liczba przeczytań chyba dobiła setki), była opowieść „O wiewiórkach, które nie chciały się dzielić” Rachel Bright, zilustrowana przez Jima Fielda, a przełożona przez Barbarę Supeł (wyd. Zielona Sowa). Moja córka uznała, że wszystkie książki dla dzieci przekłada Barbara Supeł (nie tylko tłumaczka, ale i wzięta pisarka). Kiedy nieśmiało nadmieniałam, że dowcipne wierszowane wyliczanki Julii Donaldson z rysunkami Axela Schefflera – najbardziej znani są z „Gruffala” (wyd. Tekturka), ostatnio zaś ukazał się po polsku „Zog” o pechowym smoku i ambitnej dziewczynce (wyd. Nasza Księgarnia) – wybornie spolszczają Michał Rusinek i Joanna Wajs, a zwierzęce przypowieści Susanny Isern „Siedem łóżek malutkiej popielicy” i „Idealną chwilę” (wyd. Tako) z retro ilustracjami Marca Somà przekłada z hiszpańskiego Tomasz Pindel, córka nieznoszącym sprzeciwu tonem stwierdzała, że się mylę. Wszak za tłumaczenia w Polsce odpowiada Barbara Supeł!

Sukces w kultywowaniu idei autorskiego dzieła jest więc na razie połowiczny, ale trzeba tu cierpliwości. Kto wie, czy osvajanie dzieci z wiedzą o tym, że książek nie ma bez pisarzy, ilustratorów i tłumaczy, za kilkanaście lat nie zaowocuje u nich szacunkiem do własności intelektualnej i pracy tych, którzy tworzą kulturę przez duże K.

Tam, gdzie lepszy świat

À propos kultury przez duże K i wartości przez duże W – jak wielu rodziców, z niepokojem obserwuję kierunek, w którym zmierza polska szkoła. Odkąd ministrem edukacji został Przemysław Czarnek, jestem zaniepokojona nieopisanie. Chcę, żeby moja córka wyrosła na osobę, która ludzką różnorodność traktuje jako coś oczywistego i potrafi sprzeciwić się pomysłom krzywdzenia innych. Rzeczywistość społeczno-po-

Rozmowę z kilkulatkiem o równości można zacząć od czegoś, co zna najlepiej, czyli od rodziny.

W wyobraźni mojej córki
wszyscy jakąś mają:
nie tylko pani sprzedawczyni,
ale także pluszowy miś,
talerz obiadowy
albo szczoteczka do zębów.

lityczna takiemu myśleniu nie sprzyja, ale pomagają mądre książki.

Rozmowę z trzy-, czterolatkiem o równości można zacząć od czegoś, co zna najlepiej, czyli od rodziny – bez względu na to, z kogo się ta rodzina składa. W wyobraźni mojej córki wszyscy jakąś mają: nie tylko sprzedawczyni z Żabki, ale także pluszowy miś, talerz obiadowy albo szczoteczka do zębów. Rozmaicie skonfigurowane rodziny mają też zwierzęta, które niezmiennie są bohaterami opowiadań dla najmłodszych. W świecie literackich zwierząt relacje są mniej konserwatywne, a postawy mniej kosztowne niż wśród ludzi.

W sposób nienachalny i przemawiający do parolatką o różnorodności mówi seria o wiewiórku Edziu Astrid

Desbordes i Marca Boutavanta (wyd. Wytwórnia, przeł. Jacek Mulczyk-Skarżyński i Paweł Łapiński). Przyjaciele Edzia uczą się, jak dobrze żyć ze sobą i z przyrodą, a sami stanowią barwną kompanię. Są wśród nich Polcia i Helcia, mieszkające razem myszki, uwielbiające przebierać się za inne zwierzęta puchacz Jerzy oraz różowe Coś o nieokreślonej płci. Nie, to nie inwazja rzekomej ideologii LGBT+. Tak jak puchacz Jerzy prowadzi „Encyklopedię lasu”, tak książki francuskich autorów są ilustrowaną encyklopedią społeczeństwa wielości.

Lepszą wersję świata wyczarowuje też od lat Przemysław Wechterowicz w duecie z ilustratorką Emilią Dziubak. Najbardziej znani są z „Proszę mnie przytulić” i „Gdzie jesteś mamo?”, ale również wydana niedawno „Wanda szuka miłości” (wyd. Ezop), której bohaterką jest głodna uczuć dżdżownica, to opowieść o tym, że miłość nie obraża ani nie wyklucza, choć czasem strasznie o nią trudno. O tę do książek na szczęście jest dużo łatwiej.

Prześladuje mnie jednak myśl, że to zarazem pierwsze i ostatnie lata, kiedy razem z córką zanurzamy się w literackim świecie, a ja mogę być w tej eskapadzie jej przewodniczką. Niedługo ten moment przeminie. Książka przegra z gadzeciarskim światem rówieśników, będzie z nami, ale przestanie być mapą. Na razie jednak kompletujemy jesienną biblioteczkę. Znajdzie się w niej „Matylda odważna i pralkowy potwór” Ilony Kosteckiej i Anny Simeone (wyd. Mamania) o pokonywaniu domowych strachów oraz „Jestem już duży” Susanny Isern i Marty Cabrol (wyd. Tako, przeł. Tomasz Pindel) o pierwszych samodzielnych zadaniach małego słonia i oswojaniu tego, że nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem.

Nie pominiemy nowego tomu przedszkolnych przygód Dusi i Psinka-Świnka pt. „Wtorek ze słoniem”, a od „Jesieni Toli” Anny Włodarkiewicz i Oli Krzanowskiej (wyd. Zielona Sowa) zaczniemy spotkanie z cyklem książek o kolejnej rezolutnej czterolatce. Nie zabraknie też miejsca dla „Niegrzecznych książeczek”, autorskiej serii wydawnictwa Natuli, a szczególnie dla „Błota” Alicji Dyrdy i Aleksandry Gołębiowskiej, mówiącego o tym, że dziewczynkom wypada bawić się tak jak chłopcy. Panie ministrze, podczas lektury będziemy myśleć o panu.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

STANISŁAW

Mancewicz:

Na parkingu



MIMO ŻE SIEDZIMY ZUPEŁNIE NIERUCHOMO, w dość ponurym – rzecz trzeba – nastroju, to i tak ślad węglowy, jaki zostawiamy, jest nader solidny. Oto bowiem widać, że nasza realna przygoda z szeroko pojmowanym Zachodem powoli i nieuchron-

nie się kończy. Zapewne w nieodległej przyszłości, jeśli z tej drogi nie zawrócimy, czeka nas długi postój gdzieś na obrzeżach świata, na zaśmieconym parkingu bez – delikatnie rzecz ujmując – infrastruktury, pełnym podobnych nam nieudanych prototypów narodowosocjalistycznych demokracji ludowych.

Powiedzmy sobie wprost, że tego, co teraz mamy, jeszcze w Polsce nie grali. To znaczy grali coś na podobną nutę, ale dawno i dlatego być może w przyszłym roku okrągła 250-letnia rocznica pierwszego rozbioru Polski będzie tu obchodzona bardzo hucznie. Ktoś niby trzeźwy parsknie teraz z politowaniem i powie, że przecież wyprawia się teraz klasyka pisowskiej zgrywy, że nie ma o czym mówić, że oni lubują się w tego typu scenopisarstwie i konstrukcjach nastroju, że właśnie po to czernią nam horyzont, żebyśmy się trzęśli, i że w zasadzie niczego poza tym nie potrafia.

Niestety, wszystko, co uważaliśmy za pisowską zgrywę i głupawą fantazję, weszło jednak w życie albo – popatrzmy – w pełnym wymiarze, albo w jego połowie, albo w ćwierci, albo w jednej setnej, albo w formie powiewu zaledwie bądź to przelotnego, ale charakterystycznego zapachu. Przyszłość czas, że optymiści i ludzie skłonni do wypierania złych wiadomości powinni sobie jednak teraz usiąść z kartką papieru, by zsumować i te ułamki, i te powiewy. Powinni owe zapachy nazwać. Wynik jest jednoznaczny, a suma ta jest imponująca. Tego się wyprzeć już po prostu nie da. Warto też rzec,

że niemal wszystko, co pojawiał się przez lata w najczarniejszym szlamie prawicowego darknetu, w końcu wypływało, wciąż wypływa i zawsze w jakimś stopniu, raz mniejszym, raz większym, dostaje się do agendy głównego nurtu ichniejszej polityki. Widzi to każdy, kto od lat bacznie śledzi, co tam piszą i mówią. Wyjście Polski z Unii Europejskiej jest od bardzo dawna w tej stołówce daniem głównym i doprawdy kto za nie płaci, kto te talerze roznosi, jest oczywiście ważne, ale ważniejsze zdają się rzesze tych, którzy tę potrawę z przyjemnością spożywają, którym smakuje i którzy klaszczą na sam widok czapki szefa kuchni.

Wszystko to wydaje nam się oczywiście arcyponure i, rzecz jasna, wciąż się wahamy, czy pisanie o tym jest objawem jakichś zaburzeń hormonalnych, może egzaltacji, starzenia w utrzymującej się od lat niedojrzałości życiowej, przewrażliwienia, złego nastroju biorącego się zawsze z nudy, bądź czegokolwiek usprawiedliwiającego szkicowanie na czarno. To jest pytanie zawsze wstępne i ważne, bo znalezienie odpowiedzi ułatwia życie. No więc? Czy płacze, że nas wywalą z Unii Europejskiej bądź sami się z niej wypiszemy, a może już nas wywalili i już się wypisaliśmy – są solidnie uzasadnione? A może powinniśmy wziąć jakieś uspokajające tabletki, może winniśmy zażyć tabaki, może trzeba nam pójść do doktora, a może kupić sobie flaszkę i ją wytrąbić nad Wisłą? Bóg raczy wiedzieć.

À propos. Gdyśmy trąbili ostatnio flaszkę na ławce, nad Wisłą, przysiadł się do nas człowiek zupełnie nieznajomy, o bardzo ponurym obliczu. Taka bliskość jest zawsze krępująca, zwłaszcza teraz, w dobie epidemii, zwłaszcza w świetle naszych badań, wedle których 99 procent Polaków nie wie, czym różni się wirus od bakterii. No więc w takich okolicznościach prośba, by dać tzw. łyka, musi być przykra, musi się bowiem spotkać ze stanowczą odmową. Ale nie o to chodziło. Nieznajomy pomilczał i zadał nam pytanie znienacka i kompletnie niespodziewane: „Z jakimi krajami Polska utrzymuje stosunki dyplomatyczne?”. I tak sobie siedzieliśmy na ławeczce, w rześko smrodliwe popołudnie nad brzegiem Wisły, królowej rzek polskich, i liczyliśmy te kraje na palcach, rzecz jasna: jednej tylko ręki. Wynik był także odpowiedzią na wszystkie inne pytania o wielkość polityki uprawianej przez Jarosława Kaczyńskiego.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



visitWroclaw.eu

DAWNO
CIĘ
TU NIE
BYŁO



Visit Wrocław



Wrocław
[Wroclove]

SPOTKAJMY
SIĘ WE

WROCLAWIU

Wrocław miasto spotkań

WŁĄCZ

RMF

Classic



I ZMIENŃ SWÓJ ŚWIAT



NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA
- GDZIEKOLWIEK JESTEŚ



rmfclassic.pl